

POMERANIA[®]

12

Miesięcznik społeczno-kulturalny Grudzień 1995

Cena 2 zł / 20 000 zł



Indeks 371939 PL ISSN 0238-9045

**Lech
Bądkowski
w naszej
pamięci**

Nadbałtyckie sąsiedztwo

Czytelnicy o „Pomeranii”
Każda panienska jak anioł

OZIĘBŁOŚĆ JEST ULECZALNA



Koniec problemów z rozruchem zimnego silnika!

- Niższa lepkość oleju **LOTOS SEMISYNTETIC** SG/CD 10W/40 w temperaturach ujemnych powoduje łatwiejszy rozruch silnika.

- Półsyntetyczny olej silnikowy **LOTOS SEMISYNTETIC** jest przeznaczony do stosowania w nowoczesnych silnikach benzynowych (także z katalizatorem) oraz w silnikach wysokoprężnych (bez i z turbodoładowaniem).

- **LOTOS SEMISYNTETIC**

- ☐ utrzymuje silnik w doskonałej czystości
- ☐ umożliwia łatwiejszy rozruch zimnego silnika
- ☐ powoduje mniejsze zużycie rozrusznika i akumulatora

Olej spełnia wymagania specyfikacji:

- VOLKSWAGEN 500 00/505 00
- MERCEDES-BENZ 226.5
- PEUGEOT



TERAZ POLSKA



Rafineria Gdańska

80-718 GDAŃSK, ul. Elbląska 135, tel. centr. (058) 38 71 11
tel. dział sprzedaży (058) 38 73 51, fax (058) 31 88 38, tlx 0512278 rn pl

POMERANIA

Nr 12 (272) Rok zał. 1963

Godnik 1995



Rozmowa z dr. Dietmarem Albrechtem	Regiony nadbałtyckie Wspólne dziedzictwo kulturowe	2
S. Małgorzata Borkowska	Każda panienka ma być jak anioł	5
S. Dorota	Madonna z fikającym Dzieciątkiem; Żarnowiecka Madonna Siedemsetletnia; Pokusa	8
Aleksy Pelpliński	Kolęda królewskô	10
Ida Czajinô	Kolęda	10
Tadeusz Linkner	Święto Kolady	12
Cezary Obracht-Prondzyński	Czytelnicy o „Pomeranii”	14
Stanisław Janke	Droga do gniazda	17
Józef Borzyszkowski	Między Serockiem a Gdynią	19
Erwin Kruk	Z mazurskiego brulionu Mój Morąg (2)	26
Ks. Jan Perszon	Z Lubichowa do Indian Pomorscy kapłani w Ameryce	28
Bożena i Stanisława Miechowicz	Z Kraju Klonowego Liścia Zapiski z opóźnieniem	30
s.j.	Zakończenie I Kongresu Kocińskiego	35
J.L.	Oblicza pomorskich biskupów	37
Krystyna Stroynowska	Los Majkowskiego i jego książki	38
Erwin Kruk	Pamięć o Lechu Bądkowskim	40
Jan Zbrzyca	Sztuka ludowa Kaszub	41
Tadeusz Sadkowski	Pieta z Trzebnia	43
Józef Borzyszkowski	Północna Fryzja i pismo „Nordfriesland”	45
Eugeniusz Pryczkowski	Umarł „Król”	48
Dariusz Szczecina	Odszedł piewca Pomorza	51
Edward Breza	Kętrzyno, Kętrzyński, Kantrzonka i przydomki szlacheckie Kętrzyńskich	52
	Listy	53
	Klęka	54
Kow.	Informacje regionalne	62

Na okładce: Otto Brausewetter (1835 - 1904) „Wirydarz klasztoru o.o. franciszkanów”, olej, 1861 r.

Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Gdańsku. Fot. Ryszard Petrajtis.

W opracowaniu graficznym numeru na s. 8 - 11, 25, 39 wykorzystano motywy rzeźb: Alojzego Dmochewicza, Henryka Hewelta, Zygmunta Kędzińskiego, Ryszarda Radmanna

Numer wydano dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki

Wydawca: Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

Adres redakcji: Straganiarska 20-22, 80-837 Gdańsk, tel. 31-90-16, 46-27-23, fax 46-26-13

Konto: BG IV Oddz. Gdańsk 301817-664390-132

Redakcja: Stanisław Janke, Cezary Obracht-Prondzyński (redaktor naczelny), Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji), Jan Misiak (opracowanie graficzne), Ewa Judycka (korekta), Zbigniew Wulczyński, Elżbieta Wasiluk (skład).

Kolegium: Eugeniusz Gołąb, Jerzy Kiedrowski, Kazimierz Ostrowski, Maria Pająkowska, Wiktor Pepliński, Jerzy Samp, Brunon Synak, Edmund Szczesiak

Druk: Drukarnia Wyższego Seminarium Duchownego „Bernardinum”, pl. Mariacki 7, 83-130 Pelplin

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany tytułów.

Po pierwsze, nie wierzę, że istnieje coś takiego, jak kultura uniwersalna; kultura obszaru nadbałtyckiego jest sumą wszystkich kultur tego regionu. Po drugie uważam, iż sami Niemcy muszą określić swój stosunek do własnej historii i kultury. Obydwie wojny, problem niemieckiej winy, a po wojnie podział Niemiec, doprowadziły do tego, iż Niemcy zupełnie zapomnieli, jak to jest czuć się Niemcem i jednocześnie patriotą.

Wspólne dziedzictwo kulturowe, s. 2

Ponieważ zaś (jak mówi owa instrukcja) „każda panienka ma być jak anioł”, urabianie obyczajów na wzór anielski musiało kosztować dużo roboty. Dziewczęta miały „miłować ochędóstwo”, same się obsługiwać i pilnować tak, „aby nie dopiero chędożyć trzeba z nimi było, kiedy którą bądź do rodziców zawołają”.

Każda panienka ma być jak anioł, s. 5

Poznałem Angielkę, wziąłem z nią ślub cywilny, ale ona mnie potem zostawiła, bo wołała innego. W Manchester kupiłem starą rudę, urządziłem w niej piekarnię i cukiernię. Interes szedł tak dobrze, że niebawem miałem trzy sklepy. Później, kosztem jednego, urządziłem dostatnio dwa sklepy. Moje torty, makowce, to było tam coś nowego. Po moje wypieki przyjeżdżali nawet z Liverpoolu i Londynu.

Droga do gniazda, s. 17

Prenumerata „Pomeranii” w kraju w I półroczu 1996 wynosi:
12 zł / 120 000 starych zł; (1 egz. 2 zł / 20 000 starych zł);
za granicę: 36 zł / 360 000 starych zł;
kwartalnie w kraju: 6 zł; za granicę: 18 zł.

REGIONY NADBAŁTYCKIE

Wspólne dziedzictwo kulturowe

Z dr. Dietmarem Albrechtem
kierownikiem Akademii Bałtyckiej
rozmawiają: Miłostawa Borzyszkowska
i Cezary Obracht-Prondzyński

Pisaliśmy już na łamach „Pomeranii” o wspólnych imprezach ZKP i Akademii Bałtyckiej, mniej natomiast o samej idei i działalności akademii. Akademia powstała w 1988 roku w Lubece. Jakie cele przyświecały jej twórcom?

Idea utworzenia akademii wyszła od osób pochodzących z Pomorza, mniej lub bardziej związanych z Ziomkostwem Pomorskim. Te kilka osób, z Philippem von Bismarckiem, urzeczywistniało ideę – która wtedy, w latach osiemdziesiątych, wydawała się być utopią – stworzenia centrum spotkań, miejsca porozumienia oraz wspólnej działalności dla Niemców i ich sąsiadów ze Wschodu, przede wszystkim Polaków. Centrum powstało w Lubece, ponieważ przekonani byliśmy wówczas, że granice w Europie są nie do pokonania, zwłaszcza zaś granica w samych Niemczech; Lubeka natomiast otwarta jest na Bałtyk. Akademia nie miała być tylko pomorska czy polsko-niemiecka, lecz bałtycka, przyciągająca wszystkie kraje z regionu Morza Bałtyckiego. Ta utopia, ta wizja skonkretyzowała się bardzo szybko. Otwarcia akademii dokonano 5 września 1988 roku w obecności prezydenta Richarda von Weizsäckera.

Jaka jest struktura akademii?

Podobnej instytucji w Niemczech nie ma. Akademia jest samodzielna, posiada własny statut, uchwalony przez Ziomkostwo Pomorskie, nakreślający w bardzo luźnych ramach obszary działalności akademii. Prawnie odpowiedzialny za pracę akademii jest Zarząd Pomorskiego Związku Centralnego. Związek jest pewną formą federacji organizacji pomorskich, przed którym odpowiedzialny jest kierownik akademii. Federacja wyłania swoje kuratorium, składające się z ponad tuzina osobistości życia publicznego, posłów do parlamentów: krajowego, federalnego i europejskiego, reprezentujących różne opcje polityczne. Jest ono ponadpartyjne i stanowi lobby wobec rządu krajowego i federalnego. Na czele stoi prezydent akademii – Philipp von Bismarck. Kuratorium nie jest związane bezpośrednio z ziomkostwem. Niezależność daje nam też samodzielny budżet.

No właśnie, jakie są źródła waszego utrzymania przy tak dużej liczbie współpracowników, mnogości inicjatyw? Jesteście też strukturą administracyjną. To wszystko wymaga dużych środków.

Akademia ma niewielu pracowników. Ze swego budżetu utrzymuje tylko dwóch pracowników naukowych, ze mną włącznie. Dwaj inni etatowi pracownicy merytoryczni, opłacani są z pieniędzy ziomkostwa, które otrzymuje je z Bonn.

Ile więc osób pracuje w akademii?

Myślę, że nie ma w Niemczech drugiej takiej instytucji, która by z tak niewielką liczbą współpracowników realizowała tak szeroki program. Ale chciałbym otwarcie podać liczby. Nasz budżet, z którego opłacani są pracownicy naukowcy i administracja wynosi 750 tys. DM. Z tego 1/3 otrzymujemy od rządu krajowego Szlezwiku-Holsztyna, a 2/3 z budżetu federalnego. Do tego dochodzą pieniądze na projekty, seminaria, konferencje – 1,5 miliona DM – o któ-

re musimy ubiegać się na każdy projekt z osobna. Tego nie ma w budżecie. Mamy jeszcze pieniądze wpłacane przez uczestników spotkań. W ostatnim roku około 600 tys. marek. Rocznie więc dysponujemy kwotą około 2,8 mln DM.

Jak rozumiecie „ideę bałtycką”, sygnalizowaną w nazwie akademii?

Jestem pewien, iż Morze Bałtyckie stanie się w przyszłości *mare nostrum* tak, jak przed dwoma tysiącami lat Morze Śródziemne. Naszym morzem – dla wszystkich, którzy nad nim mieszkają. Zorganizowaliśmy kilka konferencji, na które zaprosiliśmy gości ze wszystkich dziesięciu państw nadbałtyckich, również Norwegię. Niespodziewanie wyraźnie uzmysłowiły one, jak wiele łączy wszystkie te narody, wszystkie te regiony – wspólna historia, tradycje kulturowe, obecne stosunki ekonomiczne, a także konieczność zapewnienia wspólnego bezpieczeństwa.

Z jakimi środowiskami w tych państwach utrzymujecie kontakty?

Po pierwsze, są to ludzie związani z kulturą, nauką, polityką – w tej właśnie kolejności – wreszcie z gospodarką. Ważnymi partnerami dla nas są także mniejszości. I to nie tylko niemieckie. Również np. Polacy na Litwie czy też Rosjanie w krajach bałtyckich, Szwedzi w Finlandii, Duńczycy w Niemczech, Niemcy w Danii. Traktujemy te wspólnoty jako kapitał, bogactwo obszaru nadbałtyckiego.

W Polsce, na Pomorzu, naszym największym partnerem jest Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, podobnie jak na Litwie Towarzystwo Małej Litwy i Instytut Badawczy Historii Litwy Zachodniej i Prus. Mamy również partnerów na Łotwie, w Estonii, Finlandii, coraz więcej na Ukrainie – w Czernowicach oraz we Lwowie. Dobrze układa nam się współpraca z kilkoma uniwersytetami: wrocławskim, jagiellońskim, a zwłaszcza ze szczecińskim. Drugim bardzo ważnym partnerem na terenie byłych Prus Wschodnich jest Towarzystwo „Borussia” w Olsztynie. Mamy też pierwsze kontakty z Fundacją „Pogranicze” w Sejnach.

Ci, którzy powierzchownie tylko interesują się działalnością akademii, zastanawiają się, czy ta szeroka aktywność nie wynika w jakiejś mierze z patrzenia na germański macecznik na Północy, gdzieś w Skandynawii, patrzenia na Wschód, który zawsze przyciągał niemieckich osadników. Czy nie odzywa się jakiś zew z przeszłości?

Z pewnością istnieją siły, które chętnie widziałyby taką działalność akademii. Z pewnością też istnieją w rejonie bałtyckim silne, nie tyle germańskie, co dolnoniemieckie więzi, od Flandrii aż po Talin. Podkreślam, nie germańskie, a dolnoniemieckie. Ich ślady odnajdujemy w całym regionie nadbałtyckim, a nawet w głębi Karelii czy w Petersburgu. Tych wspólnych korzeni, zarówno emocjonalnych, jak i historycznych, nie odczuwają Niemcy z Bawarii czy z Badenii-Wirtembergii, lecz właśnie Niemcy z Północy. Jeśli przyjedzie się do Talina, odnajdzie się Lubeckę. A jeśli do Gdańska i zobaczy się ceglany gotyk... I to są te wspólne elementy wokół Bałtyku.

Interesuje nas oczywiście niemiecka historia, kultura, ale jako część wspólnego dziedzictwa kulturowego tego re-

gionu. Jako część historycznego zawirowania, a nie dominacji. To jest motorem pracy akademii. Również naszym partnerom zależy na ożywieniu tych historycznych związków, a to może urzeczywistnić się tylko wtedy, kiedy nikt nikogo nie będzie próbował zdominować.

Te sentymenty może są i zrozumiałe, niemniej dla wszystkich stron ważne jest pytanie o miejsce i jakość kultury niemieckiej w całym obszarze bałtyckim. W ubiegłym roku akademii zorganizowała seminarium pt. „Język niemiecki – nowa »lingua franca« w całym obszarze bałtyckim?” Po tym spotkaniu pytano mnie, czy nie ma takiej tendencji, aby właśnie kultura niemiecka stała się pewną formą kultury uniwersalnej na tym obszarze, tak jak łacińska dla Morza Śródziemnego. Czy Morze Bałtyckie nie stanie się morzem kultury języka niemieckiego?

Zgadzam się. Pod tym względem porównanie z *mare nostrum* jest niebezpieczne. Wypowiadam się tu w imieniu Akademii Bałtyckiej: żaden z naszych współpracowników nie uważa kultury niemieckiej za dominującą i uniwersalną. Muszę jednak dodać, że, po pierwsze, nie wierzę, że istnieje coś takiego, jak kultura uniwersalna; kultura obszaru nadbałtyckiego jest sumą wszystkich kultur tego regionu. Po drugie uważam, iż sami Niemcy muszą określić swój stosunek do własnej historii i kultury. Obydwie wojny, problem niemieckiej winy, a po wojnie podział Niemiec, doprowadziły do tego, iż Niemcy zupełnie zapomnieli, jak to jest czuć się Niemcem i jednocześnie patriotą, co dla Polaka rozumie się samo przez się. Jeśli tego normalnego stosunku do własnej nacji nie odnajdą, własnej nacji w dzisiejszych granicach, ale z historią, która poza nie wykracza, może to nawet stać się niebezpieczne. Wtedy może nas zalać pravicowa fala. Nasza więc praca w akademii jest też przyczynkiem do odnalezienia tego rozsądnego stosunku do samych siebie, do własnej historii, sąsiedztwa, teraźniejszości i do przyszłości.

Problemy, które teraz poruszyliśmy, są dla Polaków niezwykle ważne. W polskiej prasie pojawiły się ostatnio artykuły, mówiące o relatywizowaniu w pewnych środowiskach niemieckich kwestii zakończenia wojny i odpowiedzialności. Dla nas w Gdańsku oczywiście najważniejsze jest Pomorze. Śledzimy wypowiedzi niemieckich środowisk, historycznie i emocjonalnie związanych z naszym regionem – ziomkostw pomorskich i zachodniopruskich oraz gdańskich. Słuchając tych opinii – o końcu wojny, tego, co było przed i po roku czterdziestym piątym – wyczuwamy jakieś zawieszenie, taką specyficzną formułę relatywizacji odpowiedzialności i winy. Wydaje się, jakby pomiędzy rokiem dwudziestym a czterdziestym piątym nic się nie wydarzyło, a tragedia Niemców w roku 1945 to był największy kataklizm. Skutecznie eliminuje się z pamięci fakt, że do tragedii Niemców w 1945 roku, coś przecież doprowadziło. Ten relatywizm, pięćdziesiąt lat po wojnie, szczerze mówiąc, niepokoi wielu Polaków. Na ile akademii, pracując z ludźmi związanymi z ziomkostwem, stara się im przybliżyć inny punkt widzenia historii, właśnie ten nasz, polski czy litewski...

Znowu muszę wypowiedzieć się w imieniu akademii, jej

współpracowników i osobistości wspierających naszą działalność. Dla wszystkich nas podstawą działalności jest niepodważalność granic z roku 1945. Także otrzymywanie przez akademię pieniędzy uwarunkowane jest przestrzeganiem międzynarodowych układów oraz niepodważaniem granic z roku 1945 ni słowem, ni czynem. Praca akademii ogniskuje się na porozumieniu Niemców z ich sąsiadami na Wschodzie. Właśnie dlatego, że istnieją kręgi relatywizujące wynik i przyczyny wojny, sformułowano ten warunek. Jest to decyzja rządu federalnego, przez nas popierana. Fakt, że akademia dysponuje coraz większymi środkami świadczy, że darczyńcy – zarówno rząd krajowy Szlezwiku-Holsztyna zdominowany przez SPD, jak i federalny, popierają naszą działalność, pewni naszego działania na rzecz porozumienia. Bogactwo kultury, wspólnej kultury nadbałtyckiej, możemy rozwijać ponad ograniczonością myślenia kategoriami narodowymi, w wymiarze europejskim. Nauczyli się tego Niemcy i Francuzi – mogą zrobić to Niemcy i Polacy.

Młodzież na pewno nie jest obciążona takim brzemieniem historii, jak pokolenia starsze. Dzieci byłych Pomorzan tracą zainteresowanie małą ojczyzną swoich rodziców. Z drugiej strony, dzisiejsi młodzi Pomorzanie, których rodzice osiedlili się po wojnie na Pomorzu, zwłaszcza w części zachodniej, szukają tutaj swojej małej ojczyzny, nowego zakorzenienia. Obie te grupy powinny odkryć dla siebie całą skomplikowaną historię i tradycję Pomorza. Czy akademia jest w stanie pomóc obydwu tym środowiskom w spotkaniu się?

Mam wielką nadzieję, że tak. Żałuję, że dzieci tych, którzy utracili tu ojcowiznę, nie interesują się właściwie krainą pochodzenia rodziców. Człowiek potrzebuje korzeni, każdy tęskni za dzieciństwem. Myślę, że część tych młodych ludzi opamięta się, wcześniej lub później, gdyż człowiek bez korzeni, bez związku z historią poddaje się łatwo manipulacji. A jeśli chodzi o obecnych mieszkańców Pomorza, Prus Wschodnich czy Śląska, ich zakorzenienie się uważam za podstawę ich egzystencji. Wewnętrzna pewność siebie osiągną dopiero wtedy, kiedy zapuszczą tu rzeczywiste korzenie, gdy poznają swój region i nauczą się go kochać. Jest to dziś bardzo ważne, jeśli nie najważniejsze, zadanie dla Polaków. Ale podobne problemy dotyczą również i Ukrainę, i Litwę. Brak zakorzenienia szczególnie widoczny jest w regionie Królewca. Przeraża mnie, jak mało więzi odczuwają tamtejsi mieszkańcy ze swoim miejscem zamieszkania. To powinno się zmienić.

Akademia powstała na krótko przed wielkimi zmianami w Europie Wschodniej. Większość naszych krajów chciałaby zintegrować się z Unią Europejską. Także Polska. Czy akademia zamierza wychodzić naprzeciw tym dążeniom?

Myślę, że swoją pracą pośrednio już dziś przyczyniamy się do zbliżania się Polski do Unii Europejskiej. Im intensywniejsze będą kontakty międzyludzkie, im lepiej się ludzie poznają, tym szybciej będzie przebiegał ten proces. Ważne jest to, że nie działamy na płaszczyźnie politycznej, lecz właśnie poprzez spotkania, rozmowy – dialog. To powinno wydać owoce w przyszłości. ■



Klasztor w Żukowie

KAŻDA PANIENKA MA BYĆ JAK ANIOŁ

Działalność kulturalna klasztorów żeńskich archidiakonu gdańskiego w XIII-XIX wieku

S. Małgorzata Borkowska OSB

Od średniowiecza aż do rozbiorów znajdowały się w archidiakonacie gdańskim trzy klasztory żeńskie. Najstarszy z nich był klasztor norbertanek w Żukowie, założony około 1210 roku, a skasowany przez rząd pruski w roku 1834. Drugi był klasztor w Żarnowcu, założony około 1240 roku dla cysterek, przekazany w roku 1589 benedyktynek i skasowany przez Prusaków w tym samym roku, co poprzedni. Trzeci wreszcie był klasztor brygidek w Gdańsku, założony w roku 1396 i skasowany w 1835. Wieki tak przełomowe dla historii życia zakonnego, jak XVI i XVIII nic ostatecznie w tym stanie nie zmieniły; żaden z klasztorów w czasach reformacji nie ubył, mimo dość dramatycznych dziejów żarnowieckiej i gdańskiej wspólnoty, ani też żaden nowy w czasach katolickiej reformy potrydenckiej nie przybył, choć fundowano ich dziesiątki w XVII wieku w głębi kraju. Ten swoisty zakonny konserwatyzm Kaszub spowodował, że tutejsze klasztory były licznie obsadzone (zwykle od 30 do 50 zakonnic w każdym) i stosunkowo dobrze uposażone, gdyż od kilku wieków zbierały się im majątki przez kumulację darowizn i posagów. Liczebność zakonnic pozwalała na podejmowanie w samym klasztorze licznych prac, w tym i takich, które łączyły się z działalnością kulturalną; zasobność pozwalała przełożonymłożyć na taką działalność także i poza klasztorem, przynajmniej

w formie zamawiania dzieł sztuki do wystroju klasztornych kościołów.

Napływ powołań był głównie lokalny. U brygidek gdańskich, na przykład, większość zakonnic pochodziła z samego Gdańska i z Warmii, co zresztą, aż do kasaty, powodowało liczebną przewagę Niemek, a część tylko (prawda, że z czasem rosnącą) z dalszych okolic Pomorza. U cysterek w Żarnowcu w wiekach XV i XVI zdecydowanie przeważały przedstawicielki mieszczaństwa, niemieckiego oczywiście, gdańskiego i puckiego. Odkąd klasztor objęły benedyktynki, zdecydowaną większością stały się Polki, głównie więc szlachećki, ale i te przychodziły na ogół z bliska: aż 84 proc. z Pomorza, z tego z ziemi puckiej i wejherowskiej 26 proc. i tylko 16 proc. z głębi kraju. W Żukowie, położonym najdalej na południe archidiakonacie, rekrutacja była pomorsko-kujawska od początku do końca, z wyraźną przewagą narodowości polskiej już nawet w średniowieczu. Ta geografia powołań jest tu dla nas ważna dlatego, że wykreśla ona również zakres kulturalnego oddziaływania każdego klasztoru.

Nie jest znana żadna działalność edytorska tych trzech klasztorów, mimo że benedyktynki przyszły do Żarnowca z Chełmna, czyli z klasztoru, który od początku XVII wieku licznie wydawał książki; najwyraźniej u nas nie nadsładowano w tej sprawie wspólnoty macierzystej. To więc, co rozumiemy

przez kulturalną działalność tych trzech klasztorów, można rozbić na trzy dziedziny: szkolnictwo, działalność artystyczną samych zakonnic i mecenat sztuki kościelnej.

Szkoły przy wszystkich tych trzech klasztorach są poświadczone już w średniowieczu. Dla Żarnowca świadectwo jest dość późne; w roku 1559 cystynki tutejsze wysłały do sejmiku szlachty pruskiej list, w którym ogłosiły, że przyjmują dziewczęta na wychowanie. Niewątpliwie robiły to i wcześniej. Po przejęciu klasztoru przez benedyktynki szkoła działała aż do kasaty. U brygidek gdańskich jest wiadomość o istnieniu szkoły już w roku 1415; były to właściwie nawet dwa osobne zakłady, mianowicie normalna szkoła dla gdańskich dziewcząt oraz dom poprawczy dla byłych prostytutek. Ten ostatni istniał przy klasztorze do końca XV wieku; szkoła zapewne istniała dłużej, ale w końcu wieku XVI była już z pewnością nieczynna i nie wiemy, czy jej działalność wznowiono po odrodzeniu się klasztoru i po powrocie brygidek z kilkuletniego wygnania w roku 1612. Dodajmy, że jest także ślad przyjmowania w wieku XV pojedynczych dziewczyn na naukę przez tercjarki dominikańskie w Gdańsku, ale ich zakon istniał tylko do połowy XVI wieku. I wreszcie o Żukowie wiadomo, że w XIII wieku oddawano tam na naukę córki pomorskiej rodziny książęcej, a sądzić można, że i inne dziewczęta; w

czasach krzyżackich wiadomo o uczennicach z patrycjatu gdańskiego, potem, aż do rozbiorów, szkoła jest popularna głównie wśród pomorskiej szlachty. Co najmniej od końca XIV wieku była także przy tym klasztorze szkoła dla chłopców, zwanych tu żaczkami, których uczył kapelan, a siostry żywiły ze swojej kuchni. W sumie więc mamy dwie szkoły z internatem dla dziewcząt: w Żarnowcu i Żukowie, jedną dla dziewcząt dochodzących w Gdańsku i jedną szkołę dla chłopców.

Bardzo mało jest źródeł dotyczących codziennego życia i działalności tych szkół. Jak na dzisiejsze pojęcie, nie były one duże: w internacie żarnowieckim mogło być uczennic kilkanaście, w każdym razie raczej nie ponad dwadzieścia, w żukowskim do trzydziestu. Nazwisk zachowała się tylko garstka. Wiadomo, że w Żarnowcu tuż przed przejęciem klasztoru przez benedyktynki było kilka uczennic, wśród nich zaś „córka sędziego puckiego”, więc najprawdopodobniej Krokowska. W Żukowie w XVII i XVIII wieku zapisano imiennie kilka uczennic, które czymś szczególnym się odznaczyły: tak więc w roku 1727 umarła w szkole mała Ludwika Bąkowska. Trzy inne zapisano dlatego, że pochodziły z niemieckich gdańskich rodzin luterańskich, a oddane zostały do szkoły żukowskiej po to, żeby się nauczyły polskiego i robót ręcznych; przeszły na katolicyzm, zostały zakonnicami, a dwie z nich pociągnęły nadto do konwersji także i swoje rodziny. Były to Filipina Schmiede (w klasztorze 1678-1746), Krystyna Pastoriuszówna (1671-1723) i Marianna Rynkówna (1705-1735). Całe dziesiątki innych uczennic niczym się jednak ciekawym ani dramatycznym nie odznaczyły i nie pozostawiły po sobie śladu w aktach. Zakonnica, która je uczyła i opiekowała się nimi (albo sama, albo, przy większej liczbie uczennic, z pomocą jednej lub dwu innych mniszek) nosiła tytuł mistrzyni panien świeczkich, ale i ten tytuł bardzo rzadko znajdujemy w zapisach źródłowych. Wiadomo, że takimi nauczycielkami były w Żarnowcu benedyktynki: Małgorzata Przepałkowska (zmarła w 1649 r.) i Teresa Szelska (zmarła w 1720); pozostałych po prostu nie zanotowano. W Żukowie znamy z nazwiska tylko jedną, Teresę Donimirską (zmarła w 1770 r.).

Jakkolwiek zdarzało się oczywiście, że któraś z uczennic po ukończeniu nauki zostawała zakonnicą, szkoła klasztorna nie była pomyślana jako wylęgarnia powołań, ale jako zakład wychowujący przyszłe matki rodzin chrześcijańskich. Pierwsza w Polsce instrukcja wychowawcza dla dziewcząt, znajdująca się w dodatkach do wydania reguły benedyktynek polskich z roku 1605, przepisuje szczegółowo, jak wdrażać uczennice do pobożności, pracowitości i porządku, i jak je rozumowo przekonywać do tych cnót, żeby wróciwszy do domu mogły już bez zewnętrznego dozoru, mocą własnego urobionego sumienia, odpowiedzialnie podejść do życia i jego obowiązków. Trzeba pamiętać, że ówczesna szkoła klasztorna stawiała sobie za cel przede wszystkim wychowanie, a dopiero na drugim miejscu wykształcenie. O programie tego drugiego wiemy niewiele, zwłaszcza gdy chodzi o polskie szkoły klasztorne w średniowieczu. Nieco więcej wiadomości mamy z Francji i okazują się bardzo różne. Były tam takie klasztory, w których uczono greki i hebrajskiego – nie mówiąc o czymś tak oczywistym, jak łacina – ale były i takie, w których nie uczono nawet liter, poprzestając na wychowaniu pobożnym i robótkach. O Polsce znam tylko jeden zapis, mówiący o nauce czytania, pisania i robót (XV wiek). W czasach nowszych, a więc w XVII i XVIII wieku, uczono niewątpliwie czytania, pisania, rachunków, katechizmu, śpiewu i haftu. Języki obce zjawiają się w połowie XVII wieku, ale nie wszędzie i nie ma żadnych śladów, żeby ich uczono w klasztorach pomorskich. Gra na instrumentach muzycznych jest bardziej prawdopodobna, gdyż ówczesne zakonnice uprawiały ją chętnie same, więc też mogły jej uczyć.

Wspominałam już o głównie lokalnej rekrutacji tutejszych wspólnot zakonnych, a także ich uczennic. W Żarnowcu zachowała się wiadomość (późna, bo dopiero z początku XIX wieku), że w szkole klasztornej były córki okolicznej zagonowej szlachty, puckich mieszczan i wreszcie także co zamożniejszych chłopów, czyli gburów. Najwyraźniej więc edukacja klasztorna szła „pod strzechy” i zostawała w okolicy. Miało to ogromne skutki dla kultury artystycznej rejonu. To, co dzisiaj

nazywamy haftem kaszubskim jest typowo barokowym ornamentem kwiatowym, który w XVII wieku był uprawiany w całej Europie (stąd, na przykład, obecność w nim roślin południowych, jak jabłko granatu, czy holenderskich, jak tulipany); w XVIII wieku takie zdobnictwo utrzymywało się już tylko na głębokiej prowincji, a więc w naszych klasztorach wiejskich, w XIX zaś wieku, po zamknięciu szkół klasztornych, przetrwało na Kaszubach po prostu siłą tradycji. Nieco się oczywiście zmodyfikowało, zróżnicowało i podzieliło na style lokalne, niemniej nadal jest to właśnie ten barokowy haft, którego prababki praprababek dzisiejszych hafciarek uczyły się w szkołach klasztornych w Żarnowcu i Żukowie.

O życiu takiej szkoły klasztornej w XVII i XVIII wieku mamy już dość dokładne wiadomości dzięki wspomnianej tu instrukcji pedagogicznej benedyktynek; niewątpliwie u norbertanek było ono identyczne. Najuczulliwszym, jak na nasze dzisiejsze pojęcia, punktem dnia było wstawanie o piątej rano, co jednak wówczas było rzeczą naturalną, gdyż wykorzystywano światło dzienne raczej niż kłopotliwe i blade oświetlenie sztuczne. Uczennice miały swoje osobne poranne pacierze, o wiele krótsze niż modlitwy mniszek; po mszy św. miały śniadanie (którego mniszki ówczesne nie jadły) i potem kilka godzin nauki. W południe był obiad, po nim czas na zabawę, od trzeciej miały znów dwugodziną naukę i resztę czasu wolną. Po kolacji była krótka modlitwa wieczorna i rachunek sumienia, na który w wychowaniu kładziono szczególny nacisk. Spać szły uczennice o tej samej porze, co mniszki, czyli między ósmą a dziewiątą; ale ponieważ nie wstawały na modlitwy nocne, miały zapewnione minimum osiem godzin snu.

Ponieważ zaś (jak mówi owa instrukcja), „każda panienka ma być jak anioł”, urabianie obyczajów na wzór anielski musiało kosztować dużo roboty. Dziewczęta miały „miłować ochędóstwo”, same się obsługiwać i pilnować tak, „aby nie dopiero chędożyć trzeba z nimi było, kiedy którą bądź do rodziców zawołają”. Mistrzyni miała zwłaszcza doglądać codziennego mycia i czesania, „żeby która przez jakie niedbalstwo do złego zdrowia, do zapługawienia

głowy, do krost lub do pogubienia szatek swoich nie przyszła". Do anielskich obyczajów należało też ułożenie zewnętrzne i tu już dostajemy mnóstwo szczegółowych wskazówek: że nie trzeba w ruchach „żadnej skwapliwej prędkości pokazywać”, że usta trzeba ani nazbyt ścieśnione, co było kokieterią, ani też otworzone trzymać: chodzić spokojnie, mówić bez wrzasku, a co najważniejsze, zachowywać zawsze pogodę i cierpliwość. W tej nauce wszystko się zazębiało, obyczajowość z pobożnością i z wiedzą. Zdaje się, że barokowe aniołki, którymi oblepione są w naszym kościele boczne ołtarze, nie przeszły przez klasztorną szkołę, gdyż wiele z nich ma buzie porozdzielane całkiem nieobyczajnie; co jednak uchodziło aniołkowi drewnianemu, nie uchodziło żywemu.

Drugim oprócz szkoły terenem kulturowej działalności zakonnic było zdobnictwo. Z terenu Kaszub nie mamy żadnych zachowanych zapisów imiennych o haftujących zakonnicach, mamy tylko w Żarnowcu dwa podpisy: inicjały księżki tutejszych – Barbary Wustenhoffówny (+1719) i Jadwigi Kalkszteinówny (+1797) – na wykonanych przez nie ornatach. I mamy, tak w Żarnowcu, jak i w Żukowie, zbiory szat liturgicznych, haftowanych misterni w klasztornych pracowniach. Z innych klasztorów, w głębi Polski położonych, możemy dla pełni obrazu zacytować parę szczegółów dotyczących takiej pracy. Dużo ich znajdujemy w kronice benedyktynek chełmińskich, gdzie rok po roku zapisywano nie tylko wydatki na „materię do kościelnej roboty”, czyli tkaniny i nici, ale także szczególnie cenne i ozdobne efekty tej pracy, na przykład: „[1592] Do kościoła sprawiono ornat na białym tle z jedwabiu i blaszki srebrnej, a na nim złotem, barwistymi jedwabiami i perłami haftowano... [1594] Domek na Boże Ciało włoskim kształtem z czerwonego aksamitu sprawiono, na którym kwiaty z białego tabinu i z sznurkami złotymi porobiono”. Mamy więc opisy haftów, aplikacji i naszywania klejnotów. Haftowano nie tylko szaty: jest w tej samej kronice wzmianka o pełnej dekoracji Grobu Pańskiego na Wielki Piątek, wykonanej tą samą techniką, najwyraźniej mniszkom ulubioną. Z jeszcze innych klasztorów zachowa-



Klasztor w Żarnowcu

ły się wzmianki o rysowaniu wzorów do tych haftów albo przez szczególnie utalentowane zakonnice, albo przez wynajmowanych do tego malarzy. Oprócz tkanin specjalnie w tym celu kupowanych wykorzystywano również świeckie suknie nowicjuszek obleczonych już w habity.

Siostry wykonywały tę pracę we wspólnej sali, gdzie każda miała swoje miejsce i swoje krosienka. Przy pracy obowiązywało milczenie, w wielu jednak zakonach zalecano w tym czasie głośną lekturę, najczęściej żywotów świętych. Wnętrza nie zawsze były ogrzewane, a bardzo często przynajmniej nie dogrzane, toteż zachowały się i takie zapisy, jak o księni norbertanek zwierzynieckich, która swoim hafciarkom, marznącym w ogromnej sali, przynosiła dla rozgrzewki kubeczki gorącego kapuśniaku. Haftowano wtedy we wszystkich klasztorach: w zasobniejszych dla własnej zakrystii i na prezenty (tak, na przykład, w Chełmnie w roku 1618 przejeżdżającemu nuncjuszowi podarowano welon na kielich mszalny); w uboższych klasztorach haftowano także i dla zarobku. Zważywszy, że nawet te szczególnie pracochłonne dzieła, które potem opisywano w kronikach jako najbardziej udane, nie zabierały więcej niż półto-

ra do dwóch lat pracy, hafciarek zaś były setki, zbiory szat przez nie sporządzonych rosły dosłownie w oczach aż do końca XVIII wieku; potem jednak przyszły wojny, kasaty, zniszczenia i do naszych czasów dotrwało już bardzo niewiele. W całej Polsce północnej zbiór żarnowiecki i nieco odeń mniejszy żukowski są w tej chwili unikatami; dlatego są tak sławne.

Innym typowym polem działalności kulturalnej zakonnic była muzyka, oczywiście kościelna. Na Pomorzu nie miałyśmy zakonnic kompozytorek, których kilka było w Polsce centralnej i południowej, ale miałyśmy entuzjastyczne wykonawczynie. Inna rzecz, że najstarszy zapis, dotyczący śpiewu w Żarnowcu, mówi o kimś, kogo śpiew odstraszył. Mianowicie w XIV wieku dziedzic Krokowej, pan Piotr, człowiek w gorącej wodzie kąpany, tak się co niedziela spieszył z kościoła do domu na obiad, że wprost doczekać się nie mógł, kiedy mniszki na chórze skończą wywodzić swoje mszalne trele. Robił więc głośne awantury w kościele, aż same siostry zaczęły prosić biskupa, żeby przesunął Krokowę do innej parafii. W końcu pan Piotr postanowił raczej zbiednieć, a zakonnic dłużej nie słuchać, więc we własnej wsi zbudował drewniany kościółek i wyposażył

plebana. Taki był w roku 1342 początek parafii krokowskiej. Niemniej tak u benedyktynek, jak i u brygidek i norbertanek urząd kantorki (odpowiedzialnej za wykonanie śpiewów chórowych) uważany był za jeden z najważniejszych i którakolwiek siostra go sprawowała, notowano to pieczołowicie w aktach. Ten szacunek świadczy, że na pewno nie zadowalano się byle jakim wykonaniem i śpiew stał na poziomie godnym chwały Bożej. W roku 1673 benedyktynki żarnowieckie stwierdziły, że jeszcze za mało śpiewają i w swoich codziennych modlitwach w dni powszednie zastąpiły niektóre części recytowane śpiewanymi, jak w święta. Oprócz wykonawczyń miałyśmy tu także kopistki ksiąg liturgicznych. W Żarnowcu trzeba przede wszystkim wspomnieć Małgorzatę Koelers, rodem z Elbląga, która w połowie XV wieku sporządziła zachowany do dzisiaj i wyjątkowo piękny graduał, z Żukowa zaś przypomnijmy norbertankę Annę Borkowską (+ 1692), którą w tamtejszej księdze zmarłych określono jako „pisarkę ksiąg notowanych”, czyli, dzisiejszym językiem mówiąc, nutowych.

Dochodzimy wreszcie do mecenatu sztuki kościelnej. Obejmowało to wystrój wnętrz kościelnych i cały sprzęt zakrystyjny, a więc prace rzeźbiarskie, malarzy i złotników. Oczywiście im dłużej klasztor istniał, tym więcej było okazji do całkowitego lub częściowego wyposażenia go w cały ten sprzęt i wystrój od nowa. O dostarczanie takich okazji troszczyła się historia. Do wielkich rzadkości należał w Polsce klasztor, który by raz tylko zbudowano, większość budowano dwa razy, nie jeden trzy lub nawet cztery. Prawie zawsze bowiem budowano najpierw w drewnie, w cegle zaś lub kamieniu dopiero kiedy wspólnota wzbogaciła się na tyle, żeby móc sobie na to pozwolić, albo (z daru jakiegoś dobrodzieja), kiedy już drewniane budynki zaczynały się walić na głowy. Dodajmy do tego pożary całych miast, wzniesione nie raz przez jedną nie dopilnowaną iskrę z jednego nieszczęsnego komina, zniszczenia wojenne, okresy wygnania i rabunku; a jeśli nawet pozostały ściany, to cały sprzęt i wystrój na ogół przy takich okazjach ginął. Wreszcie, nawet jeżeli żaden wróg nie spalił ołtarzy, rozpadały się one (jako drewnia-

ne) na skutek pracy korników. Stąd we wszystkich prawie, nie tylko zakonnych kościołach gotyckich w Polsce, cały wystrój jest barokowy. Mniszki kładły szczególnie dużo serca w to, żeby dom Boży godnie przyozdobić, i raczej by same chodziły boso, niż miałyby dopuścić do jakiegoś w tej sprawie zaniedbania. Bieda była w tym, że nie zawsze mogły znaleźć dobrego artystę. Złotnictwo sprowadzano do kaszubskich klasztorów z Gdańska i było ono na rzeczywiście wysokim poziomie, ale już z rzeźbiarzami różnie bywało, jak to i dziś w naszym, żarnowieckim kościele i skarbcu można stwierdzić, a największy kłopot był z malarzami. Czasem udawało się znaleźć prawdziwego mistrza, jak ten nie zidentyfikowany uczeń Hermana Hahna, który około roku 1686 wykonał obraz Zwiastowania w ołtarzu głównym, ale do stall, tak tych, które dzisiaj stoją w prezbiterium, jak i znajdujących się na chórze, najeto zdecydowanie marnych pacykarzy. Zapewne nie każda ksieni równie łatwo potrafiła odróżnić dobrą sztukę malarską od gorszej.

Dzisiaj norbertanek w Żukowie już nie ma, ich kościół jest już tylko parafialny; brygidki do Gdańska wróciły kilka lat temu, ale nie do swojego dawnego kościoła, i tylko jako mała placówka czynnego zgromadzenia. Benedyktynki wróciły do Żarnowca w roku 1946. Przez pierwsze lata uczyły w tu-tejszej szkole, później im tego zabroniono. Odsunięcia nas od działalności pedagogicznej nie żałujemy, gdyż w naszych czasach szkoła wymaga już o wiele większego zaangażowania niż dawniej, nasze zaś powołanie jest przede wszystkim kontemplacyjne i nie z każdą pracą równie dobrze się łączy. Także włości ani kapitałów już obecnie nie mamy, więc nie stać nas na mecenat sztuki kościelnej, chyba że w bardzo małym, prywatnym wymiarze, a i to tylko z darów. Ile natomiast własnej pracy możemy włożyć w rozwój kultury chrześcijańskiej, tyle staramy się wkładać, zgodnie z talentami i fachowym przygotowaniem każdej: czy to przez uprawianie malarstwa, czy przez konserwację zabytków, czy przez badania historyczne, czy wreszcie przez codzienną troskę o to wszystko, co pozostało do naszych czasów z 750-letnich dziejów naszego klasztoru. ■



Madonna z fikającym Dzieciątkiem

Nie tylko scherzo
ale właśnie scherzo
jak żart uroczy
w świątecznym koncercie
jesteś Madonno
od sześciu wieków
z tym fikającym Dzieckiem na ręce
Patronko naszych żartów wybryków
pewnie się sama
dusisz od śmiechu
matczyna w ustach
dziewicza w oczach
piękna jak letni poranek
przed ludźmi jednak
dziwisz się wielce
skąd w moim Synu taka pustota

S. Dorota OSB

Żarnowiecka Madonna Siedemsetletnia

Nie przysłaś a zstąpiłaś
w pantofelkach niby cesarzowa
hieratyczna poza Cię zdradza
o Dostojna
Dzieciatko jabłkiem władzy
bawi się poważnie
doliny kwitnącej żarnowcem
książę się zrzeka
białe mniszki Ksienią swą mianują
cień sarenki spod stóp Ci umyka

z ognia
Twoich wszystkowidzących oczu
pozwól nam
znaki nieba odczytać



Pokusa

Zdejmij nam z głowy
ciężar korony człowieczej
połóż rękę na sercu
boską lekkość
na pustyni zamiast kamieni
dla bezbronych hufiec ognisty
o krzyżu nie mów
choć przez chwilę
już wiemy przecież



Aleksy Pepliński

Kolęda królewskô

Mě kszężta ze wschodu słuńca
Jidzmě do Betlejem!
Cygniemě do Kaszëb kuńca,
Gwiôzda nas czerëje.

Bóg sę zechcôł na swiat zjawic
W taczim biédnym kraju
I nas wszëtczych w sjece zbawic,
W opiece mô naju.

Wszëtczië môłé, wiôldzië luda
Ceszta sę nôdzeja,
Bo za sprawą Bożą cuda
wiôldzië dzys sę dzeja.

Tam Syn Boży z bidlątkama
Leży w lëchim żłobie
A më do nie z darënkama
Sklôdac Jezu Tobie.

Ida Czajinô

Kolęda

Hewo zapôła sę skra na niebie,
Ta gwiôzda królewskô,
Synkowi na szczescé,
Niech Mu swięcy a pôli w potrzebie.
A Nënka szczestlëwô
Żużônczi Mu spiëwô.

Urodzony w szczestlëwi godzënie,
Szczestlëwi dlô swiata,
A Boscziego Brata
Nie poznôł nikto w Mariji Sënie.
A Nënka szczestlëwô
Żużônczi Mu spiëwô.

Józwa. Të barni go przed Herodem,
Do cëżëch ucékôj,
Za renkę nie czekôj.
Tak przestrzegôł aniôł z nieba rodem.
A Nënka szczestlëwô
Żużônczi Mu spiëwô.

Z ležnoscë Gwiôzdczi
wszëtczim bëlnym Czëtińcom žëczimë
wiele cepła i redoscë
w zetkanim z Božim Dzecatke
nôdzeji ë szczesclëwotë w Nowim Roku
Redakcëjo „Pomeranii”



Tadeusz Linkner



ŚWIĘTO KOLADY

W II tomie „Starożytności słowiańskich” z 1852 roku, kiedy to jeszcze nie wyciszyła się romantyczna fascynacja dawnymi, przedchrześcijańskimi wierzeniami Słowian, pod hasłem KOLADA pisano, że było to bóstwo słowiańskie o kilku twarzach, a jego „huczna” uroczystość przypadała na 24 grudnia. Po rusku zwała się ona właśnie „Kolada”, natomiast po polsku – „Kolęda”. Podobnie mówili o Koladzie już wcześniej inni autorzy. Przywołam tu tylko Adama Naruszewicza, który w „Historii narodu polskiego” (t.2-7, 1780-1786), a konkretnie w tomie II, omawiając „Mitologię słowiańską”, tak pisze o KOLADZIE: „Cześć tego bożyszcza trwała u Rusinów do nawrócenia się Włodzimierza Wielkiego. Było to osobliwsze tego narodu bóstwo (...), iż było tem samem bożyszczem co i Janus rzymski, z tej przyczyny, że rozliczne miało twarze, i że święcili mu Rusacy na cześć dzień 24 grudnia, a nawet chrześcijanami zostawszy w tym dniu uświęconym narodzeniem Chrystusa, różnemi gry i tańcami bawili się, zostawiwszy temu to czasowi dawnego bożyszcza nazwisko, to jest Kolady czyli kolendy. Wnoszę, iż musiało to bóstwo jakie odbierać i od Polaków czci, gdyż temu samemu czasowi i u nas nazwisko kolęd do dziś dnia służy”. Później powtórzyli za Naruszewiczem słowa o KOLADZIE inni, także Józef Ignacy Kraszewski w „Odczytach o cywilizacji w Polsce” (1861) oraz Joachim Szyc w najobszerniejszej w swoim czasie mitologii, zatytułowanej „Słowiańscy bogowie” (1865). Coraz rzadziej mówiono o bóstwie o tym imieniu w pozytywizmie i na przełomie XIX i XX wieku, aż wreszcie powiedziano o święcie „zimowej Kolędy”. Tak mówił Aleksander Brückner w „Mitologii polskiej” (1925). Ten znany historyk, chociaż czytał Naruszewicza, z całą stanowczością dowodził, że „tylko w uczonych baśniach XVII wieku prawiono o niebywałym bóstwie tej nazwy”.

Kiedy więc zabrakło KOLADY w „Mitologii słowiańskiej” (1918) i „Mitologii polskiej” Aleksandra Brücknera,

trudno się dziwić, że przemilczano to imię w „Słowniku kultury dawnych Słowian” (1972) i w „Mitologii Słowian” (1982) Aleksandra Gieysztora. Czas zatracił wiedzę o KOLADZIE i zapewne dzisiaj nie dowiemy się już, jaka była rzeczywistość o niej prawda, i czy w ogóle można by o Koladzie mówić jako o słowiańskim bóstwie. Warto więc wiedzieć, co mówił o KOLADZIE Bronisław Trentowski w znanym nam już rękopiśmiennym kompendium „Bożycy lub teozofia”, a konkretnie w jego tomie trzecim pisanym w latach 1846-1848. W rozdziale zatytułowanym „Wiara słowiańska lub etyka piastująca wszechświat”, gdy przyjdzie kolej na omówienie „Kosmogonii słowiańskiej”, autor mówi o bogach białych, powie także o KOLADZIE.

Najpierw trzeba by jednak przypomnieć, co Trentowski powiedział o grudniu. Jest to konieczne, ponieważ 24 grudnia przypadało święto Kolady. Otóż grudniowi patronował Hładolej, który przejął władzę od Swicza. Hładolej był synonimem tego miesiąca, który niesie zimno, ciemność i głód. Swicz natomiast rządził miesiącami, w których było ciepło i jasno. Stąd też nazywano także Hładoleja imieniem Głodolej. Trentowski tłumaczył to tak:

Po kraińsku i kroacku hlad oznacza chłód. Zaczem Hładolej to tyle, co Chłodolej. Jako więc Swicz jest jasność i ciepłość powszechna, tak Hładolej mocująca się z nią ciemność i zimność. Swicz i Hładolej w boju, to dzień powszechny łamiący się pomiędzy gwiazdami z powszechną nocą. Hładolej idzie tak za Swiczem, jak cień za światłem, chłód za ciepłem. Stąd wypada, że z przestrzenią pokrewne są światło i ciepło, a czasem ciemność i zimno. Po czesku i słowacku znowu hlad znaczy głód. Zaczem Hładolej to tyle, co Głodolej. Swicz jako światłość, rozlewająca się bez granic, jest pierwiastek odpychania, powszechna repulsja. Hładolej tedy, jako Głodolej, stanowi pierwiastek ściągania, powszechną atrakcję. Dowodzi tego znaczenia inne imię jego Gruden, skąd miesiąc Grudzień, ściągający rozlewając się błoto w zamarzłą grudę. I wszystko to w porządku, albowiem jak światło i ciepło rozdyma, tak ciemno i zimno ściąga ciała.

Hładoleja, którego znał także Naruszewicz, nie można było jednak utożsamiać z Koladą. Jak bowiem mówił Trentowski, Hładolej uosabiał wszystko niszczący czas i dlatego kojarzono go z rzymskim Saturnem, natomiast drugie bóstwo – Kolada – rozpoczynało czas i utożsamiano je z Janusem. Słowiańska Kolada stwarzała ponadto ten sam problem, co znana już Długoszowi Nija. Nie były to bowiem boginie, jak mogłoby się zrazu wydawać, a bogi. Trentowski to rozumiał i dlatego powie najpierw, kiedy Koladę świętowano, a potem podkreśli rodzaj męski tego bóstwa.

Lomonosow w „Historii ruskiej” donosi, że Kolada był to samo bożyszcze, co rzymski Janus; że miał rozliczne twarze; że obchodzono święto jego na wszystkich Rusi w dniu 24 grudnia; że Rusacy zostawszy nawet chrześcijanami, podczas Wili Bożego Narodzenia święcili dzień ten, bawiąc się w różne mitregi, gry i tańce, a wykrzykując: Kolada! (...) Karamzin, Kayssarow, Dobrovsky i Rakowiecki dali dowody, iż Kolada jest nie boginią, lecz bogiem.

Inną kłopotliwą sprawą była w czasach Trentowskiego nie tyle geneza imienia tego boga, co funkcjonujące słowa „kolęda”. Ponieważ romantycy prześcigali się w etymologizowaniu, więc i Trentowski nie postąpił inaczej. Czy jego wykład był właściwy, to już inna sprawa. Warto go jednak wysłuchać:

Wyraz kolęda wyprowadzają jedni, idąc za Naruszewiczem, od słowiańskiego bożka Kolady lub Koledy, drudzy zaś albo od colere, skąd pochodzi colenda, gdyż oplatek, którym się dzielił podczas Wilii Bożego Narodzenia jest rzecz czcigodna, albo też od calendae, dlatego iż niegdyś z dniem Bożego Narodzenia otwierał się i rok, i miesiąc nowy. Ja dzierżę z Naruszewiczem, a to z następujących powodów trzech:

a/ Gdyby kolęda pochodziła od łacińskiego wyrazu colenda lub calendae i dopiero wraz z wyznaniem rzymskokatolickim weszła do Polski, znano by ją tak na Zachodzie Europy, jak znają np. wyrazy Alleluja, Hosanna itp. Tymczasem w żadnym zachodnioeuropejskim kraju nie wiedziano o polskiej kolędzie, ani o lamaniu opłatka, ani o wieczery postnej, ani o innych osobliwościach tego dnia, oczywiście zabytkiem pogańskiego czasu będących.

b/ Jeżeli kolęda bierze początek od colenda lub calenda, mogłaby tylko w rzymskokatolickiej Polsce zachodzić, nie zaś w grecko-schizmatycznej Rusi. Tymczasem Rusini, łamiąc święcony oplatek, wołają Kolada! Ażali już to samo nie wyjaśnia rzeczy należycie?

c/ Wyraz kolęda najduje się w ludowych pieśniach obrzędowych Wójcickiego, a Maciejowski odnosi go do pogańskich czasów. W Kollarowych „Zpiewankach” występuje Kolęda u Krainców jako bogini wiosny, a u Uskoków w Dalmacji jako święto zimowego przesilenia słonecznego. To dowód, iż słowiański Janus nie tylko Kolady lub Koledy, lecz także Koledy miał imię.

Że romantyzm zainteresował się ludowymi zwyczajami, obrzędami i wierzeniami, to rzecz znana. Najlepszy przecież tego dowód dał Zorian Dołęga Chodakowski w swojej pracy „O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem” (1818). Ciekawa jest jednak opowieść Trentowskiego o zwyczajach i obrzędach kulturowanych w I poł. XIX wieku przez nasz lud podczas Wigilii Bożego Narodzenia. A przy tej okazji warto także wysłuchać interesującego wywodu na temat etymologii imion Dorota czy Bożena i ich koneksji z popularnym dzisiaj życzeniem „Do Siego Roku” oraz już nie taką jego pisownią.

Długo jeszcze po zaprowadzeniu chrześcijaństwa, niemal do dni naszych, działo się podczas święta Kolędy, zamienionego w wilię Bożego Narodzenia, co następuje: Parobki obchodzili domy, nucąc pieśni wesole, w których powtarzał się co chwila wykrzyknik: „Hej, Kolęda, Kolęda!”. Przyjmowano ich wszędzie miodem, piwem lub wódką. Oni zaś pijąc, życzyli gospodarstwu Dosiego roku lub długiego żywota. Dosia jest nieomylnie tak skrócenie Dobiesławy, jak Doś, Dobek, Dobiesława. Że później i Dorotę nazywano Dosią, to nic dziwnego, gdyż mile imiona pogańskie, zwłaszcza zdrobniałe, nie tylko u nas, ale i wszędzie przylepiano do chrześcijańskich. Pomyśl krótko, a najdziesz na to przykla-

dów wiele. Dosi rok może więc być zabytek pogański. Zapewne jaka Dobiesława żyła lat sto i kilka. Najprawdopodobniejsza zaś, że bogini Dziawa lub Żywie, która rozdawała ludziom żywot długi, miała tak przydomek Dobiesławy lub Dosi, jako np. Żywiena przydomek Bożeny. - Teraz znów do obchodu święta Koledy. Słudzy lub wieśniacy, ulowiwszy wilczątka, niedźwiadka, liszkę, wiewiórkę lub coś podobnego, obnosili zwierzę po domach. Inni przybierali się w wilczą, niedźwiedzią lub baranią skórę. Stąd przysłowie: „Biega, by z wilczą skórą po Kolędzie”. Marcin z Urzędowa i Gize-li, archimandryta kijowsko-pieczerski, przechowali wspomnienia o kolędowym turze. Wieczorem o gwieździe rozpoczynała się wesola uczta. Izba jadalna słomą, a stół do jedzenia sianem był zasłany i obrusem okryty, w każdym zaś kącie izby stały snopy rozmaitego zboża. Czasem łańcuchem stół opasywano, żeby go się chleb trzymał, a żelaziec pluźny kładziono pod stół, żeby krety nie psuły roli. Jadano polewkę siemienną, kluski z makiem a miodem i inne potrawy sen wzbudzające, ażeby w sennej zapomnienia rzece utopić przeszloroczne troski, popijano zaś piwo lub wino, chcąc w weselu rozpocząć noworoczny zawód. Przy końcu wieczery młodzież patrzyła w siano pod talerzami własnymi. Zielone znaczyło przemianę stanu, zwiędłe nie dawało jeszcze żadnej nadziei. Pokruszyło się siano w różne figury. Z nich zatem czyniono ucieszne i dowcipne, a mające na celu przekomarzenie się wzajemne wróżby. Ze snopów kłosy wyciągano, wycierano z nich i liczono ziarnka. Parzyste oznaczały małżeński związek, nieparzyste dalszą samotność. Osoby u stołu powinny koniecznie być do pary. Wieczera składała się zawsze z dziewięciu potraw. Pogańska to liczba święta. Po uczcie, gdy młodzież męska oddaliła się z izby, swawolne dziewczyny siadały natychmiast każda na stolku tego, który był wolny, a jej się najbardziej podobał. Znaczyło to sympatyczną moc, zniewalającą serce do miłości. Jeszcze dziś jest u ludu we zwyczaju, iż przewrosłem ze słomy, która leżała pod stołem, obwiązuje się w ogródku drzewa owocowe, ażeby nie przemarzły od mrozów i rodziły obficie. Pytam teraz, co z tego wszystkiego znane jest na Zachodzie i w katolickich krajach? Nic, a nic. Więc to rzeczy starosłowiańskie lub pogańskie, nie do Chrystusa, ale do Boga Kolędy przynależne.

A ponieważ romantyzm także interesował się mitologią indyjską i perską, więc i Trentowski nie mógł tego pominąć. Był to przecież czas mitologii porównawczej i odczytywania przedchrześcijańskich wierzeń metodą lingwistyczną.

Na Litwie obchodzono dnia 25 grudnia święto Okkapirma, boga otwierającego nowy rok, zaczętem także Janusa, jako bożę narodzenie, przed którym była podobniuteńka wilia. Z tej strony spotyka się Kolęda z Okkapirmem, acz zresztą inne znaczenia są dwu tych bogów. Być może, że Wilia Bożego Narodzenia ma związek z perską Mihraganą, świętem nowo narodzonego Mitrasy lub słońca. Święto albowiem to obchodzono w Persji bardzo podobnie. U Indian [Hindusów-T.L.] jest bogini Kalenda, córka słońca a żona Kriszny. Świętek jej odbywa się również przy końcu grudnia, a polega na rozdawaniu podarunków. Czyli więc Kolęda, tak zupełnie jak Żywie, nie pochodzi wprost z Indii? ■

ZDECYDOWANIE LEPSZA

Czytelnicy o „Pomeranii”

W czerwcowym numerze opublikowaliśmy ankietę, pytając o preferencje tematyczne czytelników, także o ocenę zmian, wprowadzonych w minionym roku przez redakcję. Chcieliśmy również sprawdzić, w jakich środowiskach i przez kogo jesteśmy czytani. Czytelnikom zainteresowanym porównaniem naszej ankiety z wynikami uzyskanymi w latach minionych, polecamy artykuł Izabelli Trojanowskiej „»Pomeranio« – bądź sobą”, opublikowany w lutym 1993 roku. Do tamtych ustaleń też będziemy się odwoływali.

Zacznijmy od charakterystyki naszych czytelników. Otrzymaliśmy 91 ankiet (o blisko 30 więcej niż w 1993 r.), z których wynika, że większość naszych czytelników to nadal mężczyźni (67 osób). Statystycznie rzecz ujmując, w wieku powyżej 45 lat, raczej emeryci niż czynni zawodowo, z pracujących – urzędnicy i przedstawiciele wolnych zawodów, wykształcenie zdecydowanie wyższe. Mieszkańcy województwa gdańskiego i to raczej żyjący w miastach. Niestety, nie członkowie Zrzeszenia, ale czytający „Pomeranię” od dawna, prenumerujący pismo co najmniej 10 lat. Obraz ten, w zestawieniu z wynikami z 1993 roku wykazuje dużą stałość, co oznacza, że mamy raczej określony i wierny krąg odbiorców.

Gdyby podchodzić mniej statystycznie, przewaga mężczyzn być może wynika stąd, że to raczej oni niż żony wypełniają i wysyłają ankietę (otrzymaliśmy tylko dwie ankiety podpisane przez małżeństwa). Fakt, że tylko 33 osoby spośród respondentów nie dzielą się „Pomeranią” z innymi, gdy w pozostałych przypadkach czytają ją dwie (29), trzy (18) lub 4 i więcej (11) osób, świadczyć może, że miesięcznik jest zdecydowanie pismem rodzinnym, w wielu przypadkach też środowiskowym. Gdyby podane liczby uznać za zgodne z rzeczywistością, to można

śmiało stwierdzić, że każdorazowo czytają nas około 5-5,5 tys. osób. Tak wydaje się obecnie realny krąg naszego oddziaływania.

Idźmy dalej i zobaczymy, w jakim wieku są nasi czytelnicy. Tylko 6 ankiet napłynęło od osób w wieku poniżej 25 lat. A więc młodzi raczej stronią od „Pomeranii”, albo, można się pocieszać, raczej niechętnie wypełniają wszelkie ankiety. Osób w wieku 25 – 45 lat było 22, niemal tyle samo w wieku 45-55 lat (20). Zdecydowanie przeważają czytelnicy powyżej 55 lat (43). To oznacza, że wraz z wiekiem wzrasta zainteresowanie „Pomeranią”. Tak, jak w 1993, roku dominują osoby z wyższym wykształceniem – 59. Tylko dwie ankiety nadesłali czytelnicy z wykształceniem podstawowym, 11 z zasadniczym zawodowym, a 27 ze średnim (2 nie podały wykształcenia). Czy więc nadal możemy sądzić, że czyta nas przede wszystkim rodzima inteligencja? Otóż z deklaracji wynika, że największą grupę stanowią emeryci i renciści (37 osób), przy czym, sądząc z często młodego wieku, należy wnioskować, że są to emerytowani nauczyciele (idą wcześniej niż inne grupy zawodowe na emeryturę). Zastanawiające jest, że otrzymaliśmy 1 (słownie jedną) ankietę od czynnego zawodowo nauczyciela. Czy można to wytłumaczyć tylko tym, że ankietę rozესłaliśmy w czerwcu, w czasie wakacji?

Spośród osób pracujących najliczniej reprezentowani są urzędnicy (w tym, pocieszające, wielu samorządowców) – 17 osób, a następnie wolne zawody – 13, do których trzeba dodać osoby duchowne (4 księży i 1 zakonnik). Dalej nauczyciele akademicki – 6, przedsiębiorcy – 5, studenci – 4, 2 rybaków (morski i śródlądowy), 2 robotników, bezrobotny i gospodyni domowa oraz, niestety, tylko 3 rolników indywidualnych. Tak więc mamy właściwie pełny przekrój społeczny z dominacją sfer

ry budżetowej. Większość stanowią mieszkańcy miast (tylko 22 osoby mieszkają na wsi). Ponad połowa mieszka w dużych miastach (pow. 100 tys.), pozostali w średnich i małych (od 10 do 100 tys.). Zobaczymy, jak kształtuje się to terytorialnie. Dominuje, co zrozumiałe, Pomorze. Najwięcej czytelników jest z województwa gdańskiego – 44, następnie śląskiego – 14 i bydgoskiego – 9. Większość ankiet nadeszła z terenu Kaszub, wliczając w to Gdańsk i Gdynię, niewiele z Kociewia czy Borów Tucholskich. Poza tymi trzema wymienionymi województwami ankiety nadeszły z toruńskiego – 4, elbląskiego – 2 i szczecińskiego – 1. A gdzie nas najchętniej czytają poza Pomorzem? – na Śląsku! Z województwa katowickiego otrzymaliśmy 5 ankiet, podczas gdy z warszawskiego, olsztyńskiego, łódzkiego po 2 i po 1 z kaliskiego, pińskiego, poznańskiego i olsztyńskiego. Jak więc widać, nasi czytelnicy są rozsiani praktycznie po całej Polsce. I nie tylko! Z zagranicy napłynęło 10 ankiet, w tym: z RFN – 4, z USA – 2 i po 1 z Luksemburga, Wielkiej Brytanii, Francji i Kanady. Dominują, podkreślamy to raz jeszcze, czytelnicy z Pomorza, szczególnie z Kaszub, mieszkańcy miast. Sumując, możemy uznać, że czytelnictwo „Pomeranii” jest jednym z ważnych wyróżników aktywności środowiska regionalnego: kolejny raz potwierdza się, że zarówno ciężar ruchu regionalnego, jak i jego przewodnictwo dziś lokalizuje się w miastach. Tak czy inaczej Kaszubi, a przynajmniej grupa przywódcza, stają się coraz bardziej społecznością miejską. Potwierdza to również skład gremiów decyzyjnych Zrzeszenia ostatnich kadencji. Wydaje się, że tendencja ta będzie się umacniać.

W 1993 roku red. I. Trojanowska pisała, że 60 proc. czytelników nie jest członkami Zrzeszenia. Tendencja ta utrzymuje się nadal. Spośród naszych respondentów aż 65 nie należało do ZKP. Niektórzy pisali: „niestety”, „ale będę”. Zastanawiający jest dopisek „gdzie ich szukać”, pochodzący od osoby czytającej „Pomeranię” dłużej niż 10 lat i mieszkającej w Trójmieście! Warto się zastanowić, co powoduje, że osoby mieszkające na Kaszubach, mające oddziały ZKP pod bokiem, czytające „Pomeranię” od wielu lat, nigdy do ZKP

nie trafiły? Czy nie jest to przejaw braku operatywności Zrzeszeńców bądź też małej atrakcyjności Zrzeszenia?

Należy się oczywiście cieszyć, że „Pomerania” trafia do środowisk, nie tylko na Pomorzu, nie związanych wprost ze Zrzeszeniem, a z drugiej strony, czyż nie jest zastanawiające, że pismo, wydawane pod szyldem ZKP jest raczej rzadko czytane przez członków organizacji? Jest to z pewnością temat do publicznej i wewnątrzzrzeszeniowej debaty.

Wydaje się, że czytelnicy „Pomeranii” są nie wykorzystanym kapitałem, z którego nie powinna rezygnować kaszubsko-pomorska społeczność. Tym bardziej, że w większości ich związki z pismem są długotrwałe (blisko 2/3 czyta „Pomeranie” dłużej niż 10 lat) i systematyczne (z wyjątkiem 6 osób, pozostałe czytają każdy numer „Pomeranii”).

Na naszą ankietę odpowiedzieli przede wszystkim prenumeratorzy, co zrozumiałe, bowiem ich związek z pismem jest silniejszy. Tylko 2 osoby pożyczają „Pomeranie”, lub też czytają ją w bibliotece. Jest to sygnał dla redakcji, że powinna dążyć do stałego poszerzania grona prenumeratorów. Oni to stanowią o trwaniu pisma. Jest to też zadanie dla oddziałów ZKP i, w pewnej mierze, samorządów.

Przejdziemy teraz do opinii respondentów o piśmie i jego zawartości. Kryteria oceny są różne. Na przykład, dowodem stałego rozwoju są nowi odbiory. W przypadku „Pomeranii” 17 osób, tj. nieco ponad 15 proc., zadeklarowało, iż czyta ją krócej niż 3 lata; 15 zaczęło nas czytać nie dawniej niż 5 lat temu. Można by więc uznać, że 1/3 czytelników przekonała się do „Pomeranii” już w okresie „porewolucyjnym”, czyli po 1989 roku. Zdajemy sobie jednak sprawę, że jednocześnie bardzo wiele osób czytających nas w latach osiemdziesiątych, teraz zrezygnowało, gdyż „Pomerania” utraciła luksus bycia jedynym oficjalnym, lecz niezależnym pismem. Takie są koszty zmian.

O ocenie pisma przez czytelników świadczy też fakt, że blisko połowa – 45 osób, czyta każdy numer w całości. Jest to rzeczywiście zjawisko wyjątkowe, tym bardziej, że niemal tyle samo – 39, deklaruje, iż czyta większość artykułów. Wydaje się więc, że trafiamy

w gust czytelników. Przekonały nas też o tym odpowiedzi na pytanie czego, zdaniem czytelników, jest za mało, a czego za dużo. Najwięcej osób wskazało, że zbyt mało miejsca poświęcamy „Klęce” oraz artykułom biograficznym i wspomnieniowym – po 52 osoby. Pierwszy przypadek można tłumaczyć tym, że „Pomerania” jest dla wielu osób (zwłaszcza z głębi Polski i zagranicy) źródłem informacji o życiu regionu. Ponadto przekraczając granice administracyjne, informujemy mieszkańców np. Słupska czy Chojnic o tym, co dzieje się w Pucku czy Kartuzach. Bowiem prasa codzienna i lokalna, a także telewizja i radio ograniczają się do zamkniętych obszarów administracyjnych. Należy więc dążyć do systematycznego poszerzania tego działu.

Drugi czynnik należy wiązać z wiekiem naszych czytelników. Osoby w wieku więcej niż średnim chętniej czytają wspomnienia (to często czasy ich młodości) oraz biografie (często w nich odbija się los czytelników). Zbyt mało jest też, zdaniem czytelników, literatury kaszubskiej – 46 osób. Jest to zresztą postulat podnoszony także w 1993 roku. Nasi czytelnicy chcieliby także więcej reportaży – 35 osób i wywiadów – 39 – artykułów o ekologii i turystyce – 30 osób – informacji o książkach – 25 – artykułów o sztuce – 23 – oraz publicystyki – 19 osób.

Równocześnie te dwa ostatnie działy wskazywano najczęściej jako zbyt reprezentowane – odpowiednio 12 i 14 osób. Czytelnicy wyrażali także swoje oczekiwania: więcej artykułów o emigracji do Niemiec, o życiu „współczesnych Kaszubów”, więcej tematyki morskiej oraz więcej o twórcach ludowych, o Kocieniu i gospodarce. Wspomniano też felietony, w tym głównie red. T. Bolduana (jeden z czytelników napisał: „bądźcie bardziej obiektywni – nie mogę wam darować tego ataku na T. Bolduana” No cóż!).

Zapytaliśmy również, jakich tematów czytelnicy oczekują. Na pytanie, czy chcieliby łamigłówek i krzyżówek – „tak” odpowiedziało tylko 13 osób. Jeszcze mniej było zwolenników artykułów dla dzieci – 8. Za to więcej zwolenników tekstów i rysunków humorystycznych – 17 osób (niektórzy podkreślali, że powinien to być humor kaszubski). Natomiast zdecydowana większość, bo

aż 61 osób, chce „więcej tematyki społecznej i gospodarczej”. Nad tak powszechnym żądaniem trzeba się będzie zastanowić, tym bardziej, że podobne opinie padały także w 1993 roku. Wydaje się więc, że nadal w niewystarczającym stopniu zaspokajamy oczekiwania czytelników.

Uwzględniając wszystkie powyższe uwagi można jednak uznać, że proporcje są zachowane i pismo spełnia oczekiwania. Świadczyć też mogą o tym, że zdecydowana większość kupuje „Pomeranie” ze względu na „poruszaną tematykę”. Tylko kilka osób kieruje się przyzwyczajeniem – 9 oraz opinią znajomych – 2. Nie odstrasza też naszych czytelników cena. Tylko 6 uznało, że jest zbyt wysoka, a 2 stwierdziły, że choć odpowiednia, i tak ich nie stać na kupienie każdego numeru. Jeden z czytelników napisał: „kupię, obojętnie jaka będzie cena”.

Ważna była dla nas odpowiedź, które artykuły szczególnie zapadły w pamięć naszych czytelników. Sięgano głównie do ostatnich numerów „Pomeranii”, ale i tak wymieniono ponad 60 bardzo różnych artykułów. Jakże stąd wnioski? Z jednej strony odpowiada naszym czytelnikom wielowartość tematyczna, każdy znajdzie coś interesującego, ważnego dla siebie, z drugiej – jest to sygnał różnorodnych zainteresowań – każdy szuka w „Pomeranii” czegoś innego. Zaspokoić te zróżnicowane oczekiwania jest i będzie trudno. Wśród zapamiętanych artykułów są biograficzne i publicystyczne, wywiady i informacje z „Klęki”, poezja i proza, teksty historyczno-literackie i felietony. A więc „dla każdego coś ciekawego”.

Ze zmian wprowadzanych ostatnio, przede wszystkim zaakceptowano zaistnienie problematyki innych grup etnicznych w Europie. Aż 30 osób wskazało blok materiałów o Fryzach jako ważny i ciekawy. Być może jest to wynik tego, że ankieta rozprowadzana była właśnie z numerem „fryzyjskim”. Ale wskazywano również i inne artykuły, np. o hiszpańskiej Galicji – 2 osoby – czy Słowenii i Friulii – 5. Można więc stwierdzić, że czytelnicy czekają na podobne teksty, by móc porównywać sytuację naszej grupy z podobnymi w Europie.

Przebojem okazała się rozmowa z

prof. J. Wnukową – 26 osób. To mobilizuje nas do szukania również ciekawych rozmówców. Z dużym zainteresowaniem spotkał się także numer 5. z br. (niektórzy podawali go jako wzorcowy, wszystkie artykuły uznali za ważne, pisano wprost „tak trzymać”). Najwięcej – 20 osób wymieniło wspomnienia G. Schneider „Nie dokończona droga” oraz wspomnienia „Olivaer Mädchen” – 15 osób. Widać, że jest potrzebne inne spojrzenie na losy wojenne Pomorza.

Z zainteresowaniem czytelników spotkały się także cykle stałe: „Śladami przydrożnych świętych” – 15 osób, „Z Kraju Klonowego Liścia” – 8, „Literacka mitologia Pomorza” – 7 – czy też „Przeszłość pięknem znaczone” – 6 osób. Można by wymienić jeszcze wiele innych artykułów. Właściwie każdy większy tekst z numerów 1-6 z 1995 roku, ale i wcześniejszych – z 1994, znalazł się na liście tych, które „najbardziej się podobały”. Zaskakująca jest natomiast mała liczba wskazań na teksty pisane po kaszubsku. Czyżby nasi czytelnicy tylko deklarowali, że chcą więcej literatury kaszubskiej, ale jej nie czytają, a może nie przypada im do gustu?

Pora na podsumowanie. Ostatnie pytanie dotyczyło zmian, które zaszły w ostatnich miesiącach w naszym piśmie. Nikt z respondentów nie uznał ich za zdecydowanie gorsze, „trochę gorsze” tylko 7 (jedna osoba pisze, że „pismo jest zbyt elitarne”, inna – „okładka mogłaby być mniej ozdobna”), aż 43 osoby określiły zmiany jako „zdecydowanie lepsze”, a 40 jako „trochę lepsze” (1 osoba nie udzieliła odpowiedzi). Opinie te, choć do wyników trzeba podchodzić ostrożnie, gdyż niemal z zasady częściej na ankiety odpowiadają ci, którzy są zadowoleni niż ci, którzy mają osąd negatywny, można traktować jako akceptację przyjętej przez redakcję strategii zachowania dotychczasowych atutów pisma z jednoczesnym urozmaicheniem tematyki oraz zmianą szaty graficznej. Traktujemy je również jako dodatkowe zobowiązanie, świadomości oczekiwania czytelników utrzymania poziomu pisma i jego rozwoju. Pomocna będzie nam współpraca czytelników, bieżące wyrażanie własnych opinii, choćby w postaci listów czy polemik, o co apelujemy.

Cezary Obracht-Prondzyński

POMERANIA

Tak, jak obiecywaliśmy rozpisując ankietę, pierwszych 20 osób otrzymuje tomik poezji Stanisława Jankego „Do biółego rena”. Oto ich nazwiska:

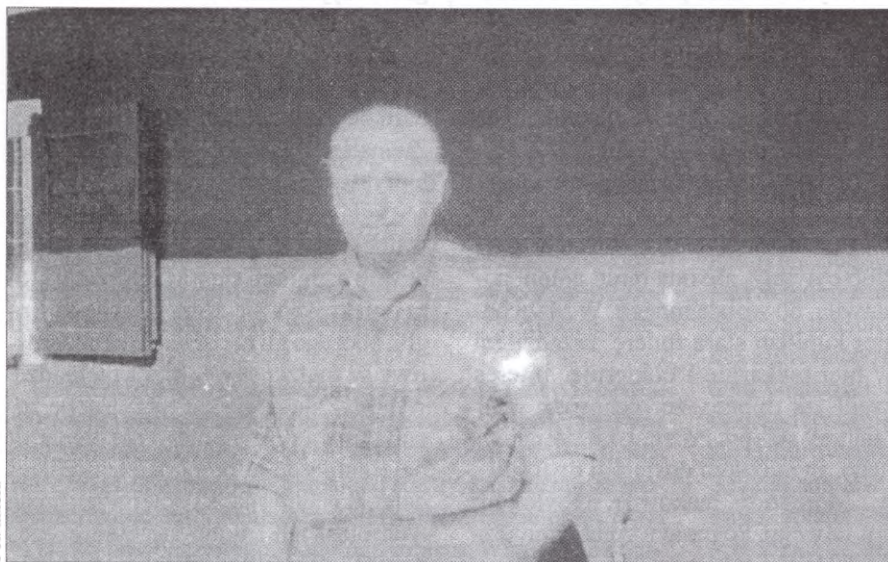
Robert Żmuda-Trzebiatowski z Miastka
ks. Grzegorz Gólski z Gdańska
Wacław Rekowski z Miastka
Zygmund Aleksandrowicz z Chojnic
Irena Spiczak-Brzezińska z Miastka
Stanisław Marmołowski z Bytowa
Zbigniew Bednarek ze Świecia
Stanisław Browarczyk z Gdańska
Stefan Świerczewski z Ustki
Jadwiga Choynowska z Łapina
Józef Stryczek z Dębogórze
Benedykt Lipski z Czarnego
Maria Jutrzenka-Trzebiatowska z Wysokiej Zaborskiej
Antoni Kapica z Helu
Ryszard Goliński z Bytowa
Piotr Konkel z Rumi
Stanisław Wierzba z Bydgoszczy
Teofil Świetlik z Tych
Alfred Majewicz ze Stęszewa
Wojciech Pestka z Kościerzyny.

Redakcyjna „sierotka” wylosowała album „Księga Kaszub” dla **Bogdana Soleckiego** z Pelplina,
„Słownik polsko-kaszubski” J. Trepczyka dla:
Marii Jutrzenka-Trzebiatowskiej z Wysokiej Zaborskiej
i **Jana Bruskiego** z Gliwic
oraz kasety z nagraniami „Remusa” A. Majkowskiego dla:
Zbigniewa Kaszewskiego z Drzycimia
Tadeusza Grabarczyka z Łodzi
Edwina G. Gitrowskiego z Anglii
Danuty Lipińskiej z Borowego Młyna
Jadwigi Choynowskiej z Łapina.

Nagrody wysyłamy pocztą z podziękowaniem i gratulacjami

Redakcja

Droga do gniazda



Bernard Kay

Młodzi z Kalisza Kaszubskiego nie znają Bernarda Kaya. Nic im to nazwisko nie mówi. Tylko starzy wiedzą, że to Bernard Kujawski, który po pięćdziesięciu latach pobytu za granicą powrócił do ojczyzny. Najpierw zbudował dwunastopokojową willę w Żukowie, a potem mały, urokliwy dom letniskowy nad jeziorem Żabiniec w rodzinnym Kaliszu, do którego przyjeżdża o każdej porze roku. Mieszka tu częściej niż w Żukowie. Po wojnie był w Polsce wielokrotnie, ale na stałe przyjechał dopiero w 1989 roku.

Na twarzy Bernarda Kaya rysuje się szczere zaskoczenie, gdy pytam o nazwisko. Przyznaje, zmienił, bo chciał, by łatwiej wymawiało się Anglikom. Teraz wołałby, aby nazywano go Kujawski. Mieszkając przez większą część życia w Anglii, w Manchester, nigdy się tam w pełni nie zdomowił.

- Szanowano mnie tam, źle mi nie było, ale to zawsze obcy kraj – mówi, oprowadzając mnie po zadbanym ogrodzie domu w Kaliszu. Parcela leży na skraju wsi, stary dom rodzinny znajduje się w centrum Kalisza. Mieszka tam

najmłodsza siostra Bernarda Kaya. Rodzice mieli 20-morgowe gospodarstwo, zajmowali się także drobnym handlem. Skupowali we wsi drób, ryby, jajka, grzyby, jagody i wozili na rynek, najpierw do Gdańska, a potem Gdyni. Gospodarstwo w Kaliszu rodzice kupili po I wojnie światowej. Pochodzili ze środkowych Kaszub – matka ze Stężycy, a ojciec z Klukowej Huty. Z dziewięciorga rodzeństwa Bernarda Kaya żyją tylko trzy siostry. Nie pozostał żaden z czterech braci, najmłodszy zmarł sześć lat temu.

Bernard Kay z otwartością właściwą ludziom Zachodu mówi, że bracia, podobnie jak ojciec, lubili wypić. On sam nie znosi alkoholu ani pijaków. Może właśnie dlatego, że w rodzinie alkohol zbyt często był obecny; niszczył ją, pogłębiał biedę. Dzieciństwo zapamiętał jako okres pełen wyrzeczeń i ciężkiej pracy.

- Ojciec gnał nas do pracy. Już jako mali chłopcy zbieraliśmy w okolicznych lasach kamienie, by je potem wozić na dworzec i ładować na wagony. Gdy opuściłem szkołę powszechną, to bar-

dzo chciałem uczyć się w Lipuszu na stolarza. Musiałem jednak z tych marzeń zrezygnować, bo trzeba było dać kaucję za naukę, a ojciec wołał te pieniądze przepić. Zacząłem tedy szukać pracy na własną rękę. Zatrudniałem się u gospodarzy. Powiedziałbym, że byłem nie tyle parobkiem, co pomocnikiem – tłumaczy się. – Pracowałem w różnych miejscach. W Wielkim Kłinczu, Lubni, na Wyrównie i tutaj, w Kaliszu. Później szwagier wziął mnie do Gdyni, udało mi się tam zdobyć pracę w piekarni.

Piekarnia i cukiernia „Warszawska” znajdowała się w centralnej części miasta, na rogu ulic Śląskiej i Witomińskiej. Przez pierwszych parę miesięcy Bernard Kay sprzątał pomieszczenia, później, w nagrodę za obowiązkowość i pracowitość, został uczniem, a w końcu czeladnikiem cukiernika. W „Warszawskiej” pracował przez dwa lata, do pierwszych dni wojny. Pamięta, że zdążył jeszcze właścicielom zabić i wypatroszyć dwie świny. Po świniobiciu wracał do swojego mieszkania, na Leszczyńki.

- Za szkołą morską była polska kontrola. Nie pozwolono mi już pójść do domu, zostałem zatrzymany i skierowany do tak zwanych bloków emigracyjnych. Z kolei tam wciągnięto mnie do drugiego batalionu Czerwonych Kosynierów Kazimierza Rusinka. Byliśmy poddawani ćwiczeniom wojskowym, prowadziliśmy akcję gromadzenia żywności. Jak już zostaliśmy trochę wyszkoleni w posługiwaniu się kosami, to któreś nocy wyruszyliśmy aż za Wejherowo. Udało nam się zdobyć nieco karabinów, ale i wielu z naszych zginęło. Niestety, musieliśmy wkrótce wycofywać się do Gdyni. Potem zostałem włączony do oddziałów pułkownika Stanisława Dąbka. Wstrzymywaliśmy Niemców, ale biednymi karabinami niewiele mogliśmy zdziałać. Poddaliśmy się 21 września w Babich Dołach.

Już bez broni, z plecakiem pełnym konserw, znalazł się w kolumnie jeńców, prowadzonych przez Niemców w stronę centrum miasta. W Chyloni, wykorzystując zamieszanie najpierw porzucił plecak, a potem zbiegł. Przedo-

stał się do Leszczynek, a stamtąd, pieszo, do Kalisza. Pod koniec 1939 roku został zabrany na przymusowe roboty do Rzeszy. Przez trzy lata pracował na kolei w Berlinie, początkowo przy wymianie szyn, później przy przeładunku wagonów.

- To była ciężka praca. Opróżnialiśmy z towarów wagony strzaskane podczas działań wojennych. Chciałem koniecznie się stamtąd wydostać. Młody byłem, więc niewiele się zastanawiając, umyślnie złamałem sobie nogę. Sześć tygodni przeleżałem w szpitalu w Poczdamie. Zaraz potem, 16 października 42 roku, zostałem wciągnięty do Wehrmachtu, bo rodzice podpisali trzecią grupę. Gdy dowiedziałem się, że nas, z Pomorza nie można wysłać na front wschodni, natychmiast o tym zgłosiłem dowódcy. Z kilkoma innymi kolegami posłali mnie do służby wartowniczej w Holandii. Tam było bezpiecznie i spokojnie, ale po klęsce Niemców pod Stalingradem już ich nie obchodziło, kto skąd jest. Brali na Wschód wszystkich bez wyjątku. Dostałem się w okolice Dniepropietrowska. By uniknąć skierowania na linię frontu, najpierw trulem się herbatą, a później udało mi się namówić kolegę, za chleb, na bardzo niebezpieczne zadanie – przestrzelenie w lesie ręki. Byłem więc „ranny”, mogłem wyrwać się z tego piekła. Zabrali mnie do Kirowogradu, i samolotem, przez Odessę i Lwów, przetransportowali do Rzeszy. Po trzymiesięcznej kuracji wysłali mnie na urlop do domu. W pociągu w Brusach wdałem się w awanturę z niemieckim kolejarzem. Zgrywałem heroja, co to się nikogo nie boi, nie da sobą pomiatać i każdemu utrże nosa. Chciałem nawet tego kolejarza zastrzelić. Nie przewidziałem jednak, że w Brusach mogą być esesmani. Za tę rozróbę wzięli mnie na przesłuchanie i porządnie obili.

Gdy wrócił z urlopu, został skierowany do jednostki pod szwajcarską granicę, a stamtąd do Francji. Znał już trochę francuski, bo wcześniej przechodził we Francji szkolenie wojskowe. Udało mu się nawiązać kontakt z francuskim ruchem oporu. W 1944 roku uciekł do FFI – Forces Françaises de l'Intérieur (Francuskie Siły Wewnętrzne).

Później, już po desancie we Francji wojsk sprzymierzonych, dostał się do Anglii. Najpierw służył w żandarmerii, ale gdy zorientowano się, że jest z zawodu cukiernikiem, przydzielono go do kasyna oficerskiego jednostki spadochroniarzy. Poza pracą w kasynie musiał przejść też ćwiczenia spadochroniarskie. Podczas jednego ze skoków uszkodził sobie kręgosłup i do dziś nosi pas leczniczy. W kasynie był pierwszym kucharzem aż do 1948 roku, do demobilizacji.

Bernard Kay nie ukrywa spraw osobistych.

- Poznałem Angielkę, wziąłem z nią ślub cywilny, ale ona mnie potem zostawiła, bo wołała innego. W Manchester kupiłem starą rudę, urządziłem w niej piekarnię i cukiernię. Interes szedł tak dobrze, że niebawem miałem trzy sklepy. Później, kosztem jednego, urządziłem dostatnio dwa sklepy. Moje torty, makowce, to było tam coś nowego. Po moje wypieki przyjeżdżali nawet z Liverpoolu i Londynu. Nie mogłem nadażyć z tymi wypiekami. Miałem pięciu piekarzy i sześć sprzedawczyń. W Anglii zaczynałem od zera, a dorobiłem się sporego majątku. Wszystko zawdzięczam sobie, ciężkiej pracy.

W Manchester były trzy związki polonijne, lecz Bernard Kay należał tylko do jednego – Stowarzyszenia Polskich Kombatanów; działał w sekcji spadochroniarzy. Kontakty towarzyskie utrzymywał głównie z Pomorzakami z Gdyni, Kartuz, Tczewa, Starogardu.

- Po wojnie lwowiacy, którzy zawsze trzymali się razem, często nazywali nas Niemcami. Gdy dochodziło do sprzeczek, to rodziła się dzielnicowa solidarność, Ślązacy popierali Ślązaków, Pomorzacy Pomorzaków.

Po raz pierwszy do ojczystego kraju Bernard Kay przyjechał trzynastą lat po wojnie, pod koniec lat pięćdziesiątych. Potem zaczął przyjeżdżać coraz częściej, nawet kilka razy w ciągu roku. Dziesięć lat temu jego druga żona, Polka z Kielecczyny, zapadła na chorobę Alzheimera.

- Trudno to opisać – Bernardowi Kayowi załamuje się głos. – Leżała niczym kłoda drewna, niczego się nie do-

magiała, nic nie mówiła, doglądałem ją całymi dniami. Aż dusi mnie w gardle, gdy o tym wspomnę. Żona miała córki z pierwszego małżeństwa, ale one nawet nie chciały słyszeć, by się matką zaopiekować. Później poznałem córkę szwagra brata i ona zaczęła mi pomagać. Przyjeżdżała od czasu do czasu do Anglii, ale nie chciała zostać na stałe, bo w Polsce miała swoją rodzinę. Mnie już tam też coraz mniej trzymało, tym bardziej, że w Polsce nastała wolność. Zwinąłem więc cały interes i przyjechałem do ojczyzny. Żona jeszcze w Polsce żyła pięć lat, zmarła zeszłego roku w lipcu. Nie zostałem jednak sam. Niedawno ożeniłem się z Małgorzatą, która opiekowała się żoną jeszcze w Anglii. Niczego mi nie brak, jestem szczęśliwy w małżeństwie, mam pieniądze, wygody, ale czuję się tutaj trochę zagubiony. Ludzie z mojego pokolenia albo poumierali, albo pouciekali gdzieś dalej, do Gdańska, Kościerzyny, bo na tych piaskach trudno się było czegoś dorobić. Została mi przyroda, ziemia zapamiętana z dzieciństwa. Bardzo Kocham piękny kaszubski krajobraz, uwielbiam dbać o ogród, uprawiać owoce i warzywa.

Bernard Kay przyznaje, że od nowa zakorzenia się w swojej małej ojczyźnie. Pomaga jej, jak najlepiej potrafi. W Żukowie wsparł finansowo Muzeum Parafialne, gdzie mieszczą się zabytkowe przedmioty sakralne klasztoru norbertanek i zbiory haftu kaszubskiego. Miejscowej Straży Pożarnej zakupił elektryczną piłę do drewna. W Kaliszu z kolei współfinansował budowę i wystrój kościoła, m.in. podarował obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, namalowany przez Marię Baliszewską-Walicką, pomógł w doprowadzeniu półkilometrowego wodociągu z plebanii na cmentarz.

Na kaliskim cmentarzu wybudował grobowiec. Spoczęli w nim rodzice, przeniesieni z pobliskiego Lipusza, spoczęła druga żona. Tutaj i on chce być pochowany.

- Jak stary ptak wracam do swojego gniazda – mówi, spoglądając na rozjaśniony słońcem jesienny pejzaż wsi. – Długo mnie tutaj nie było, całe pół wieku...

Józef Borzyszkowski

MIEDZY SEROCKIEM A GDYNIA

ks. Józef Szarkowski i jego wspomnienia

Gdynia, jak powiadają niektórzy, to najbardziej nowoczesne, najprężniejsze gospodarczo miasto - port nad Bałtykiem. Gdynia - to przedmiot dumy jej mieszkańców i obywateli Rzeczypospolitej, zwłaszcza tych, którzy ze względu na wiek pamiętają jej wspaniały rozwój w 20-leciu międzywojennym.

O legendzie Gdyni zdecydowały, obok prężnego rozwoju miasta i portu, kaszubskie tradycje rolniczo-rybackiej wsi i nadmorskiego, rodzącego się z początkiem XX wieku, kurortu. Przede wszystkim jednak jej starzy, kaszubszy gospodarze i wciąż napływający z całej Polski ludzie przyciągali sławą nowoczesnego, bogatego miasta. Wśród ludzi różnych zawodów nie bez powodu szczególnie interesującą rolę odegrali przedstawiciele inteligencji - technicznej i humanistycznej, świeckiej i duchownej. Jednym z nich jest ks. kanonik Józef Szarkowski, Pomorzanin, mieszkaniec Gdyni od 1933 roku. Ten duszpasterz i pedagog łączył i dziś jeszcze łączy ludzi z różnym rodowodem, uosabia stare i nowe tradycje, jest kroniką i świadkiem wzrastania Gdyni - miasta. Nie ma drugiego kapłana, społecznika, tak długo i mocno związanego z Gdynią, utożsamiającego się z jej radościami i smutkami, jak ks. kanonik Szarkowski. Od 1976 roku jest emerytem. Mieszka na plebanii kościoła Najświętszej Marii Panny w Gdyni. Nadal wspomaga swoją wiedzą ludzi zainteresowanych historią Pomorza, zwłaszcza Gdyni. Przed laty, namówiony przeze mnie, spisał swoje wspomnienia. Ostatnio zaś opowiedział je do magnetofonu ks. wikaremu Wiesławowi Drażkowi. Zanim ukażą się drukiem (mam nadzieję, że miasto Gdynia nie poskapi grosza na wydanie całości interesującego dokumentu - wspomnień przygotowywanych przez ks. W. Drażkę), warto zaprezentować na łamach „Pomeranii” fragmenty pierwotnego zapisu, sporządzonego ręką ks. Szarkowskiego, częśćkę opowieści o życiu i dokonaniach tego duszpasterza, jednego z seniorów duchowieństwa gdyńskiego i pomorskiego, harcerza, pedagoga, wychowawcy, także działacza regionalnego, a w tym kronikarza Gdyni, z którą wzrasta i tylko trochę się starzeje od 63 lat.

Ks. Józef Szarkowski urodził się 12 grudnia 1908 roku w Borach Tucholskich, we wsi Nowe Glinki, parafia Serock. Bory Tucholskie, najczęściej kojarzone z rzeczywistymi borami, miejscem grzybobrania i letniego wypoczynku, to jeden z najciekawszych subregionów Pomorza, jeden z naj-

piękniejszych pod względem przyrodniczo-krajobrazowym i najciekawszy, kulturowo najbliższy Kaszubom, łączący je z innymi ziemiami pomorskimi, z Kociewiem i Krajną, zarazem jeden z najbiedniejszych gospodarczo. Bory Tucholskie, ich prastare miasteczka i równie stare wsie, w tym takie, które niczym prawie nie różnią się, zwłaszcza pod względem wielkości, od miast w głębi kraju, zachwycają swoim uporządkowaniem, ładem, schludnością, pięknem krajobrazu kulturowego, ukształtowanego głównie w końcu XIX i początkach XX wieku. Taka jest też rodzinna wieś parafialna ks. Józefa - Serock Pomorski.

Rodzice ks. Józefa - Władysław i Filomena z rodu Komiszków, siostra zasłużonego pedagoga, organizatora szkolnictwa polskiego po 1920 roku na Śląsku, posiadali w Nowych Glinkach niemałe gospodarstwo. Ks. Józef w swoich wspomnieniach tak pisze o „rodzinnym gnieździe”:

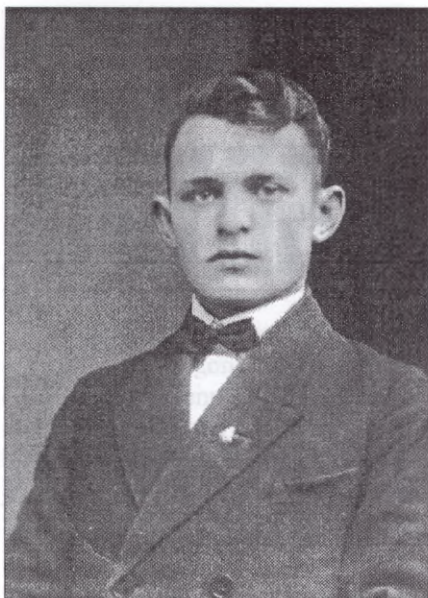
Nazwa miejscowości brzmiała: Nowe Glinki, gdyż przed 150 laty przy drodze do Wymysłowa, w lesie, istniała mała osada, a właściwie karczma, czyli wiejska oberża z małym zajazdem, którą nazywano „Stare Glinki”, w odróżnieniu od leżącej około 5 km znacznie większej osady, liczącej około 30 gospodarstw, przeważnie małorolnych, nazywanej „Nowe Glinki”. Po drugiej wojnie światowej używano najczęściej skrótu Glinki, gdyż Stare Glinki, już od przeszło pół wieku nie istniały, zniszczone pożarem.

O karczmie w Starych Glinkach starzy ludzie opowiadali, że w czasie przemarszu wojsk napoleońskich zatrzymał się w niej i nocował sam cesarz Napoleon Bonaparte. W każdym razie jest faktem, że wojska napoleońskie tamte dy przechodziły w kierunku Bydgoszczy, Koronowa, Tucholi, wśród nich również oddziały polskie. W latach mego dzieciństwa starzy ludzie opowiadali, że ich rodzice byli naoczniymi świadkami tych przemarszów, a nawet posiadali jeszcze niektóre pamiątki, jak kokardki i łańcuszki.

Glinki należały do parafii w Serocku Pomorskim (powiat Świecie), odległej około 7 km. Urząd Stanu Cywilnego oraz poczta mieściły się w Koronowie nad Brdą, odległym około 10 km.

W Serocku więc, w kościele parafialnym, otrzymałem chrzest z rąk ks. proboszcza Józefa Sarnowskiego, a w Urzędzie Stanu Cywilnego w Koronowie znajduje się mój zapis metryki urodzenia.

W okresie przedwojennym, gdy nie było jeszcze wielkie-



Ks. Szarkowski, 1929 r.



Gniazdo rodzinne Szarkowskich, około 1913 r.

go Zalewu Koronowskiego, do Koronowa jeździło się przez las, obok miejscowości Kręgiel, gdzie znajdował się młyn wodny i majątek, własność rodziny Zwolińskich, gdzie były tylko córki. Dlatego późniejszy właściciel - zięć - nosił nazwisko Montowski. W Kręglu było dużo łąk. Jedną z nich należała do majątności moich rodziców.

W samych Nowych Glinkach największą majątność, zwaną folwarkiem, posiadała od wielu lat rodzina Schlieterów, Niemców wyznania luterńskiego. Żyli zgodnie z miejscową ludnością polską. Drugą co do wielkości majątność rolną, około 80 ha, czyli ponad 300 mórg, posiadali moi rodzice. Gospodarstwa rolne Langów, Glazików, Mroczków, Drajerów były już znacznie skromniejsze, wynosiły od 30 do 70 mórg. Pozostałe gospodarstwa zaledwie od 2 do 10 mórg.

Przeważali Polacy wyznania rzymskokatolickiego, kilka rodzin, jak Drajerowie, Schillingowie oraz Schlieterowie, byli Niemcami i ewangelikami, i, jak wówczas mówiono: chodzili do „niemieckiego” kościoła, w przeciwieństwie do Polaków, którzy chodzili do „polskiego”. Obie nazwy tłumaczyło się używalnością języka: niemieckiego w kościele ewangelickim i polskiego w kościele katolickim.

Ojciec, Władysław Szarkowski, urodzony w 1874 roku, odziedziczył majątność Glinki 3 po swym ojcu, czyli moim dziadku, Mikołaju Szarkowskim. Dziadek Mikołaj, którego nie znałem, zmarł przed sześćdziesiątką, był postacią niezmiernie oryginalną. Z żoną swoją miał 12 dzieci, w tym 6 dziewcząt. Według opowiadań ojca dziadek Mikołaj był bardzo religijnym człowiekiem i gorącym patriotą. Przejawem jego religijności było codzienne wieczorne śpiewanie nieszporów. Był radnym kościelnym u ks. Lomnity i jego prawą ręką w sprawach parafialnych. O jego patriotyzmie świadczy pieczętowanie przechowywanego portretu oszklony i obramowany, wielkości 40x30 cm., przedstawiający w barwnej, niebiesko-czerwonej sukmanie, z wyrazistą rogatywką ozdobioną piórami, postać naczelnika Tadeusza Kościuszki. Należał też, jak później ojciec, do jakiejś oświatowej, polskiej or-

ganizacji pod nazwą, o ile pamiętam, „Straż”, której patronowała rodzina Mieczkowskich z Niciszewa. Portret Tadeusza Kościuszki, jak i papiery z nominacją na „Komisarza »Straży«”, wielokrotnie sam oglądałem aż do roku 1939. Niestety, w czasie okupacji rodziców wysiedlono z majątku, przejął go jako Treuhändler Niemiec, sąsiad Drajer i wszystkie te pamiątki zniszczono.

Znaczenie jednak dziadka Mikołaja dla Glinek było szczególnie z tego względu, że ufundował on, w porozumieniu z proboszczem Lomnitzem, szkołę katolicką, a więc polską. W Glinkach istniała wówczas, 120 lat temu, tylko szkoła ewangelicka, to jest niemiecka. Gdy staraniem biskupa chełmińskiego rząd cesarski wyraził zgodę na budowę szkoły katolickiej, wówczas właśnie Mikołaj Szarkowski darował na szkołę 4 ha swojej ziemi oraz budulec drzewny ze swego lasu. Szkoła była skromna, drewniano-gliniana. Miała tylko jedną izbę szkolną i mieszkalną, z kuchnią, dla nauczyciela. Dopiero przed wojną światową, na kilka lat przed 1914 rokiem wybudowano obecną, nieco obszerniejszą. Nauczycielem i kierownikiem w jednej osobie został Stanisław Krzewiński, dobry, choć dosyć surowy nauczyciel. Ponieważ dziadek Mikołaj stał się fundatorem i dobrodziejem szkoły, nic dziwnego, że nauczyciel Stanisław Krzewiński ożenił się z jedną z jego córek, starszą siostrą mego ojca. W ten sposób, choć dopiero kilkadziesiąt lat później, rozpocząłem naukę u wujka Stanisława, który nie pozostawał z ojcem w najlepszych stosunkach, mając ciągle pretensje do większego posagu z gospodarstwa swej żony. Stąd, dopóki nie poszedłem do szkoły, nie znałem dobrze ani wujka, ani ciotki. Dopiero w szkole zainteresowali się moją osobą, tym bardziej, że starszy brat Stanisław stronił od książki i szkoły, w czym sprzyjały mu już pierwsze lata wojny światowej.

Tak więc dziadek Mikołaj, który po swym ojcu przejął zadanie, aby ani jednego metra kwadratowego nie uронić z dziedzictwa dziadów, zdobył się na heroiczny akt darowizny 4 ha ziemi na rzecz szkoły. A posiadał dziadek Mikołaj,



Uczniowie gimnazjum męskiego i żeńskiego, 1939 r. W środku siedzą ks. prefekt Józef Szarkowski i dyrektor Józef Niemiec



Ks. Szarkowski z uczennicami Gimnazjum Odzieżowego w Gdyni

i pozostawił w dziedzictwie ojcu, nie tylko majątność rolną i duży las w samych Glinkach, ale też dużą łakę w Kręglu, drugą, podobną, w Sokolej Górze nad Brdą oraz jezioro Świeść, położone w lesie państwowym, przy drodze, nieco w bok od Serocka. Na łakach tych zbierałem, grabilem jako dziecko siano. Pływałem też z ojcem łódką po jeziorze, które ojciec wydzierżawił za pewną ilość ryb. Niestety, łakę w Kręglu sprzedał ojciec dla ostatecznej wypłaty licznego rodzeństwa, a łakę w Sokolej Górze przejęło po wojnie państwo dla powstającego Zalewu Koronowskiego, jak również jezioro Świeść. Nigdy dokładnie nie mogłem dowiedzieć się, w jaki sposób jezioro i obie łaki, znacznie odległe, około 7 km., stały się własnością pradiadków.

Fotografia z napisem „Gniazdo rodzinne” przedstawia stan zabudowań około 1913 roku, czyli przed wojną światową. Rodzice zdołali już spłacić, zwłaszcza z majątku matki, Filomeny z Komischków, urodzonej w Świekatowie, córki kierownika szkoły i organisty, olbrzymie obciążenia na rzecz licznego rodzeństwa ojca i zbudowali nowy dom piętrowy: z 6 pomieszczeniami na dole i 4 na piętrze. Ten właśnie nowo wybudowany dom, o 3 kominach, widać na pierwszym planie, a obok stoi mniejszy i niższy, w którym ja jeszcze się urodziłem. Kolejno widać chlew, spichlerz (niski) oraz stodołę; natomiast nie widać z drugiej strony stojącej obory dla krów i stajni dla koni. Zaznaczony jest lekko, stosunkowo duży, ogród owocowy.

Do szkoły w Glinkach chodzili też dzieci z sąsiedniej wioski i ten stan trwa aż do dzisiaj. Już po wojnie i okupacji hitlerowskiej, gdy dokonano Zalewu Koronowskiego i nie było drogi do Koronowa przez Kręgiel, a tylko okrężna przez Jasiniec, wieś Glinki dołączono do gminy w Serocku, a następnie do Suchej na Pomorzu. Tam też były poczty. Tak pozostało do dzisiaj.

Oboje rodzice byli bardzo pracowici, dbający o gospodarkę. Gdy ojciec spłacił całe liczne rodzeństwo, zbudowali nie tylko nowy dom, ale też zakupili wiele maszyn rolniczych,

jak siewnik, żniwiarkę i młockarnię. Mieli liczny inwentarz: około 20 sztuk bydła, 6 koni, 30 sztuk świń, owce i ponad 100 sztuk drobiu. Oprócz 3 wozów drabiniastych, mieli również 3 powozy różnej wielkości. Zawsze na żniwa, oprócz pełnej stodoły, były jeszcze dwa duże stogi zboża. Pracowali od wczesnego rana do późnego wieczora. Nawet w czasie pierwszej wojny światowej, gdy ojciec przebywał 4 lata na froncie, w tym również pod Verdun, gospodarstwo było wprost wzorowo prowadzone przez matkę. Do pomocy zatrudniano zwykle tylko jednego stałego pracownika, sezonowo większą ilość – chętnych ze wsi małorolnych. W czasie wojny światowej przydzielono matce do pomocy jeńców wojennych z obozu w Czersku. Najpierw jednak pomagał, na prawach wolnego pracownika, jeńiec cywilny z Kongresówki, który bardzo mnie lubił i stale kupował mi zabawki.

W atmosferze pracowitości wychowywano również dzieci. Najstarszy brat Stanisław, urodzony w 1906 roku, lgnął głównie do koni, mnie, jako małemu chłopcu, często kazało pilnować krów, z czego byłem zadowolony, gdyż od wczesnego dzieciństwa lubiłem książki i przy pilnowaniu krów mogłem czytać.

Liczne rodzeństwo ojca i matki ks. Józefa mieszkało na całym Pomorzu, a także w głębi Niemiec, m.in. w Berlinie, gdzie jeden z braci ojca był piekarzem. Z rodzeństwa matki, córki szkolnego i organisty ze Świekatowa, poza wspomnianym pedagogiem, profesorem Władysławem, pobudzającym ambicje siostry do kształcenia własnych dzieci, drugi brat, Seweryn, kolejarz, był przez pewien czas naczelnikiem stacji w Sopocie, a następnie pracował w Poznaniu i Berlinie. Jedną z sióstr, Jolanta, wysłał za kupca Jędryczka do Czerska, druga, Maria, za Eugeniusza Dziarnowskiego, szkolnego w Jeżewnicy, potem w Osieku. Nie bez znaczenia i wpływu na losy dzieci Szarkowskich był fakt, iż stryj matki, Augustyn był długoletnim proboszczem w Kruszykach, powiat Brodnica. W tych księżowsko-nauczycielskich

układach rodzinnych rodziło się powołanie kapłańskie ks. Józefa.

Tak kochałem las, że w dzieciństwie śniłem, że będę leśniczym i będę opiekować się drzewami oraz zwierzętami. Nie lubiłem, gdy wycinano drzewa ani też nie przepadałem za polowaniem. Miałem własne króliki i gołębie, chciałem mieć zajaczkę, aby się nim opiekować. Toteż, gdy ojciec zabierał mnie na polowanie popłakiwałem, gdy strzelał do zająca i cieszyłem się, gdy ten zdołał uciec. Gdy miałem około 5 lat, zabrano mnie pewnej niedzieli do kościoła w Serocku, odległego, jak już wspomniałem, o około 7 km, dlatego nas, małych dzieci z reguły nie zabierano. Na pytanie, co będę robić w kościele, odpowiedziano mi, że trzeba się tam modlić. To słowo było dla mnie nieznane, w domu odmawiało się „pacierz”. Skojarzyłem więc sobie to „modlić się” ze znanym „mydlić”, czyli rozpuszczać mydło we wodzie. Wyobraziłem więc sobie, że dadzą mi jakąś dużą miednicę z wodą i mydłem dla zabawy w „mydlenie”. Gdy więc po powrocie kuzynka Stefa zapytała, co mnie się podobało, odpowiedziałem, że długi „plaszcz” księdza, czyli kapa. Widziałem kiedyś portret cesarza Wilhelma II w długim płaszczu i też mi się podobał. Na pytanie więc, kim będę, odpowiadałem, że cesarzem albo księdzem, bo też chcę chodzić w takim „długim płaszczu” na ramionach. Czasem nawet psulem rolki tapety przechowywane w szafie i robiłem sobie z nich coś na kształt długiego płaszcza. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że będę nosił czarną, długą rewerendę.

Zanim mały Józio Szarkowski znalazł się w seminarium, minęło kilka lat nauki w Collegium Marianum w Pelplinie, do którego przygotował go solidnie wuj - szkolny Dziarnowski. Potwierdził to pierwszy egzamin w Pelplinie, który wypadł celująco.

Przeprowadzał egzamin ks. prof. dr Paweł Nowicki, mój pierwszy później wychowawca, czyli, jak mówiono - gospodarz klasy. Miał z nami język polski, łacinę oraz religię. Dyrektorem był dość surowy ks. dr Paweł Teichert, a najstarszym z grona był ks. dr Romuald Frydrychowicz. On też odprowadzał dla nas codzienną mszę św. ranną i przygotowywał do I komunii św., aczkolwiek naukę religii w ramach planu lekcyjnego prowadził wychowawca klasy, ks. prof. Nowicki, który po kilku latach został profesorem na uniwersytecie w Wilnie.

Na fotografii z I komunii św. w kaplicy Collegium Marianum w Pelplinie widać, że nie mieliśmy czupryn, wszyscy są ostrzyżeni na „gładko”, byliśmy przecież w internacie; mieszkaliśmy tam około 150 uczniów, reszta przychodziła z miasta lub dojeżdżała. Wstawaliśmy o 6 rano. Na mycie i sprzątanie mieliśmy pół godziny, następnie była wspólna modlitwa w auli i półgodzinne studium ranne w klasie, dopiero potem śniadanie w refektarzu i msza św. O godzinie 8.00 rozpoczynały się lekcje. Wszystko odbywało się punktualnie, według rozkładu dnia, na dźwięk dzwonka, który obsługiwał pan „pedel”, czyli woźny, pilnujący również porządku. Trzeba pamiętać, że również najmłodsi, mieli około 10 lat, sami musieli dbać o higienę, ubieranie, porządek, czy-

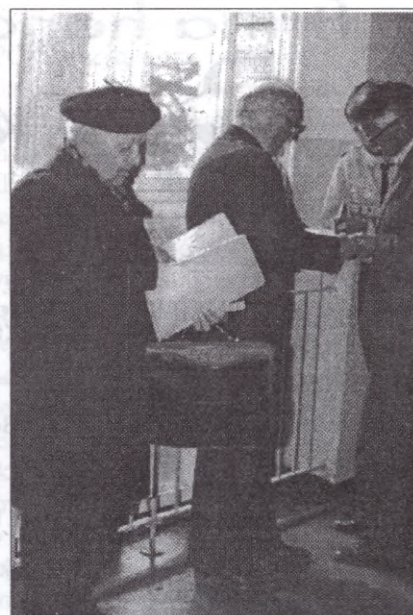
stość. Opiekę nad internatem miał ks. Paweł Pyszora, bardzo opiekuńczy. On też nas leczył. Miał swoich „ulubieńców”, których całował i ścisłał i uprawiał z nimi ćwiczenia gimnastyczne. Jego poświęcenie i dobroć bardzo dużo znaczyła dla nas, pędraków, nie umiejących nawet dobrze dbać o czystość szyi i karku, aczkolwiek myśleliśmy się codziennie do pasa w specjalnej umywalni, oczywiście zimną wodą.

Jednym z moich pierwszych bliskich przyjaciół był Edmund Masiak z Osiecka, później rodzice zabrali go do Starogardu. Dalszymi byli: Bernard Kula, Jaś Kreja i Janek Wita oraz wielu innych. W gronie nauczycielskim był jeden świecki nauczyciel, staruszek, Fabian Lipiński, kawaler z przydomkiem „Panek”. Uczył nas przyrody i matematyki. Przechodziłem wówczas jakąś „chorobę” czytania książek, wykraczających poza możliwości ucznia seksty - pierwszej klasy gimnazjum. Już wówczas czytałem Sienkiewicza, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Toteż czynny udział brałem głównie na lekcjach języka polskiego, łaciny, historii i religii. U „Panka” na przyrodzie i matematyce z reguły czytałem książki, co stało się źródłem braków w przyszłości i tylko dostatecznego stopnia, podczas gdy z innych miałem bardzo dobry wynik. Matematykę i przyrodę właściwie lubiłem, ale „Panek” był już zbyt słaby i stary, aby zainteresować i opanować niesforą czterdziestkę, bo tyłu nas było w klasie. Niebawem, dwa lata później, umarł. Bardzo mi go było żal, był to człowiek skromny i cichy. Pisał wiersze, z którymi się zapoznałem i przechowywałem je. Czytanie utworów Mickiewicza i Słowackiego oraz zapoznanie się z wierszami „Panka” pobudziło mnie do pisania własnych, którymi wypełniałem cały zeszyt; były to wiersze dziecinne.

Biegłem w języku francuskim i greckim był ks. Gracjan Tretkowski, późniejszy proboszcz w Chełmży. Miał on ulubieńca, G. z Morzeszczyna. Ten jednak cierpiał na kleptomanie i okradał kolegów, chowając ukradzione rzeczy pod figurą Matki Boskiej, znajdującej się naprzeciw katedry. Głównie ja wykryłem jego sprawki i ulubieniec musiał opuścić szkołę, czego nie mógł przeboleć ks. Gracjan. Przez pewien czas mścił się na mnie, stawiając dwóję z francuskiego, z którego zwykle miałem bardzo dobry, aż do matury włącznie. Jeden z profesorów, były dyrektor Szkoły Pedagogicznej w Lubawie, ks. Zaremba, miał pociąg do alkoholu. Był naszym wychowawcą w klasie VI. Raz na wycieczce podpił mocno. Było to na dożynkach w dworze w Lignowach. Jako wójt klasowy musiałem mu towarzyszyć w powózce i odprowadzać do mieszkania na drugim piętrze w Collegium Marianum. Przypadkowym świadkiem tej sceny był dyrektor Teichert. Zmusił mnie do opisu całej przygody i miałem duże nieprzyjemności ze strony ks. Zaremby. Zaczął stawiać mi dwóję z matematyki, gdy przeważnie miałem bardzo dobre lub dobre stopnie.

Ponieważ w tym czasie pelplińskie gimnazjum kończyło się na klasie VI, później dopiero miało VIII klas, postanowilem od półtrocza przenieść się do Chełmna nad Wisłą.

Chełmno nad Wisłą to „najpiękniejsze miasto w Polsce” nie tylko dla ks. Józefa. Z lat gimnazjalnych interesujące są jego portreciki nauczycieli, opowieści o własnej pracy korepetytora, m.in. syna starosty Osowskiego - kolegi Andrzeja.



Poświęcenie tablicy upamiętniającej Józefa Niemca, 1981 r. W płaszczu ks. Szarkowski

Tego samego dnia w gmachu liceum

Ponieważ rodzice, przynajmniej częściowo, i tak przysyłali mi pieniądze na stancję, miałem w tym okresie, w klasie VII i VIII, dochody wprost „profesorskie”. Odkładałem je na książeczkę PKO, a czasami fundowałem kolegom ciastka w kawiarni lub kino, co nie zawsze było dozwolone.

W gimnazjum czynna była Sodaliczka Mariańska, drużyna harcerska, klub wioślarski oraz Koło Naukowo-Literackie im. Tomasza Zana, którego byłem prezesem, w innych wiceprezesem lub zastępowym.

Z gimnazjum żeńskim mieliśmy kontakt przez wspólne balety szkolne, ale również i wspólne przedstawienia teatralne, które dawaliśmy na scenie „Strzelnicy”, zakupionej później przez ojców pallotynów na zakład wychowawczy. Jednym z takich przedstawień była „Warszawianka” Wyspiańskiego. Mnie przypadła rola młodego ordynansa, któremu wręcza kokardę jedna z pań. Rolę tę odgrywała Jadzia Lewandowska z Brodnicy, „zabójcza”, ale bardzo poważna blondyneczka. Aż do matury składaliśmy sobie życzenia okolicznościowe.

Naszym prefektem w klasie VI był ks. Feliks Żelewski, niezbyt inteligentny. Jego metoda nauczania polegała na odczytaniu przez uczniów dalszego rozdziału, „aż dotąd”, bez żadnych komentarzy. Część lekcji religii przeznaczał na „odrabianie dowolne” innych przedmiotów. Był jednak dobrym organizatorem zebrać sodalicyjnych. Gdy odszedł na proboszcza do Koronowa, jego następcą został znacznie inteligentniejszy i lepszy dydaktyk oraz pedagog, ks. Wacław Pruszek, późniejszy proboszcz w Nowem nad Wisłą.

Z przeżyć tego okresu pozostało mi w pamięci uroczyste przewożenie zwłok Juliusza Słowackiego Wisłą na Wawel 23 VI 1927 roku. Nasz klub wioślarski towarzyszył okrętowi już kilka kilometrów przed Chełmnem. Nad brzegami Wisły stały rzesze ludzi, zwłaszcza młodzieży i dzieci.(...)

Dwa ostatnie lata przed maturą, czyli klasy VII i VIII, to były chyba najpiękniejsze lata życia. Miałem uznanie w gronie profesorskim, przeżywałem przyjaźnie młodzieńcze, udzie-

lałem się społecznie w kołach i klubach gimnazjalnych, „zarabiałem” po profesorsku na kilku korepetycjach z języka łacińskiego. Miałem uznanie również w kole rodzicielskim za prace społeczne przy urządzaniu imprez, zwłaszcza w klasie najwyższej. Dyrektor Frankiewicz oraz wychowawca Styrnal i polonista Sławucki podpowiadali mi studia dyplomatyczne na Wydziale Konsularnym. Lubowałem się bowiem, w czasie imprez i akademii szkolnych, w kwiecistych, ozdobnych „oracjach”. Taki też zamiar studiów podałem w kwestionariuszu przedmaturalnym.

Na moją ostateczną decyzję podjęcia studiów filozofii i teologii w Seminarium Duchownym w Pelplinie wpłynął, być może podświadomie, poprzedni pobyt w Collegium Marianum i wyczuwane życzenie matki, z którym się nigdy nie zdradzała, ale wiedziałem, że ta decyzja wpłynie łagodząco na tragiczne wydarzenie rodzinne - śmierć siostry Marii - którą rodzice boleśnie przeżywali aż do końca życia.

Maturę zdałem w maju 1929 roku bez wysiłku, jako jeden z najlepszych. Wręczenie matur odbyło się wyjątkowo uroczysto. Połączono je z odsłonięciem i poświęceniem tablicy zasłużonego dyrektora gimnazjum, Łożyńskiego. Na uroczystość przybył ks. biskup Konstanty Dominik, były uczeń gimnazjum w Chełmnem. Celebrował mszę św. i dokonał poświęcenia tablicy. Świadectwa maturalne wręczył nam kurator Okręgu Szkolnego Pomorskiego w Toruniu pan Schweinin. W imieniu maturzystów przypadło mi wówczas podziękować i wypowiedzieć: „ultimum vale” - ostatnie pożegnanie szkoły, grona profesorskiego i kolegów. Słuchając tego przemówienia ks. biskup Dominik, poinformowany przez ks. prefekta Pruszkę, że wstępuję do Seminarium Duchownego, stwierdził: „Będzie świetnym mówcą”. Przypomniał mi to, gdy zgłosiłem się u niego w Pelplinie. Nawiasem mówiąc, było to chyba ostatnie tak młodzieńczo-kwieciste przemówienie, gdyż studia w Seminarium Duchownym nauczyły mnie prostoty i głębi bez frazeologii. Dla utwierdzenia się w ostatecznej decyzji, kilku z nas odbyło jeszcze rekolekcje

firma handlowa



Biuro handlowe i magazyn 1

- 83-340 SIERAKOWICE, ul. Mirachowska 31
tel. (0-58) 816-338, tel./fax (0-58) 816-936

Magazyny

- 83-340 SIERAKOWICE, ul. Ks. Bernarda Sychty 42
tel. (0-58) 816-830
- 80-298 GDAŃSK-KOKOSZKI, ul. Cementowa 1
(szkółka drzew), tel. 475-641 i 412-056, w. 641
- 83-341 GOWIDLINO, ul. Kartuska 64
tel. (0-58) 816-594



**JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH
HURTOWNI NA KASZUBACH
POLECA
PO CENACH PRODUCENTA:**

ROLNICZE ŚRODKI PRODUKCJI

nawozy mineralne
środki ochrony roślin
sznurek

Szczególnie polecamy
pasze amerykańskiej firmy



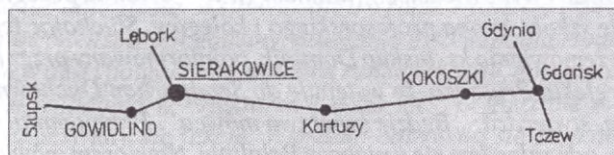
MATERIAŁY BUDOWLANE

cegły klinkierowe, cement, wapno, gips
blacha, eternit, papa „Izolacja” Chelmska,
lepek, smoła, abizol, dacholeum, emulbit
płyty gipsowe „Rigips”, oklejane,
pilśniowe, wiórowe

sklejki, styropian, wełna mineralna
rury i kształtki PCV i PE
ciśnieniowe i kanalizacyjne

Szczególnie polecamy POSTFORMING
nowość na rynku budowlanym, materiał
nowoczesny, trwały, wodoodporny,
doskonały na

blaty stołowe i lady,
parapety okienne,
wstęgi drzwiowe



**Serdecznie zapraszamy
Serdeczno rōczimē**

pomaturalne u o.o. redemptorystów na Bielanach w Toruniu. Ojciec Górski namawiał mnie do wstąpienia do Zgromadzenia Redemptorystów, sam myślałem o jezuitach, ale ostatecznie przekonał mnie ks. prefekt Pruszk, aby zgłosić się do seminarium diecezjalnego w Pelplinie.

Studia w Pelplinie były niezwykle owocne. Mieliśmy wspaniałych, wyjątkowych wychowawców. Oprócz świątobliwego biskupa Dominika, pierwszego regensa, czyli rektora Seminarium Duchownego, jako wspaniałe gwiazdy wiedzy i mądrości jaśniały nam takie postacie, jak: ks. profesor Franciszek Sawicki, filozof, ks. prof. Kazimierz Bieszk, pedagog, katecheta, homileta, liturgista, ks. Maksymilian Raszeja jako moralista i socjolog oraz ks. dr Glemma, historyk, następnie profesor na Uniwersytecie Jagiellońskim. Całe to my można by o nich napisać. Osobiście zafascynowany byłem, oprócz wykładów ks. prof. Bieszka, osobą prof. Sawickiego. Zapisalem się od razu na prowadzone przez niego Seminarium Filozoficzne, które liczyło 30 słuchaczy. Przez 4 lata aktywnie w nim uczestniczyłem, napisałem 4 prace uznane za dobre, a przez dwa lata byłem asystentem profesora. Jedną z prac zaliczono mi na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie do magisterium.

Święcenia kapłańskie ks. Józef otrzymał 23 grudnia 1933 roku w Pelplinie. Otrzymał dekret biskupi, kierujący go do pracy w parafii NMP w Gdyni. Jako wikariusz jednocześnie był kapłanem na statkach pasażerskich „Kościeszko” i „Pułaski”.

Opiekował się Katolickim Stowarzyszeniem Młodzieży i bractwami kościelnymi. Odbył 11 rejsów na trasie Gdynia - Ameryka. W 1935 roku opuścił plebanie wspaniałego ks. Teodora Turzyńskiego. Został prefektem i wykładowcą propedeutyki i filozofii oraz łaciny w Liceum i Gimnazjum Towarzystwa Szkoły Świeckiej nr 803 w Gdyni. W latach 1935-1939 był także prefektem Państwowej Szkoły Morskiej, Wieczorowych Kursów Doksztalających, wykładowcą Uniwersytetu Ludowego w Bolszewie, kapłanem wojskowym, opiekunem drużyny harcerskiej, koła PCK.

Żał mi był rozejść się z ks. kan. T. Turzyńskim, który był dla mnie jak ojciec. Jako prefekt zamieszkałem w prywatnym mieszkaniu, u kapitana Mikulowskiego, przy ulicy Kapitańskiej 13. Kapitan, wdowiec, jego dorosłe dzieci pracowały w Warszawie, dowodził statkiem „Toruń” i rzadko bywał w swojej willi. Właściwie to całe 3-pokojowe mieszkanie było do mojej dyspozycji. Gotowała mi jego gospoia Marysia. W gimnazjum stopniowo się adaptowałem. Przyszedłem tam od półrocza 1934/1935, co było okolicznością utrudniającą. Mój poprzednik, ks. Alojzy Pożyński, został nagle odwołany za wyczyny i awantury alkoholowe. To było także przyczyną odwołania go z kapłaństwa „Daru Pomorza” (...)

Dyrektor gimnazjum Józef Niemiec, początkowo z pewnym uprzedzeniem odnosił się do mnie, ale trwało to krótko i niebawem nabrał do mnie pełnego zaufania, chociaż miałem wówczas 26 lat. Niebawem wciągnął mnie do Związku Zachodniego, w którym należałem do zarządu, a nawet okresowo byłem prezesem. W obronie praw Polaków w Wolnym Mieście Gdańsku przemawiałem, wraz z Kazimierzem Ru-

sinkiem, działaczem robotniczym, późniejszym organizatorem „Czerwonych Kosynierów”, na manifestacji na placu Grunwaldzkim, za co otrzymałem od hitlerowców list z wyrokiem śmierci. Wówczas jednak lekceważyłem to sobie. (...)

Nadszedł wrzesień 1939 roku. 14 września hitlerowcy weszli do Gdyni. Razem z innymi zostałem bezimiennie zabrany przez gestapo do Gdańska, a następnie do obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Opis tych przeżyć opublikowałem w „Dzienniku Bałtyckim” w 1969/70 roku. Po szczęśliwym wyjściu z obozu, dzięki poparciu życzliwych Niemców, przekradłem się do Warszawy, gdzie pracowałem m.in. w tajnym szkolnictwie oraz Instytucie Higieny Psychiczej w oddziale w Miedzeszynie. (...)

Z początkiem czerwca 1945 roku kuria biskupia w Pelplinie pilnie wzywała mnie do powrotu do Gdyni i objęcia ponownie stanowiska prefekta liceum, Szkoły Morskiej oraz Gimnazjum Krawieckiego. Przez kilka lat pracowałem w kilku szkołach, o łącznym wymiarze do 62 godzin tygodniowo. Równocześnie, z powodu braku księży, pomordowanych przez hitlerowców, pomagałem jeszcze w parafii św. Rodziny na Grabówku. (...)

Po kilku latach ks. biskup Kazimierz Kowalski mianował mnie dodatkowo rektorem kaplicy „Stella Maris” i kapłanem sióstr elżbietanek w Orłowie. Tam też obchodziłem jubileusz 25-lecia kapłaństwa.

Dalsza część wspomnień ks. Józefa dotyczy przede wszystkim losów rodziny i dziejów ojcowizny. Ks. Józef bardzo bolał nad tym, że mimo stałej pomocy nie był w stanie zabezpieczyć ojcowizny, straconej przez nieudolność brata i zapewnić pogodnej starości matce.

Osobną niejako księgę stanowią gdyńskie wspomnienia ks. Józefa z lat 1945-1995. Był on w tym czasie, do 1972, roku prefektem kilku szkół, w tym Państwowego Liceum Technik Plastycznych i Fotografii z siedzibą w Orłowie. Był

też dalej kapłanem ZHP, komendantem II Hufca, opiekunem szkolnego koła PCK, wizytatorem nauki religii, a potem katechizacji parafialnej. Jednocześnie kontynuował studia na KUL i pracował przez lata w Ośrodku Dokształcania Katechetów. W latach 1972-75 był administratorem - proboszczem parafii NMP.

Po przejściu na emeryturę jeszcze mocniej zaangażował się w pracę społeczną. Był m.in. współorganizatorem uroczystości jubileuszowych gdyńskiego liceum i upamiętnienia w 1981 roku jego dyrektora - Józefa Niemca, zamordowanego przez hitlerowców. Wokół osoby ks. Józefa gromadzili się i skupiają nadal wychowankowie tej szkoły, rozproszeni po całym świecie, którzy przyjmowali go gościnnie w Ameryce i Niemczech.

Sporo czasu i wysiłku poświęcił ks. Józef zebraniu dokumentacji, dotyczących własnych i Gdyni dziejów w minionym 70-leciu. W jego spuściźnie, przekazywanej systematycznie w ręce młodszych, zainteresowanych historią, poza cytowanymi tu wspomnieniami, jak powiedział, „kroniką quasi-rodziną (autobiografią w zarysie)” i zbiorami fotografii, publikacji, wyróżniają się materiały dotyczące ZHP oraz gimnazjum i dyr. J. Niemca. Jest wśród nich „Zarys historii »Czarnej Czwórki« drużyny harcerskiej liceum”. Wielokrotnie wykorzystywane były kronika kościoła NMP w Gdyni i materiały dotyczące projektu Bazyliki Morskiej na Kamiennej Górze.

Ks. Józef będąc wierny starym przyjaźniom, w tym Bernardowi Kuli, znalazł się w Kole Przyjaciół Pomorza, później, już w stanie wojennym, także Związku Przyjaciół Pomorza, mającego osłabić wpływy Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Ks. Józef próbował minimalizować nieporozumienia, starał się przyspieszyć zamknięcie tego rozdziału w ruchu kaszubsko-pomorskim. Jest człowiekiem pracy organicznej, przykładem duszpasterza-społecznika, wiernego kapłańskiemu powołaniu. ■



Mój Morąg (2)

Erwin Kruk

Naturalnie, prócz postaci i zdarzeń przydających czasom szkolnym *couleur locale*, byli w moim liceum pedagodzy, którzy może nie wówczas, ale później, przywołani z czasowego oddalenia, poczynają zajmować coraz trwalsze miejsce we wdzięcznej pamięci. I pamięć podpowiada mi, by przybliżyć niektórych z nich, nauczycieli starszych, którzy po wojnie krzątali się wokół powstania liceum w Morągu, a którzy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych odchodzili od nas i od nauczycielskiej służby bądź to na skutek zrządzenia losu, bądź też z racji sędziwego wieku. Są to przede wszystkim pan Stanisław Świacki, polonista i historyk oraz państwo Zobczyńscy: ona – nauczycielka języka francuskiego, on – artysta malarz, który, bodaj już wtedy na emeryturze, przez krótki czas uczył nas biologii. Ileż to już lat, gdy ich życie dobiegło kresu. Jednakowoż bez ich żywej obecności moje wspomnienia byłyby kalekie.

Kiedy przybyłem do Morąga (najpierw do domu dziecka, a stamtąd do internatu), pan Świacki był wychowawcą w mojej ósmej, a następnie i w dziewiątej klasie. Jego własne dzieci chodziły do starszych klas. Jak mi się zdaje, o uczniach wiedział więcej niż oni to sobie wyobrażali. Dotyczyło to nie tyle przekazywanej i egzekwowanej wiedzy, co indywidualnego podejścia. Na przykład: gdy byłem w dziewiątej klasie, ni stąd ni zowąd zaproponował mi, bym należał do tworzonego przezeń kółka historycznego. Dlaczego ja? – taka była moja reakcja. I tylko dlatego, że wcześniej zgodziła się na tę propozycję koleżanka z klasy, osoba uroczą i przyjemną na wejrzenie, nie sposób było odmówić. A potem, skoro kółko zaczęło działać, nie bardzo zdawałem sobie sprawę, skąd pan Świacki wie, że wychowywałem się w tradycji protestanckiej i że zainteresować mnie powinna reformacja w księstwie pruskim i ówczesny ośrodek wydawniczy w

Królewcu? Bo jakby nigdy nic, podsunął mi do opracowania potężne dzieło o życiu i twórczości Jana Seklucjana. Na tym wszelako nie poprzestał. Niebawem wręczył mi niemiecką monografię Morąga, książkę A. Weydego, który w latach dwudziestych był tu burmistrzem. Przez tygodnie biedziłem się w internacie, co z tej monografii wyczytałem, kiedy moja znajomość języka była wówczas prawie żadna. Niemniej z tej przygody co nieco mi zostało. Bliskie stały mi się niektóre wydarzenia, a także znaczniejsze postaci z historii miasta: ród Dohnów, poeta Willamovius, pietysta Tescho, a zwłaszcza jego uczeń Herder, który w 1760 roku jako osiemnastolatek opuścił Morąg, by zasłynąć w Europie jako filozof i pisarz.

Wędrowki w nieznaną, po przeszłości, rozbudzały moją ciekawość. A przecież to samo nieznanie dotyczyło i współczesności, a szczególnie organizowanych przez wychowawcę wycieczek po Polsce. Toruń, Poznań, Warszawa, Kraków. Zabytki, teatry, kościoły, muzea, inne instytucje kultury – to wszystko, choć zrazu niewidoczne, miało wpływ na naszą wrażliwość i postrzeganie świata. Kształtowało naszą kulturę ogólną i duchowość. Ale – czy to wszystko? Otóż pamiętam taki drobny szczegół. Mieliśmy jakieś luźne zajęcia w auli. Pan Świacki przygotowywał nas do odbioru koncertu, z jakim mieli przybyć artyści z Warszawy. Naraz usiadł do fortepianu i zagrał „Marsza tureckiego” Mozarta. I choć moja muzykalność była i jest – jakby to powiedzieć – głęboko ukryta, to ilekroć słyszę ten utwór, wydaje mi się, jakbym na powrót był w auli szkolnej; widzę nas, zasłuchanych i zadziwionych zarazem, że nauczyciel obdarza nas tym, co do jego obowiązków nie należy.

W okrągłych okularach o grubych oprawkach, był bardzo pedantyczny, jak na znawcę łaciny przystało. Nieraz besztal najlepszych

uczniów, kiedy coś zbroili. Ja nie należałem do najlepszych. Może dlatego omijały mnie krytyczne uwagi. Być może jednak działo się tak i z tego powodu, że wychowawca starał się dotrzeć do mojej zamkniętej natury i wydobyć z niej to, co by mogło rozwinąć się ku dobremu. Trudno dziś na to odpowiedzieć. Pan Świacki zmarł nagle podczas wycieczki, gdy spod Kopca Kościuszki wracaliśmy do widoznanego przed nami Krakowa.

Z innej materii pamięci, bardziej nieokreślonej, ale dla mnie ważnej, utkane są moje wspomnienia o państwie Zobczyńskich. Oboje starzy i piękni. Byli jakby przychodniami z nieznanego świata, w którym króluje piękno i dobroć. Pan Edmund Zobczyński był pierwszym prawdziwym artystą, jakiego w życiu widziałem. Ze względu na wiek i dolegliwości ze słuchem, niewiele lekcji miał z nami. Nie to jednak było ważne. On pobudzał marzenia, że piękno można utrwalić. Nieraz, zwłaszcza jesienią – my, uczniowie z internatu – widzieliśmy go przed stołówką, gdy wyprowadzał motorower „Ossa”. Brał ze sobą sztalugi i blejtramy, a potem – wyprostowany, o srebrnych, krótko ściętych włosach – wyjeżdżał za miasto, w słoneczny i jesienny pejzaż mieniący się bogactwem barw. Takie były też jego obrazy, wyrastające z koloryzmu. I szkoda, że właśnie w Morągu nikt nie pomyślał, jak do tego, o zebraniu rozproszonych prac i o ich stałej ekspozycji.

Osobą cichą i pełną dobroci była pani Stanisława Zobczyńska. Na jej lekcjach nie wypadało ani przyszkadzać, ani hałasować. Dystygowana, kształcona na Sorbonie, zniewalała uczniów staroświecką dobrocią. Gdy przestała uczyć, przez jakiś czas zajmowała się biblioteką szkolną. A że spędzałem tam wiele godzin, wciągnęła mnie z wolna w rozmowy o książkach i literaturze. Miała wpływ na dobór moich lektur – także tych dla dorosłych. W ten

Z mazureckiego BRULONU

sposób przeczytałem m.in. całą dostępną literaturę skandynawską. O nowościach jednak, jak to w szkole, nie było co marzyć.

Literaturę współczesną, wydawaną po polskim Październiku, odnalazłem w bibliotece publicznej. Do niej doszły wkrótce wypożyczone z domu kultury roczniki czasopism kulturalnych i literackich. To była przestrzeń nowych doznań i fascynacji. Tym większa, że po cichu sam zacząłem pisać. W 1958 roku ukazały się w „Na Przełaj” moje pierwsze wiersze i próby prozatorskie, a w roku następnym, już pod własnym nazwiskiem – także w „Warmii i Mazurach”. Myślałem, że świat się od tego zmienił. Gdzie tam! Moi rówieśnicy, w zależności od marzeń i zdolności, próbowali innych form własnej wypowiedzi, bardziej wymiernych. Ktoś był prymusem w nauce, ktoś dobrym sportowcem, a inny miał patent sternika. A jakąż furorę zrobili ci, którzy po powrocie z ferii zimowych, na zabawach w auli zaczęli demonstrować, jak się tańczy rock’n’rolla! Ku naszej zazdrości – chłopców podpierających ściany – byli tymi, których podziwiano.

Te nowe rytmy i tańce to efekt wyjazdu na obóz harcerski w górach. Jak widać, zajęcia harcerskie w drużynie żeglarskiej nie polegały tylko na nauce węzłów czy na szpachlowaniu kajaków i BM-ek, ale dawały różnorakie możliwości wybicia się. Do tradycji należały letnie obozy na cyplu jeziora Ruda Woda koło Małdyt, a potem nad Narie w Kretowinach. To z tamtych i innych miejsc dobiegają do mnie echem niekiedy, obok piosenek harcerskich, także pieśni świadczące o odradzaniu się tradycji skautingu. Nad tym wszystkim zaś, jako nadprogramowy dodatek, unoszą się dźwięki „mocnego uderzenia” – żartobliwie i łatwo wpadające w ucho przeróbki popularnych wówczas standardów. Nawet w języku rosyjskim, jak choćby ta: „U was walczyk w dur i mol, my plesajem

rock and roll”, albo inna: „Id’jom wpierod, z nami Brigitte Bardot! Ola-la-la!”. I tak dalej.

Oczywiście, nie tyle te przyśpiewki, co rozwój harcerstwa wspierał walnie mocą swojego urzędu dyrektor szkoły, pan Władysław Adamiak, który nieoczekiwanie dla wszystkich – przez swój nagły wyjazd – nie dotrwał do naszej bliskiej matury. Nie zmienia to faktu, iż w owych latach harcerstwo potrafiło zawładnąć uczniowską wyobraźnią bardzo mocno. Tak mocno, że gdy z Olsztyna przyjechali do Morąga jacyś aktywiści, aby w liceum zakładać ZMS, nie znaleźli tu w ogóle posłuchu, ani chętnych.

W trakcie naszej nauki pojawiły się na dachach Morąga pierwsze anteny telewizyjne. Pewnego dnia biało-czarny ekran zaśniewał też w internacie. Jak przypominam sobie, nie wzbudziło to większych emocji. Byliśmy pokoleniem przedtelewizyjnym. Nie znaczyło to jednak, że zamiast kultury obrazu, wszechwładnie panował kult słowa drukowanego. Coś o tym wiem. Bo dopiero, gdy za młodzieńcze publikacje zacząłem otrzymywać honoraria, moja pozycja wśród rówieśników nieco poprawiła się, choć nie na tyle, jak to sobie wyobrażałem. Nadal najpiękniejsze dziewczyny zerkwały ku innemu. A mówiąc poważnie – zdaje się, że niektórzy nauczyciele traktowali mnie na lekcjach ulgowo. Na długie miesiące przed maturą, moim poczynaniom i zmaganiom kibicowała zwłaszcza pani Maria Wójcicka, polonistka i wychowawczyni naszej klasy. Nigdy nie wspominałem o tym, ale to wówczas dostałem zaszczytu redagowania szkolnej gazetki „Nasz Głos”. Było to pismo ukazujące się rzadko, lecz ogólnie czytane i stroniące od nauczycielskiej opieki. Kiedyś nawet ksiądz miejscowej parafii, który dla katolickich uczniów prowadził w szkole lekcje religii, skomplementował mnie w dłuższej rozmowie za artykuł, w którym broniłem uczennicę przed gro-

żącym jej wyrzuceniem z liceum.

Nasza wychowawczyni lubiła wiedzieć o uczniowskich zauroczeniach i zmartwieniach. Przejawiała się w tym jej ciekawość, może wścibstwo, ale i serdeczność. Aczkolwiek nie interesowała się literaturą współczesną, to niejednokrotnie dawała wyraz swemu entuzjazmowi, że piszę i że zapewne na tej drodze do czegoś dojdę. Po maturze za stosowne uznała, abym nadal przychodził do szkoły, a ona przygotowywała mnie – podobnie zresztą jak i jedną z koleżanek – do egzaminu wstępnego na polonistykę. Wkrótce opuściłem Morąg, a po studiach zamieszkałem w Olsztynie. Po latach, gdy na warszawskim kiermaszu książki w 1976 roku siedziałem obok Mirona Białoszewskiego i podpisywałem jedną ze swych powieści, pani Wójcicka specjalnie z Otwocka, gdzie nadal mieszka, przyjechała do Warszawy, aby popatrzeć, co ze mnie wyrosło. Ze sobą przywiozła plik morąskich zdjęć. Nie obyło się też bez pytania: co się stało z naszą klasą?

Obecnie myślę, że nie była to tylko ciekawość. Przywołany przykład, jeden z wielu, wskazuje na pewną ogólniejszą prawidłowość: na relacje między uczniami a nauczycielami, na potrzebę ciągłości. Po prostu nauczyciele w tym, co robią ich dawni uczniowie, do czego doszli i czym się pasjonują, poszukują jakby potwierdzenia, że ta ich praca, często stresująca i mało efektywna, do czegoś się przydała.

W Dniu Edukacji Narodowej, na obchody półwiecza liceum, przybyło do Morąga sporo absolwentów z różnych stron, w tym też grupka koleżanek i kolegów z mojej klasy oraz kilkoro naszych nauczycieli. Podczas rozmów i spotkań nieśmiało zakiełkował pomysł, by powołać stowarzyszenie absolwentów LO. Umacnia to przekonanie, że liceum morąskie pozostaje szkołą, którą wcześniej lub później obdarza się dobrymi wspomnieniami. ■

Z LUBICHOWA DO INDIAN

Pomorscy kapłani w Ameryce

Podczas kolejnej podróży po Kanadzie i USA, którą odbywam w charakterze delegata Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego do kontaktów z Polonią, dane mi było spotkać kolejnych „ambasadorów” naszej pomorskiej ojczyzny, pracujących od wielu lat w tutejszych warunkach. Przemile spotkania z zasłużonymi dla Kościoła w Kanadzie duszpasterzami, wywodzącymi się z Pomorza, zaowocowały w postaci wspomnień, ujętych tu w formie curriculum vitae.

W Edmonton, prowincja Alberta, mieszka sobie od kilku lat zwawy starsuszek. Jest oblatem prowincji kanadyjskiej. Choć słyszałem o nim przed trzema laty, dopiero podczas tegorocznej podróży udało mi się go odwiedzić. A historia ojca Leona Mokwy jest naprawdę fascynująca.

Na świat przyszedł 18 kwietnia 1909 roku w Lubichowie – „było nas 12 braci i jedna siostra”. Ochrzczony w lubichowskim kościele Leon uczęszczał najpierw do miejscowej szkoły powszechnej, a po jej ukończeniu przez dwa lata dojeżdżał do Szkoły Wydziałowej w Tucholi. Ponieważ rodziców nie stać było na opłacenie gimnazjum, przez następne dwa lata kontynuował edukację w Szkole Wydziałowej w Starogardzie Gdańskim. Szkoła ta miała w programie, postawione na dobrym poziomie, języki nowożytne: niemiecki, angielski, francuski. Łaciny uczył przyszłego misjonarza wikary w Lubichowie, ks. Chabowski. „Od jakiegoś czasu myślałem o życiu kapłańskim. Po ukończeniu 2-letniej nauki w Starogardzie nie bardzo umiałem się jednak zdecydować. Decyzję pomógł mi podjąć los. Otóż mój starszy brat, który pracował w firmie produkującej soki owocowe, złamał nogę. Umieszczono

go w szpitalu w Pelplinie. Gdy pewnego dnia pojechałem go odwiedzić, siostry miłosierdzia, prowadzące ten szpital, dały mi ulotkę »Niepokalana«, wydawaną przez ojców oblatów. Od tej chwili wiedziałem dokąd się udać” – opowiada ojciec Leon. W 1927 roku pojechał do zakonnego junioratu w Lubiążu, później, do 1930 roku przebywał w rocznym nowicjacie w Markowicach. Tam też złożył pierwsze śluby zakonne. Studia filozoficzno-teologiczne (1930-1935) odbył w Obrze. W roku 1935 otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ks. biskupa Dymka. Nowo wyświęceni mogli wybierać kraj, do którego chcieliby się udać. „Wybrałem Kanadę, bo wolałem zimno. W klimacie tropikalnym, gorącym, czuję się źle” – snuje swą opowieść ojciec Leon. Przyjechał najpierw do Saskatchewan, do siedziby ojców oblatów Niepokalanej. Długo tu jednak miejsca nie zagrzał, albowiem wnet pojawił się tu biskup z Północy, który do świeżo upieczzonego misjonarza rzekł: „Mam u siebie na północy pięciu braci zakonnych z Polski, Może byś i ty przyjechał i trochę się nimi opiekował? Zgodziłem się – powiada ojciec – i zaraz z biskupem pojechałem. I tak to się zaczęło”.

Diecezja, która stała się odtąd miej-

scem pracy ojca Leona, nosi nazwę McKenzie i leży na terenie prowincji Northwest Territory, najbardziej na północ wysuniętej części Kanady. „Znalazłem się w zupełnie innym świecie. Olbrzymi kraj, ludzie bardzo mało, mnóstwo jezior, ogromne rzeki, bezkresne lasy, żadnej ziemi uprawnej. Trudna ziemia i wspaniali ludzie. Sieć misyjnych stacji była już wtedy dobrze zorganizowana. Placówki misyjne rozlokowane były wzdłuż rzeki McKenzie, która stanowi wspaniałą drogę wodną – szlak komunikacyjny. W diecezji, do której przyjechałem, pracowało podówczas wielu misjonarzy z całego świata. Wytrzymałem na tych terenach do roku 1985, czyli całe 50 lat”.

Organizacje kościelne stanowiły na tych terenach podstawę bytu dla wszystkich mieszkańców, tubylców i nielicznych białych imigrantów. Ojciec Mokwa obsługiwał Fort Resolution, Fort Providence, Good Hope i wiele innych, położonych nad jeziorem Great Slave Lake. Latem, które było tu bardzo krótkie, choć intensywne, poruszał się canu lub łodzią pod żaglem. Zimą podróżował od stacji do stacji na sankach ciągnionych przez psi zaprzęg. Z pomocą zaprzęgu można było pokonać 25 mil dziennie, a najdalsza stacja położona była 200 mil od głównej rezydencji w Fort Resolution. Stacje misyjne zamieszkiwało od 10 do 100 rodzin indiańskich. W bazie głównej Fort Resolution oblaci prowadzili szkołę z internatem oraz szpital dla Indian. Odwiedzając misję, ojciec Mokwa zatrzymywał się na kilka dni. Uczył katechizmu, spowiadał, odprawiał msze św., odwiedzał chorych. Ważną pracą było nauczanie Indian pisania i czytania w ich rodzimym języku (język Montanów). Alfabet i pisownię dla języków i narzeczy indiańskich wymyślili misjonarze francuscy. Oni też wydrukowali w latach trzydziestych katechizm i Pismo Święte w języku Indian. Ponieważ plemiona indiańskie przed tysiącami lat przywędrowały tu z Azji, ich języki mają rdzeń azjatycki. Dlatego pismo to jest obrazkowe, na podobieństwo japońskiego lub chińskiego. Ojciec Mokwa poznał kilka dialektów języka Montanów.

Indian bardzo pokochał. Mówi o nich z serdecznością i ciepłem. To ludzie bardzo ufni, spokojni, i gościnni. Dopóki



Ojciec Leon Mokwa

nie wkroczyła do nich „cywilizacja” kradzieże i zabójstwa były im nie znane. Przed drugą wojną światową dzieci indiańskie uczyły się w szkołach katolickich. Nauka trwała przez 10 miesięcy w roku, a dzieci pobierające naukę mieszkwały w internacie. Większość uczniów stanowiły dziewczynki, które – pod opieką sióstr zakonnych – uczyły się szycia, gotowania, higieny, haftowania i szydełkowania; przechowywane do dzisiaj wspaniałe rękodzieła i ubiory skórzane są rezultatem wielkiej pracy misjonek. Chłopców było dużo mniej, ponieważ od 7 roku życia ojcowie zabierali ich na polowania i połowy ryb. Do lat 60. podstawą utrzymania Indian i misjonarzy były ryby i mięso upolowanych zwierząt. A fauna miejscowa w nie obfitowała. Ojciec Mokwa z lubością wylicza gatunki, na które polował: bizony, łosie, czarne niedźwiedzie i nade wszystko renifery, zwane tu cariboo. Tysięczne stada tych ostatnich od wieków stanowiły podstawę pożywienia tubylców. Dawniej polowano przy pomocy łuku, za czasów ojca Leona tylko karabinem. Mniejsze zwierzęta chwytano się w sidła. Jeziora i rzeki były pełne bardzo smacznych ryb. Spożywano je na surowo, gotowano, przede wszystkim jednak wędzono i suszono, aby je można było przechowywać. Upolowane w porze letniej mięso szybko się psuło. Dlatego misjonarze konserwowali je w specjalnych ziemiankach, kładąc warstwę mięsa, na to warstwę lodu i grubą warstwę soli. Warzywa i owoce w tradycyjnym jadłospisie Indian nie wy-

stępowały. Do lat powojennych misjonarze też żywili się wyłącznie mięsem ryb i zwierząt. Ojciec Mokwa opowiada: „Zaraz, jak tam przyjechałem, zostałem zaproszony na gościnę do indiańskiej rodziny. Jakież było moje przeżalenie, gdy na stole postawiono mi – na obiad – ugotowanego szczura. Ponieważ nie wypadało odmówić, a nic innego do jedzenia nie było, przełamałem obrzydzenie i ostrożnie zacząłem jeść. Okazało się, że szczur ma bardzo smaczne mięso”.

Osobliwy jest też klimat Północy. Są tam tylko dwie pory roku: zima i komary. W zimie mróz dochodził do 50 stopni, od listopada do 21 grudnia przez 6 tygodni nie ma wcale słońca, panuje półmrok. Jest to pora niebezpieczna dla białych. Zapadają na nerwice i depresje psychiczne. Natomiast na wiosnę przez 6 tygodni jest stale jasno. Kiedy słońce bardziej przygrzeje, pojawia się mnóstwo komarów. Chroniono się przed nimi siatkami, ale potrafiły wszędzie wejść. O dziwo, Indian komary wcale nie gryzły.

Ojciec Mokwa pracował wśród pięciu szczepów; Płaskie Psie Boki, Niewolnicy, Skośnoocy, Żółte Noże, Zające Skóry. Plemiona te, rozrzucone na wielkiej przestrzeni, żyły we względnej izolacji. Tym się tłumaczy spore różnice językowe, występujące pomiędzy nimi. W latach trzydziestych żywa była jeszcze pamięć o dawnym stylu życia, przekazywana wśród Indian w tradycji ustnej. Pod koniec XIX wieku wśród plemion indiańskich panowała poligamia, jednak wpływ misjonarzy doprowadził do głębokich przemian w tej dziedzinie, tak, że już za czasów ojca Leona trwały były małżeństwa monogamiczne.

Przed przyjściem białych misjonarzy wierzyli w Wielkiego Ducha – Kiczi Manitou. Ojciec Mokwa wspomina, że Indianie bardzo lękali się umarłych. Gdy w domu ktoś umarł, wystawiali zaraz nieboszczyka na zewnątrz, nawet na noc nie wnosili go do domu. Wioząc zmarłego do kościoła, nie używali własnej łodzi ani zaprzęgu. O kobiecie mówili, że „nie ma duszy”. Jako nierówne mężczyznom zaprzęcano je do sań. Dopiero biali przyprowadzili z sobą bardzo odporne na zimno i silne psy husky, i nauczyli Indian je zaprzęgać. Jeszcze w latach pięćdziesią-

tych kobiety i dzieci jadły na podłodze, a tylko mężczyźni przy stole.

Radykalne zmiany w stylu życia Indian i misjonarzy nastąpiły w latach II wojny światowej. Na północy – w obawie przed japońską inwazją – rozlokowano oddziały armii amerykańskiej. Murzyni z południa USA, cierpiąc z zimna, wycinali masowo lasy i palili ogniska. Spustoszone ogromne połacie, a las w zimnym klimacie już się nie odnowił. Wyginęły zwierzęta, z których żyli Indianie i misjonarze. Dlatego po wojnie rząd dał wszystkim Indianom zasiłek finansowy, aby mieli z czego żyć. Indianie rozpili się, potem przyszły narkotyki. Z braku nowych misjonarzy stopniowo wykruszał się personel szkół, szpitali, więc rząd odebrał te placówki. Tam, gdzie niegdyś pracowało 50 księży, ponad 100 sióstr, 50 braci zakonnych, zostało teraz 5 księży i kilkanaście sióstr. Północ straciła swój urok, gdy w latach 60. pobudowano lotniska, sklepy, wprowadzono telewizję, radio, telefony, motorowe sanie i łodzie.

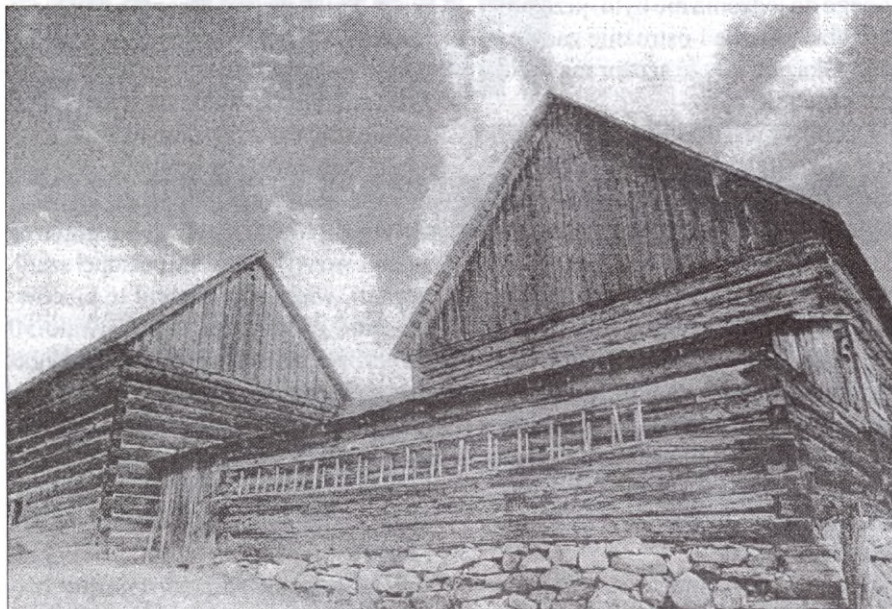
Współcześni Indianie, żyjący z rządowego zasiłku, przeżywają wielki kryzys, spowodowany brakiem pracy i życiowej motywacji. Bardzo częste są wśród nich samobójstwa, narkomania i przemoc. Niewielu młodych kończy jakiegokolwiek szkoły. Do cywilizacji, która do nich przysła, nie włączyli się. Przestali praktykować religię, nie chrzczą dzieci, nie chodzą wcale do kościoła. „Wszystko się zmieniło. Świat, do którego przyjechałem w 1935 roku już nie istnieje. I już nie wróci. Ale niczego nie żałuję. Kilka razy się topiłem, kilka razy w czasie wędrówki pieszej w zamieciach i ciemności zbłądziłem. Ale Bóg mnie wyprowadził. Przeżyłem piękne, choć bardzo trudne życie misjonarza” – powiada ojciec Mokwa.

Po roku 1985 ojciec Mokwa mieszkał w Edmonton, potem 3 lata w Toronto, a od 1992 znów w Edmonton. 25 czerwca odwiedził swe rodzinne Lubichowo, aby celebrować wraz z ziomkami 60-lecie kapłaństwa. Powrócił do Edmonton, aby być wśród tych, których bardzo pokochał. Zaprzyjaźnieni Indianie do dziś odwiedzają ojca Leona. Tak oto dopełnia się życie misjonarza, którego Arkady Fiedler nazwał w swej książce „Kanada pachnąca żywicą” ambasadorem Polski. ■

Bożena i Stanisława Miechowicz

Z Kraju Klonowego Liścia

Zapiski z opóźnieniem



Kaszubska zagroda

Pamiętnik Dominika A. Pałubickiego

„We wtorek 24 czerwca 1986 roku, ojciec Joseph Palubeskie, C. R., w czasie pobytu w Polsce, dotarł do Parchowa, skąd John Pałubickie wyemigrował w 1867 roku. (Parchowo jest mniej więcej tak duże, jak Wilno w Ontario). Na miejscowym cmentarzu były dwa nagrobki kamienne z nazwiskiem Pałubicki. Jeden był poświęcony Robertowi, który zmarł w 1938 roku i jego żonie Klarze. (Robert był bratankiem Jana), a drugi jego wnukowi, Edwardowi, który w wieku 25 lat zmarł również w 1938 roku.

Ojciec Edwarda - Dominik Antoni - także został tam pochowany w październiku 1985 roku, ale nie postawiono mu pomnika.

Zapis kościelny w miejscowej parafii sięgał do okresu sprzed 200 lat. Niestety, spis małżeństw i zgonów został zniszczony podczas ostatniej wojny.

Ojciec Joe spotkał także córkę Dominika, Renatę, która wyszła za mąż za Retkę i miała dwójkę małych dzieci. Wi-

dywał on także żonę Dominika, która mu oświadczyła, że z pewnością Dominik cieszyłby się ze spotkania z krewnymi z dalekiej Ameryki. Od tamtej pory ojciec Joe z panią Renatą korespondują. Pani Renata ma brata Tadeusza i zamężną siostrę Joannę oraz jeszcze nie zamężną siostrę Lucynę”.

Opowieści o życiu godziwym

Taki jest, w wolnym tłumaczeniu tekst „wprowadzenia” do 54-stronicowej, wspomnieniowej relacji Dominika A. Palubeskiego, (zachowujemy pisownię autora), nawiązujący do pobytu syna w starym kraju. Kopię maszynopisu tej relacji otrzymał każdy z członków rodziny Palubeskiech; naszą dostaliśmy od p. Anny Żurakowskiej, której synowa pochodzi z tego rodu.

Pamiętnik, napisany w języku angielskim, składa się z dwóch części: Część pierwsza zatytułowana „Homesteading in Renfrew Country”, co w wolnym tłumaczeniu znaczy „Domostwo (gospodarstwo) w okręgu Renfrew”, opisuje życie na kanadyjskich Kaszubach. Druga część pamiętnika, a właściwie

ostatni, jedenasty, najobszerniejszy rozdział, noszący tytuł: „A Farming in Oxford Country near Woodstock” („Gospodarowanie w oxfordzkim okręgu niedaleko Woodstock”), to obraz życia rodziny polskiej w oddaleniu od społeczności kaszubskiej. Obie części miał spisać Dominik A. Palubeskie. Na kartce tytułowej autorstwo części pierwszej przypisuje się Martinowi Palubeskiemu, ojcu Dominika. Martin jednak nie mógł spisać swoich wspomnień, gdyż, jak dowiadujemy się z lektury pamiętnika „do szkoły uczęszczał tylko dwa tygodnie”. Także informacja o autorstwie Dominika A. Palubeskiego, jak objaśniała ofiarodawczyni, p. Anna Żurakowska, jest nie w pełni uzasadniona. Bowiem, na kanwie wspomnień dziadka i ojca, ostateczną wersję opracował C. R. Joseph Palubeskie w 1985 roku. (W dalszej części artykułu jako autora „pamiętnika” będziemy jednak podawać Dominika A. Palubeskiego).

Relację uzupełniają oddzielne, kilkudziesięciostronicowe tablice genealogiczne i graficzne, przedstawiające rodowód i stosunki pokrewieństwa rozgałęzionego i liczącego około 650 członków rodu Palubeskiech, opracowane przez Annę Mintha-Palubeskie, pod tytułem „Jonh Palubeskie of Canada and his descendents: 1871-1984” (J. Pałubicki z Kanady i jego potomkowie).

Była to już druga wspomnieniowa relacja, z jaką zetknęliśmy się na ontaryjskich Kaszubach. Pierwszą był obszerny, ponadstustronicowy, ręcznie napisany pamiętnik pt. „Memoirs” p. Elisabeth Catherine Shalla, nauczycielki, która żyła w latach 1890-1978. Podobnie jak maszynopis Palubeskiech rękopis E. C. Shalla został powielony i udostępniony rodzinie.

Obie te wspomnieniowe prace nie były - wydaje się - pisane z myślą o szerszym udostępnieniu. Myślą przewodnią Elisabeth Catherine Shalla, spisującej swoje dzieje - wydarzenia w rodzinie i otoczeniu, była chęć przekazania potomkom swoich doświadczeń, przemyśleń i refleksji. Podobnymi intencjami kierował się Dominik A. Palubeskie, przywołując fakty i wydarzenia zapamiętane lub opowiedziane przez przodków. A szkoda. Obie bowiem za-



Zdjęcie ślubne Philipa i Mary Palubskie, rodziców Annie Mintha, 1871 r.

sługują na uwagę historyków, badających procesy i struktury społeczne na ontaryjskich Kaszubach. Można bowiem w nich znaleźć sporo informacji o życiu codziennym osadniczych rodzin. Zawierają również omówienia wewnątrzgrupowych stosunków i problemów, wiążących się z gospodarką, pracą, szkołą, kościołem. Ukazują więc te sfery życia zbiorowego, w którym formowały się poglądy, opinie, aspiracje i sposoby zachowań, a dodatkowym ich walorem jest to, iż każdy autor nieco inaczej je opowiedział.

E. C. Shalla - potomkini wielodzietnej rodziny kaszubskiego pioniera, córka Johna Etmańskiego i matki Marii z domu Kiedroskie - nauczycielka, pani domu i matka ośmiorga dzieci, dobrze знаła swoje środowisko i jego problemy. Niemal przez całe życie mieszkała na ontaryjskich Kaszubach. Jej „opowiadanie” jest pisane bardziej z pozycji bezpośredniego, wrażliwego i wnikliwego uczestnika tych zjawisk życia i problemów, które opisuje, niż świadka czy obserwatora. Nieobce są jej problemy życia rodzinnego, oświaty i wy-

chowania dzieci i młodzieży. Porusza sprawy higieny i zdrowia, zwłaszcza dzieci i kobiet, wśród których śmiertelność była przerażająca oraz wspomina o wielu innych aspektach codziennego bytowania osadników pierwszej i drugiej generacji. Podczas lektury wyraziście rysuje się obraz autorki. Najpierw jako młodej dziewczyny, dążącej uparcie, wbrew nie sprzyjającym warunkom materialnym, oporom rodziny i otoczenia oraz trudnościom kształcenia się, do zdobycia upragnionego zawodu nauczycielki. Także w późniejszych latach, już w charakterze nauczycielki, matki, żony i gospodyni domu daje się poznać jako osoba o silnej osobowości, która stawia sobie twarde wymagania życiowe, wychowawcze i patriotyczne, stojąc na straży wartości moralnych, kulturowych i obywatelskich w rodzinie i środowisku.

Wspomnienia Dominika A. Palubskiego, członka dość zamożnej rodziny osadniczej, przypominają raczej obiektywny raport niż subiektywny pamiętnik. Mają bowiem bardziej charakter zapisu świadka, obserwatora i komenta-

tora niż uczestnika. Nierzadko odnosi się wrażenie, iż autor spisywał tę swoją relację, jakby oglądając się wstecz. Często dokonuje porównań zachowań i postaw ludzi, zjawisk i faktów z dawnego, „godziwego”, jego zdaniem, życia osadników, ze współczesnością, w której wielu zjawisk nie aprobuje. Dzieje się tak trochę wbrew zapewnieniom piszącego, który sugeruje obiektywny zapis, deklarując: „...opisuję większość wydarzeń z pamięci, z fragmentów opowieści mojego ojca, wspomnień mojego dzieciństwa. (...) W opowieści mojej mogą być omyłki, a daty mogą być niezupełnie dokładne. Jednakże chciałbym podkreślić, że życie pierwszych osadników było trudne, a mój opis codziennych wydarzeń, radości, rozrywek i innych problemów jest zgodny z tymi, jakie miały miejsce za życia mojego ojca - Martina Palubskie”.

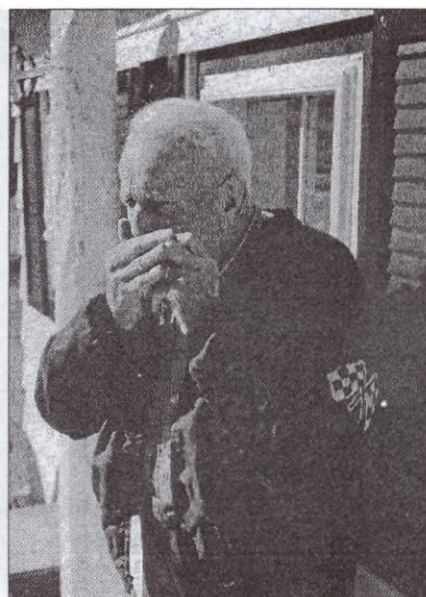
Nielatwe początki osadniczego życia

Opowiadanie Dominika A. Palubskiego obejmuje lata 1875-1947, tj. okres życia jego ojca Martina. Chociaż nie tylko. We wstępie piszący nawiązuje do początków osadniczego życia, które w jego rodzinie zapoczątkował dziadek, John Palubskie. Przybył on w 1867 roku z pomorskiego Parchowa wraz z rodziną w okolice dzisiejszego Wilna, gdzie w głębi buszu otrzymał do zagospodarowania 200-akrową działkę ziemi. Tam też, co zostało opisane w pierwszym rozdziale pt. „Growing up” (Dorastanie), ojciec Dominika, Martin spędził dzieciństwo, tj. lata 1875-1885. Ponieważ dziadek Dominika był stolarzem i pracował w warsztacie, domem i gospodarstwem zajmowała się jego żona i dzieci. „Szkół wówczas nie było, a nauczycielem ojca - odnotowuje pamiętnikarz - przez dwa tygodnie był Adam Prince, właściciel sklepu w Wilnie”. Kiedy Martin stał się „mężczyzną”, rozpoczął pracę jako drwal w buszu, a następnie jako robotnik przy budowie kolei. Przez cały czas pracy Martin, podobnie jak i inni robotnicy, nocował i żywił się w prymitywnych barakach, specjalnie w tym celu wybudowanych. Do rodzicielskiego domu przychodził raz w tygodniu, a często nawet rzadziej.

Dominik Palubskie nie ogranicza się tylko do omówienia pracy wykony-



Zdjęcie ślubne Annie Palubskie i Johna Mintha, 1924 r.



93-letni John Mintha gra na harmonijce

wanej przez swego ojca i jego kolegów, ale dość szczegółowo opisuje różne wiążące się z tym fakty, zdarzenia oraz postępowanie robotników. Dzięki temu dowiadujemy się, iż w pierwszym, pionierskim okresie praca zarobkowa w lesie i przy budowie kolei stanowiła źródło niezbędnego, dodatkowego zarobku, a młodym ludziom ułatwiała start do samodzielnego życia i zakładania rodzin. Wynajmowali się do niej dorośli mężczyźni i bardzo młodzi chłopcy. Autor przedstawia prawdziwie spartańskie warunki pracy robotników, opisuje prymitywne narzędzia, jakimi posługiwali się drwale przy wyrębie buszu dla wynajmujących ich kompanii, na własnej farmie oraz robotnicy przy budowie magistrali kolejowych. Na przykład, drzewa w buszu ścinano, ogoławcano z kory i dzielono na części ręcznie, tylko przy pomocy siekiery. Do pracy przy układaniu torów kolejowych służyły taczki i łopaty. Praca ta musiała być szczególnie uciążliwa i nie lubiana, gdyż, jak odnotował pamiętnikarz, „mężczyźni napęlniający taczki i łopaty ziemią, na dźwięk gwizdka, oznajmującego przerwę lub koniec pracy, porzucali na miejscu narzędzia i śpiesznie opuszczali stanowiska, co w innych okolicznościach było nie do pomyślenia”. Dzięki opowieściom Dominika poznajemy realia ówczesnych warunków pracy i życia robotników: zakwaterowanie, sposoby odżywiania się, wysokość zarobków, a także wzajemne stosunki, oparte na so-

lidarności grupowej i koleżeństwie, szczególnie w sytuacjach zagrażających życiu, a takie zdarzały się dość często. Np. układanie podkładów kolejowych i umocowanie ciężkich, masywnych szyn, tylko przy pomocy koni i siły ludzkiej, było bardzo trudne i niebezpieczne, nierzadko powodujące wypadki, kończące się kalectwem lub śmiercią.

Stabilizacja i życie rodzinne

Każdy z synów dziadka, (tzn. siedmiu braci ojca autora) po osiągnięciu dojrzałości, otrzymał od rządu 200-akrową działkę ziemi. Był to tzw. landgrant. Martin Palubskie swoją działkę dostał w Paugh Lake, niedaleko dzisiejszego Wilna. I tam właśnie, około 1885 rozpoczął gospodarowanie na własną rękę, a nieco później założył rodzinę. Wydarzenia z lat 1885-1921, które w późniejszym okresie określano często „czasem względnej stabilizacji” lub „gospodarki samowystarczalnej” stanowią główny temat drugiego rozdziału, pt. „Home steading” („Budowa domu”). Jest to jeden z nielicznych rozdziałów, w którym autor, w przeważającej mierze opisuje dzieje swojej rodziny i odnotowuje zmiany zachodzące w życiu jej członków i statusie społecznym. Chociaż nie wyłącznie.

Najpierw jest mowa o budowie pierwszego domu, co było przedsięwzięciem niełatwym do wykonania, w rodzinnym tylko zakresie. Pierwsze do-

my drewniane, jednoszpadowe, kryte słomą i jednoizbowe. Budowano je z dużych, nie ociosanych bali, ułożonych w czworobok, ponacinanych na węglach w taki sposób, żeby bokami przylegały do siebie. Ten sposób budowy, a zwłaszcza dostarczanie i podnoszenie dużych pni drzewnych tylko siłą rąk, wymagało pomocy i sąsiedzkiego współdziałania, co sprzyjało „powstaniu niewielkiej społeczności udzielającej sobie pomocy przy budowie pierwszych zabudowań.

(...) Społeczność ta składała się z najbliższych sąsiadów. Byli wśród nich - Rumleskie, Frank i Joseph Cybulskie, Yandernol, Puhalskie, Mintha, Coulas, Pick i inni” - pisze Dominik.

Około 1906 roku Palubskie postawili nowy, wielopokojowy, dwupiętrowy dom i dorobili się dobrze prosperującej farmy. Ponieważ ziemia była dobra, uprawiano groch, żyto, pszenicę, owies, jęczmień i ziemniaki. Koło domu zaś rosło wiele odmian warzyw. W Paugh Lake także urodzili się bracia i siostry Dominika. Z pierwszego małżeństwa ojca z Julią Bleskie, która zmarła w połogu, urodziła się jego starsza siostra. Z drugiego związku, z Barbarą Gutoskie, przyszło na świat pięcioro rodzeństwa, wśród nich autor. Ich matka również umarła niedługo, przy porodzie kolejnego dziecka. Z trzeciego związku, z Helen Norlock, autorowi przybyło dziewięcioro braci i siostr. Autor uzasadnia te rodzinne dramaty - zgon matki, osierocone dzie-

ci - ogólnym brakiem opieki zdrowotnej, pisząc: „przy wszystkich narodzinach asystowała położna, w domu, gdyż w okolicy nie było szpitala. Najbliższy zaś lekarz mieszkał w Killaloe”.

Natomiast do różnych aspektów dzieciństwa - swego, rodzeństwa i rówieśników, autor nawiązuje wielokrotnie: „Dawniej nie znano dzisiejszych smoczków, a aby dziecko uspokoić cukier zawijano w szmatkę i wkładano mu do ust. (...) Gdy dziecko podrosło, w tym samym celu, dawano mu świńskie skórki od szynki. (...) Mimo prymitywnych warunków życia, dzieci rosły zdrowo i stawały się zdrowymi i silnymi kobietami i mężczyznami” - konkluduje.

Sporo też uwag przekazuje Dominik o absorbujących, a nie lubianych przez dzieci obowiązkach. Jednym z najbardziej uciążliwych zajęć było coroczne zbieranie kamieni i układanie ich w przyzmy. Dzięki tej jego relacji mogliśmy „odmitologizować” wielokrotnie powtarzaną wersję o kamieniach, wyrastających z ziemi na wiosnę. Ulegliśmy, zresztą nie tylko my, tej pięknie brzmiącej legendzie oglądając wielogachne, kamienne mury, okalające tamtejsze farmy, cmentarze i świątynie. Tymczasem - jak pisze pamiętnikarz - kamienie te wydobywano z wyrw, powstałych po wykarczowaniu drzew. Ponieważ osadnicy dostawali ziemię nie tkniętą pługiem, zarośniętą chaszczami, które trzeba było usunąć, nic dziwnego, że narodziła się opowieść „o kamieniach wynurzających się z ziemi po każdej zimie”. Także w wielu innych zajęciach gospodarczych najmłodszy potomkowie pionierów musieli brać udział. Trzeba było np. przez wiele godzin kręcić kamiennym kołem, na którym ojciec ostrzył noże, kosy, sierpy: poganiać konie przy młócarce i sieczkarni; wspólnie z kobietami brać udział w darciu pierza, pomagać przy wyrobie masła: na wiosnę usuwać kielki z ziemniaków itp. A wiele z tych zajęć odbywało się kosztem nauki w szkole, o której zresztą pamiętnikarz pisze dość obszernie w rozdziale „Nauka w szkole”.

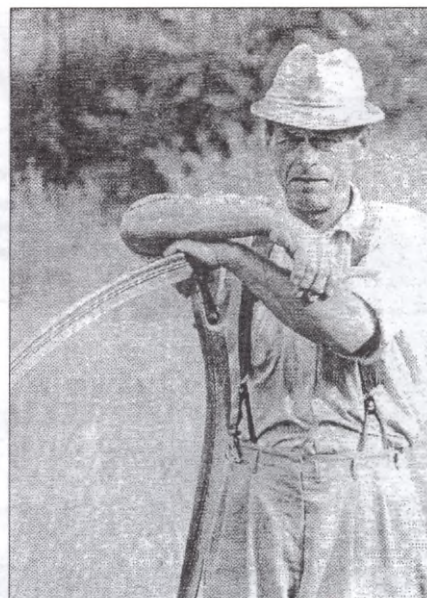
Z biegiem czasu, las i przemysł leśny zdominowały życie rodzinne Martina Palubeskiego, uzyskując znaczną przewagę nad gospodarką rolną. „Karczowanie lasu stało się w okolicy przemysłem. Powstało kilka niewielkich

tartaków, które działały przez wiele lat. Mój ojciec wszedł w spółkę z Johnem Omanique i Johnem Gutoskiem i wybudowali tartak w pobliżu naszej farmy. Oprócz ścinania i przeróbki własnych drzew, skupowali pnie z okolicznych farm. W tamtych czasach cały transport drewna koncentrował się w okolicach Barry's Bay, dokąd transportowano pnie drogą wodną, rzeką Madawaska do jeziora Kaministiquia. Nie oheblowane drewno, przeznaczone na podkłady kolejowe, płyty, do wyrobu statków i korę świerkową załadowywano do wagonów i wysyłano na rynek, gdzie się dało”.

Sąsiedzi i środowisko

Dalsza opowieść Dominika A. Palubeskiego podzielona jest również na rozdziały, które jednak zawierają znacznie mniej szczegółów z życia jego rodziny. Przeważają natomiast relacje życia zbiorowego osadników: „Planting and Harvesting” (Uprawa roli i żniwa); „Threshing” („Młócenie zboża”); „Community living” („Społeczeństwo wiejskie”); „Lumbering” („karczowanie lasu”); „Weddings” („Wesela, śluby”); „Funerals & Wakes” („Pogrzeby i czuwanie”); „School Days” („Nauka w szkole”); „General Trust and Faith in God” („Wzajemne zaufanie i wiara w Boga”).

Był to zapewne świadomy zabieg autora, przerwającego wspomnienia przodków. Ten sposób poszuflakowania materiału pozwolił mu na zarysowanie dość szerokiej panoramy życia osadników i ukazania ich zachowań w rozmaitych sytuacjach życia prywatnego i gromadnego. Takie ujęcie spraw, faktów, wydarzeń, zachowań oraz... opinii piszącego, tworzy w pamiętniku kilka minimonografii, które mogą dostarczyć kronikarzom i badaczom sporo wiarygodnych informacji, dotyczących różnych aspektów życia dawnej kaszubskiej społeczności. Autor bowiem, mając uwagę skierowaną ku potocznej rzeczywistości, często z pozoru nieistotnym zjawiskom, a mniej ku wielkim wydarzeniom, w których te codzienne zdarzenia działały się, wyraziście odtwarza życie codzienne swego środowiska. Natomiast słabym echem odbijają się ważne wydarzenia, takie np. jak pierwsza i druga wojna światowa, uzyskanie przez Kanadę



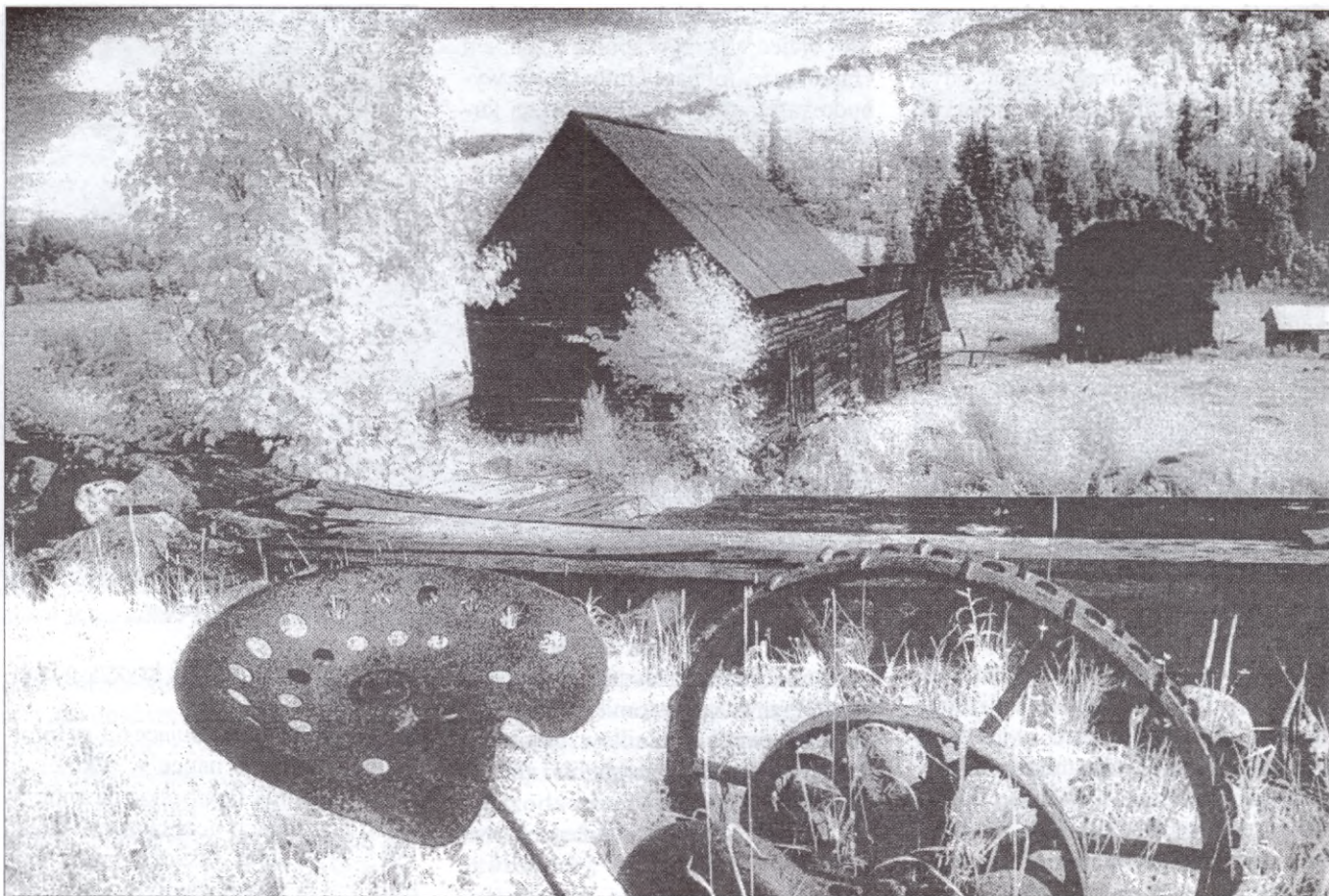
Potomek kaszubskich osadników

autonomii, czy wielki kryzys gospodarczy.

Szczególnie interesujące np. są informacje i uwagi o nauce w szkole, do której Dominik Palubeski na ontaryjskich Kaszubach uczęszczał w latach 1915-21. Potem, jeszcze przez jakiś czas, był uczniem szkoły w innej części Kanady. Ta kaszubska placówka oświatowa miała jedną izbę, w której równocześnie uczyły się dzieci od klasy pierwszej do czwartej. Nauczyciel zaś był także higienistą, dentystą i lekarzem. Interesujące - wydaje się - byłoby porównanie opisów szkoły przez Dominika z relacją E. C. Shalla - nauczycielki.

Równie ciekawe, zwłaszcza dla kaszuboznawców, są Dominikowe relacje o przedślubnych ceremoniach ubiegania się o pannę, zaślubinach oraz o przebiegu wielodniowych uroczystości weselnych. Ubogie i skromne na początku były obrzędy pogrzebowe i „puste noce”, w których uczestniczyli sąsiedzi, przyjaciele i krewni, a zmarłych chowano w nie heblowanej skrzyni. Pochówkiem zajmowała się rodzina, wspierana przez przyjaciół i sąsiadów. Potem, w miarę wzrostu zamożności, osadnicy zaczęli pogrzebom nadawać coraz okazalszy kształt, a dotychczasowe rodzinne obowiązki, wiążące się z tą smutną ceremonią, zaczęły przejmować specjalistyczne przedsiębiorstwa.

Także Dominikowe opisy dawnych ważkich wiejskich wydarzeń: żniw, sia-



Opuszczona farma. Fotografie z albumu „Ontario's Kaszuby”

nokosów, wykopków, omłotów i nawet późnojesiennych ubojów zwierząt domowych oraz konserwacji mięsa, mogą okazać się użyteczne dla dziejopisów i badaczy dawnego życia na ontaryjskich Kaszubach.

Głównym jednak wątkiem, jaki w tej wspomnieniowej relacji Palubeskich przewija się we wszystkich rozdziałach jest praca fizyczna, ciężka, wyczerpująca, a często także zagrażająca życiu. Przy czym nie tyle etos pracy i jej materialnotwórcza rola absorbują uwagę autora, co skutki jej oddziaływania na postawy, postępowanie i moralno-obyczajową stronę życia osadników i ich potomków. Bo to właśnie w toku pracy drwali, posługujących się prymitywnymi przyrządami, prawdziwie niebezpiecznej żonglerce robotników przy spławianiu drewna wodami tamtejszych rzek i jezior oraz ludzi pracujących przy układaniu torów, tworzyły się wspólnoty oparte na solidarności grupowej, współdziałaniu i zażyłości. Także praca na farmie, na której w pierwszym okresie opierał się byt materialny osadników, sprzyjała powsta-

niu trwałych, międzysąsiedzkich więzi i życzliwej współpracy. Przykładów pomocy grupowej, przenoszonej od jednej farmy do drugiej w czasie wykonywania pilnych prac sezonowych, autor wymienia sporo. Taka samopomoc sąsiedzka była szczególnie pożyteczna w okresie, kiedy brakowało jeszcze dostatecznej liczby narzędzi i maszyn. Ponadto te wzajemne wsparcie i pomoc farmerskich wspólnot zapewniały nie tylko przetrwanie i bezpieczeństwo całej osadniczej grupie, ale dzięki nim wykształciły się wartości, takie jak np. poszanowanie członków własnego społeczeństwa i rodziny oraz obowiązek uczciwego i rzetelnego postępowania w życiu. Na tę, relacjonowaną przez siebie dawną rzeczywistość, która nakazywała osadnikom szanować, co bliskie i własne oraz cenić takie wartości, które zapewniały bezpieczne trwanie, uznanie i szacunek otoczenia, Dominik Palubeskie patrzy z czasowego dystansu, zapewne nieco je idealizując. Nic więc dziwnego, iż wiele współczesnych zjawisk nie zyskuje uznania w jego oczach. Dzisiejszej go-

nitwie za posiadaniem dóbr i pieniędzy, m.in. przeciwstawia stosunki panujące w okresie gospodarki samowystarczalnej. Wytwarzano wtedy tyle produktów rolnych i spożywczych, przedmiotów i sprzętów codziennego użytku, tkano tyle samodziałów i lnianych płócien, wyprawiano tyle skór zwierzęcych, ile rodzina potrzebowała. Miało to - zdaniem piszącego - korzystny wpływ na postawę i atmosferę rodzinnych wspólnot. Umacniało bowiem u dorosłych i dzieci poczucie odpowiedzialności, pracowitość oraz poszanowanie dóbr. Także wymianie nadwyżek, bez pośrednictwa pieniędzy, pamiętnikarz przypisuje pozytywne oddziaływanie na moralną i obyczajową postawę osadników.

Z lektury wynika jeszcze jeden, niezwykle istotny aspekt, wyróżniający tę pozycję spośród wielu innych opracowań, traktujących o ontaryjskich Kaszubach. Z opisu D. Palubeskiego wyłania się rodzina z dominującą pozycją ojca. Rodzina zwarta, pracowita, stanowiąca środowisko wychowujące i oddziałujące na osadniczą społeczność.

Jednocześnie, ta mała komórka społeczna, ze swego środowiska przejmując najistotniejsze wartości życiowe, obyczajowe i etyczne.

Jest to obraz - o czym należy pamiętać - tej części osadniczej społeczności, której się w Kanadzie powiodło. Dziadek pamiętnikarza, John Palubskie przybył na Wyżynę Madawaski bez pieniędzy, ze słabą znajomością kraju i języka. Nadludzkim niemal wysiłkiem stworzył swej rodzinie godziwe warunki egzystencji. Jego potomkowie, a konkretnie syn Martin dopracował się już prawdziwej rolniczej fortuny. Kolejne generacje liczące już 650 członków rodziny, także doszły do znaczących stanowisk w kanadyjskiej hierarchii społecznej i gospodarczej, o czym po części tylko dowiadujemy się z pamiętnika.

Pobyt poza ontaryjskimi Kaszubami

Ostatni, najobszerniejszy rozdział traktuje o wieloletnim, od 1921 do 1942 roku, pobycie rodziny Palubeskich w Woodstock, osiedlu leżącym w południowo-zachodniej części ontaryjskiej prowincji, niedaleko Hamilton. Tam bowiem przeprowadził się Martin Palubskie z rodziną. W nowym miejscu zamieszkania, gdzie klimat był łagodniejszy i lepsza ziemia, sprzyjająca rozwojowi innego rodzaju farmerstwa, m.in. hodowli krów mlecznych, uprawie kukurydzy itp., Palubskim, mimo ogólnego kryzysu gospodarczego, wiodło się nie najgorzej. Mieli nawet 12-hektarowy las klonowy, dostarczający rocznie około 50 galonów słodkiego syropu klonowego. Mimo tego względnego dobrobytu, jakiego dopracowali się w nowym miejscu, Palubscy czuli się tam nie najlepiej. Brakowało im bliskosąsiedzkich więzi i swoistej atmosfery moralno-obyczajowej, jaka panowała na ontaryjskich Kaszubach. W 1942 roku Martin Palubskie sprzedał farmę i wrócił „między swoich”, osiedlając się w Barry's Bay.

Ten ostatni rozdział jest dość interesujący z innych względów. Zawiera bowiem sporo wiadomości o życiu wiejskim w innej, niż Wyżyna Madawaska, części ontaryjskiej prowincji i w okresie, gdy do prac rolnych i gospodarczych wkraczała mechanizacja i motoryzacja. ■

ZAKOŃCZENIE I KONGRESU KOCIEWSKIEGO

I Kongres Kociewski, rozpoczęty 1 kwietnia w Starogardzie Gdańskim, zakończył się 21 października w Tczewie. Okres ten był swoistym kulturalnym poruszeniem Kociewiaków. Od Starogardu Gdańskiego poprzez ważniejsze ośrodki, a skończywszy na Tczewie, toczyła się wielka sztafeta imprez złożona z wystaw, sesji popularnonaukowych, przeglądów chórów i zespołów folklorystycznych i konkursu recytatorskiego literatury kociewskiej.

Bogaty był również program uroczystego zakończenia I Kongresu Kociewskiego. W godzinach przedpołudniowych w Zespole Szkół Ekonomicznych zebrały się dwa zespoły robocze, dyskutujące nad możliwościami promocji walorów turystycznych Kociewia oraz stanem i perspektywami kociewskiego ruchu regionalnego. Roboczy charakter miało także spotkanie nauczycieli regionalistów w Twardym Dole, zorganizowane przez Kuratorium Oświaty w Gdańsku i Oddział ZKP w Zblewie.

W debacie nad regionalizmem kociewskim dyskutanci podkreślali znaczącą rolę edukacji młodego pokolenia, potrzebę przygotowania dzieci, już w wieku przedszkolnym, do twórczego uczestnictwa w rodzimej kulturze. Edukacja regionalna nie powinna jednak ograniczać się do szkół, lecz, jak mówiono, musi być także obecna w placówkach kultury i w Kościele. Z dotychczasowych form edukacji ważną rolę odgrywa coraz bardziej popularny, ogólnokociewski konkurs „Recytujmy prozę i poezję kociewską”.

Za konieczność uznano integrowanie się, a co najmniej stałą współpracę działających na Kociewiu stowarzyszeń regionalnych. Do najbardziej prężnych organizacji tego typu należą: Towarzystwo Miłośników Ziemi Kociewskiej, Towarzystwo Miłośników Ziemi Tczewskiej, Towarzystwo Miłośników Ziemi Świeckiej, Oddział Kociewski

ZKP w Świeciu i Towarzystwo Miłośników Wisły w Tczewie. Stowarzyszenia te działają głównie na polu kultury. Powstają jednak nowe wspólnoty, takie jak Stowarzyszenie Rozwoju Ziemi Tczewskiej „Gryf”, które podejmuje działalność gospodarczą na rzecz promocji regionu, a także odgrywa decydującą rolę w lokalnym samorządzie.

Regionaliści kociewscy oczekują, że ich inicjatywy i przedsięwzięcia znajdą wsparcie w samorządzie terytorialnym. Nie ukrywano, że chodzi głównie o pomoc finansową m.in. w wydawaniu „Zapisków Kociewskich” i reaktywowanego w kongresowym czasie „Kociewskiego Magazynu Regionalnego”. Zresztą, działalność wydawnicza i środki masowego przekazu uznano za ważne instrumenty, służące nie tylko popularyzacji idei regionalistycznej, ale także integracji kulturowej Kociewia. Wręcz domagano się podobnego dostępu do radia i telewizji, jaki mają Kaszubi.

Ruch regionalny na Kociewiu ma długą tradycję. Za źródło współczesnego ruchu regionalnego na Kociewiu uznaje się ruch ludowy z połowy XIX wieku, z prężnymi związkami samopomocowymi, bractwami i towarzystwami o charakterze oświatowo-kulturalnym. Jego rozwój nasilił się przed II wojną światową. We współczesnej myśli regionalistycznej, zdaniem dyskutantów, powinny też być obecne wartości kształtowane od wieków, jak etos pracy, przywiązanie do ziemi i tradycji oraz szacunek do życia rodzinnego.

Po południu w Tczewskim Centrum Kultury odbyły się obrady plenarne I Kongresu Kociewskiego. Wśród zaproszonych gości obecni byli m.in. wojewoda gdański Maciej Płażyński, dyr. Maciej Klimczak z Ministerstwa Kultury i Sztuki, posłowie, przedstawiciele władz samorządowych administracji rządowej oraz świata nauki. Obrady

dy otworzył przewodniczący Rady Miejskiej w Tczewie Mirosław Ostrowski, który wyraził nadzieję, że kongres stanie się zaczynem regionalnego ożywienia mieszkańców Kociewia, a budowa nowej rzeczywistości znajdzie mocne oparcie w żywej i bogatej tradycji kociewskiej. Następny mówca, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego I Kongresu Kociewskiego, prof. Józef Borzyszkowski, zwrócił uwagę na niezwykłą mobilizację kociewskich środowisk i promocję regionu. Był to okres, powiedział, sprzyjający refleksji nad walorami swojszczyzny, wzmocnieniu dumy regionalnej.

W wystąpieniach gości kongresu, m.in. Anatola Omelanika – przewodniczącego Rady Regionalnych Towarzystw Kultury, Jana Wyrowińskiego – prezesa ZKP i Jana Kulasa – wiceprzewodniczącego gdańskiego Sejmiiku Samorządowego, pojawiał się jeden wspólny ton: uznanie kongresu za ważne wydarzenie w tworzeniu klimatu dla rozwoju rodzimej kultury, poszerzaniu społecznego zaplecza na rzecz regionalizacji kraju. Z kolei przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki dyr. Maciej Klimczak powiedział, że kongres jest wyrazem silnego przywiązania Kociewiaków do swojej ziemi,

własnego regionu. Obiecał, że resort będzie wspierał konkretne działania kulturotwórcze regionalnych społeczności w całym kraju. Prezentując założenia kulturalnej polityki państwa powiedział, że do zadań priorytetowych ministerstwa należy ochrona książki i czytelnictwa, kulturalnego dziedzictwa narodu oraz promowanie szeroko rozumianej edukacji kulturalnej społeczeństwa.

Obrady plenarne zakończyły się wystąpieniami prof. Wiktora Peplińskiego z Uniwersytetu Gdańskiego i Grażyny Zielińskiej, dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Gdańsku. W. Pepliński, mówiąc o wpływie czasopiśmiennictwa pomorsko-kociewskiego na kształtowanie świadomości regionalnej, uzmysłowił uczestnikom kongresu, że początkowo (od drugiej połowy XIX w.) prasa na Kociewiu propagowała przede wszystkim ideę narodową, a dopiero po odzyskaniu przez Pomorze niepodległości zajęła się sprawami regionalnymi, bliskimi lokalnym wspólnotom. Profesor określił prasę jako zwierciadło aktywności kulturalnej mieszkańców Kociewia, a jednocześnie źródło kształtujące określone środowiska regionalistyczne, podkreślając rolę „Kociewskiego Magazynu Re-

gionalnego” oraz „Pomeranii”. Grażyna Zielińska, mówiąc o szansach i barierach społeczno-gospodarczego rozwoju Kociewia, uwydatniła rolę samorządów w pobudzaniu gospodarki regionu. Tworzenie warunków do inwestowania, miejsc pracy na własnym terenie, a także porządkowanie infrastruktury w poszczególnych miejscowościach, to, zdaniem referentki, główne zadania samorządów w sferze gospodarczego rozwoju regionu.

Uroczyste zakończenie kongresu odbyło się w kościele Podwyższenia Krzyża. Chór „Juventus”, soliści i recytatorzy zaprezentowali koncert „Panie, powstrzymaj głos ostatniego dzwonu”, z muzyką Damiana i Wojciecha Galińskich oraz tekstami Romana Landowskiego. Po koncercie odprawiona została msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem biskupa pelplińskiego ks. prof. Jana Bernarda Szlagi.

W gronie głównych organizatorów uroczystości zakończenia I Kongresu Kociewskiego znaleźli się: Towarzystwo Miłośników Ziemi Kociewskiej w Starogardzie, Towarzystwo Miłośników Ziemi Tczewskiej, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Rada Miejska i prezydent Tczewa oraz wojewoda gdański. s.j.



OBLICZA POMORSKICH BISKUPÓW

Spotkania Pelplińskie zapoczątkowane w latach 80. wciąż zachowują swój pierwotny charakter i klimat. Nadal też organizatorzy - Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie i pelplińskie Wyższe Seminarium Duchowne - proponują nietuzinkową tematykę i interesujących referentów. W tym roku, 3 i 4 listopada, podczas XVI Spotkań Pelplińskich, omawiano dwie ważne postaci pomorskiego Kościoła - biskupów Konstantyna Dominika i Karla Marii Spletta.

Konstantyn Dominik, biskup pomocniczy diecezji chełmińskiej, zmarł w opinii świętości. Karl Maria Splett, biskup gdański i administrator diecezji chełmińskiej podczas okupacji pozostaje człowiekiem kontrowersyjnym; do dziś sądy na jego temat są bardzo rozbieżne. Dyskusja o obu biskupach przerodziła się w emocjonalną polemikę wokół K. M. Spletta. Zaczynam jej były dwie niedawno wydane biografie biskupa gdańskiego: dr. Petera Rainy i ks. prałata Stanisława Bogdanowicza, zaprezentowane przez prowadzącego spotkanie prof. Józefa Borzyszkowskiego.

Dr P. Raina skrytykował książkę, nieobecnego podczas dyskusji, ks. prałata S. Bogdanowicza. Nie zgodził się z sądem autora, że działalność gdańskiego biskupa nie była wymierzona przeciwko Polsce i Polakom. Za szczególnie naganne P. Raina uznał niektóre zarządzenia i gesty biskupa K.M. Spletta, m.in. list pasterski z 4 września 1939 r., popierający władzę hitlerowską w Gdańsku i zakaz spowiadania w języku polskim. Podejmowane w ostatnim czasie próby rehabilitacji niemieckiego biskupa uznał za akceptację agresji hitlerowskiej na Polskę. Każdy biskup jest powołany do obrony Ewangelii i musi żyć zgodnie z jej zasadami, mówił Raina.

Dr Maciej Pleniewicz stwierdził, że obie książki o biskupie K.M. Splecie uważa za publikacje tendencyjne, dalekie od obiektywizmu. Jedną jest bowiem oskarżeniem, a drugą panegirycznym. Według niego postać gdańskiego biskupa powinna zostać opisana w rzetelnej biografii, opartej na wszystkich dostępnych materiałach i źródłach historycznych. M. Pleniewicz krytycznie ocenił dwie decyzje biskupa K.M. Spletta - wrześniowy list pasterski oraz zarządzenie o modlitwie i biciu w dzwony z okazji urodzin Hitlera, w kwietniu 1939 r. Późniejsze postanowienia ordynariusza gdańskiego uznał za działalność podporządkowaną obowiązującemu podczas okupacji na Pomorzu systemowi władzy.

Przeciwko radykalizmowi ocen działalności biskupa K.M. Spletta opowiedział się red. Tadeusz Bolduan. Według niego każde świadectwo historyczne o biskupie musi zostać skonfrontowane z ówczesnymi, trudnymi uwarunkowaniami. Chociaż w sprawie K.M. Spletta zdania historyków są zróżnicowane, to jednak Polonia gdańska i sopocka nie miała do działalności biskupa podczas wojny żadnych zastrzeżeń. Ksiądz biskup Splett nie był bohaterem, był jednak człowiekiem o dość nieprzeciętnej osobowości. Zdaniem T. Bolduana historycy powinni przede wszystkim zająć się badaniem intencji biskupa gdańskiego. Według jego rozważania, biskupowi chodziło przede wszystkim o to, by podczas wojny były otwarte gdańskie kościoły, a księża mogli wypełniać posługę duszpasterską. Każdy natomiast, kto przeżył niemiecką okupację na Pomorzu, powinien zdawać sobie sprawę, że Splett nie mógł w tym czasie bronić polskiego duchowieństwa przed hitlerowskim terrorem.

Prof. Józef Borzyszkowski zwrócił uwagę na fakt, że bp K. Dominik, mimo internowania przez Niemców, mógł za sprawą bpa K.M. Spletta prowadzić w miarę swobodną działalność duszpasterską, z odprawianiem mszy św. w Katedrze Oliwskiej włącznie. Jednak nie są jeszcze w pełni znane relacje między dwoma arcybiskupami, absolwentami tych samych placówek edukacyjnych - Collegium Marianum i Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie. Obaj, jak to na Pomorzu wówczas bywało, byli dwujęzyczni - Niemiec Splett mówił biegle po polsku, a Dominik znał doskonale niemiecki. Obu łączyła też duszpasterska gorliwość. O pobożności i trosce bpa Spletta o kapłanów mówił ks. dr hab. Anastazy Nadolny.

Referat „Biskup Dominik w dokumentach watykańskich” ks. prałata Leonarda Flisikowskiego z Rzymu, odczytany przez ks. rektora Wiesława Meringa, zawierał wiele nieznanych faktów i opinii o słudze bożym rodem z kaszubskiego Gnieźdźewa. Ks. L. Flisikowskiemu udało się zdobyć m.in. wciąż oficjalnie poufną dokumentację dochodzenia kononicznego w sprawie ks. K. Dominika jako kandydata na biskupa. Jeden z opiniodawców określił go jako „człowieka o pięknej duszy, bardzo pobożnego i oddanego Kościołowi, cieszącego się szacunkiem w diecezji”. Inny podkreślał, że kandydat na biskupa „nie popiera stronnictw politycznych”,

nie słyszał o nim nigdy nic złego i że „jest zbyt dobry”.

Papież Pius XI mianował ks. Konstantyna Dominika biskupem sufraganiem diecezji chełmińskiej 8 stycznia 1928 r. Jako biskup pomocniczy pełnił wiele funkcji, był m.in. rektorem seminarium duchownego, dziekanem Kapituły Katedralnej, wikariuszem generalnym. Na początku II wojny światowej ciężko chory bp. K. Dominik uniknął aresztowania, ale po odzyskaniu zdrowia został przez hitlerowców internowany. Pozbawiony władzy biskupiej, upokorzony, godnie wypełniał rolę zwykłego kapłana; kard. Augustyn Hlond w relacji złożonej osobiście na ręce papieża Piusa XII, określił biskupa Dominika jako „bohatera dobroci i świętości”. Biskup zmarł w szpitalu Panny Maryi w Gdańsku 7 marca 1942 roku. Cztery lata po wojnie, po ekshumacji, pochowano go uroczystie na pelplińskim cmentarzu. W 1961, w wyniku prośby ks. bpa Kazimierza Józefa Kowalskiego skierowanej do Ojca Świętego, rozpoczął się proces beatyfikacyjny biskupa Dominika. Cztery lata później proces został zakończony w ówczesnej diecezji chełmińskiej; dalsze, żmudne dochodzenia beatyfikacyjne odbywają się w Watykanie, w Kongregacji ds. Świętych. Wciąż jeszcze nie wiadomo, kiedy bp Konstantyn Dominik zostanie wyniesiony przez Ojca Świętego na ołtarze. Dla środowiska kaszubskiego, beatyfikacja Konstantyna Dominika miałaby, poza wymiarem religijnym, ogromne znaczenie prestiżowe; biskup nie tylko przyznawał się do swojej kaszubskości, ale często też rozmawiał z pobratymcami po kaszubsku, miał wiele szacunku dla rodzimej kultury i tradycji.

Przez całe spotkania przewijał się wątek stosunków polsko-niemieckich. Tematyka ta została istotnie wzbogacona dzięki referatom: ks. dr. Romana Ciecholewskiego o kontaktach Kościoła chełmińskiego z Niemcami i prof. Klausa Ziemera o udziale niemieckiego Kościoła w latach 50. i 60. w procesie rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Referaty te uświadomiły uczestnikom spotkań, że od lat istnieje, mimo przeszkód i trudności, głęboka i owocna współpraca między obu Kościołami.

W czasie spotkań odbyły się dwie promocje wydawnicze - wywiadów Marzeny Burczyckiej-Woźniak z ks. bp. prof. Janem B. Szlągą pt. „Reportażu stamtąd nie będzie” i albumu nieżyjącego już ks. prof. Janusza S. Pasierba pt. „Pelplin i jego zabytki”. Obie pozycje ujawniają możliwości intelektualne pomorskiego duchowieństwa. Uczestnicy spotkania obejrżeli też inscenizację „Wieczernika” Ernesta Brylla w wykonaniu Kleryckiego Koła Teatralnego „Dulcitius” w Pelplinie.

Na zakończenie spotkań bp Jan Bernard Szląga odznaczył medalami zasługi dla diecezji pelplińskiej redaktorów Ewę Kunicką i Romana Landowskiego oraz drukarza Tadeusza Piątkę z Wydawnictwa Diecezjalnego. J.L.

LOS MAJKOWSKIEGO I JEGO KSIĄŻKI

Krystyna Stroynowska



Ludzie wrażliwi, niecierpliwi, nie umiejący pogodzić się z krzywdą i niesprawiedliwością, prowadzą samotną walkę i umierają rozgoryczeni. Podobne były losy Aleksandra Majkowskiego, postaci w dziejach kaszubskich szczególnie. Historia oddaje niekiedy hołd owym wybitnym osobowościom, a roztropni potomkowie szukają właśnie pośród nich swoich duchowych mistrzów. Aleksander Majkowski jest dziś w kaszubskich kręgach ceniony szczególnie wysoko. Regionalna jedynie sława nie odpowiada jednakże temu, co zrobił dla kultury w ogóle jako autor arcydzieła nie tylko kaszubskiej, ale polskiej literatury – „Życia i przygód Remusa”.

Prześledźmy raz jeszcze koleje życia tego wielkiego, acz skromnego człowieka.

Aleksander Majkowski urodził się 1 lipca 1876 roku w Kościerzynie. Maturę uzyskał w gimnazjum w Chełmnie, ukończył studia medyczne ze stopniem doktora. Już w czasach uniwersyteckich uczestniczył niezwykle aktywnie w życiu politycznym – agitował wśród polskich robotników sezonowych przyjeżdżających na roboty do Niemiec, był

członkiem stowarzyszeń wolnościowych: „Mickiewicz”, „Adelphia”, „Vistula”. Bezpośrednim skutkiem owego manifestowania swej niezgody na narodową krzywdę było pobieranie przezeń nauki na kilku uniwersytetach – w Berlinie, w Gryfii i w Monachium.

W 1904 roku powrócił ze studiów do „kochanych Kaszub”. Mieszkał i pracował kolejno w Gdańsku, Kościerzynie, Sopocie, Kartuzach. Jego nieśpożyta wprost energia znajdowała upust w wielu zajęciach. Majkowski pełnił obowiązki lekarza, z czym wiązały się liczne wyjazdy na wieś, pisarz miał wówczas okazję obcować z kaszubskim folklorem, którego zabytki gromadził wspaniale je spożytkowując w powieści swego życia. Jednocześnie prowadził szeroko zakrojoną działalność publicystyczną. W czasie odbywania praktyki lekarskiej w Gdańsku współpracował z „Gazetą Gdańską”, przy niej też założył regionalny dodatek „Družba” pisany w całości po kaszubsku. Szczególnie znaczące, jak później mogli ocenić potomkowie, było wydanie w 1909 roku „Gryfa” – pisma poświęconego sprawom kaszubskim. Program czasopisma zakładał głębokie zaznajomienie czytelników z rodzimą kulturą we wszystkich jej przejawach ze szczególnym uwzględnieniem języka.

Majkowski jasno określał swoje stanowisko w sprawach narodowych stresszające się w dwuwierszu Derdowskiego „Nie ma Kaszub bez Polonii, a bez Kaszub Polsci”, na które pisarz chętnie się powoływał. Nie uchroniło go to jednak przed zarzutami separatyzmu. Niezrozumienie istoty jego pracy, liczne ataki ze strony kół konserwatywnych zламаły go w końcu i doprowadziły do chęci ucieczki z Kaszub. W 1911 roku Majkowski wyjechał na Śląsk. Emigracja trwała zaledwie kilka miesięcy, jak zaświadczyła córka pisarza „Majkowski nie umie dla sie-

bie gdzie indziej znaleźć miejsca” (D. Majkowska, wstęp do: A. Majkowski „Pomorzanie”). Po powrocie w rodzinne strony rzucił się w wir działalności publicystycznej, by za pomocą swego ciętego pióra zbijać zarzuty przeciwników.

W dziejach ruchu regionalnego zasłynął Majkowski jako założyciel i prezes Towarzystwa Młodokaszubów (1912), grupującego przedstawicieli inteligencji skupionych wokół idei wyzwolenia narodowego. Głównym celem tej organizacji były jednak nie polityczne rozgrywki, ale „praca kulturalno-oświatowa i praca na polu społeczno-ekonomicznym.” Jak wielką wagę przywiązywał do pracy na polu kulturalnym, świadczą również jego zasługi dla zorganizowania Towarzystwa Czytelni Polskiej w Kościerzynie, do którego i podobnych instytucji, sam sprowadzał książki. Po wojnie, jako prezes Rady Pomorskiej, przyczynił się do założenia Teatru Polskiego w Toruniu oraz zawiązania Towarzystwa Artystów Pomorskich.

Jego zaangażowanie w problem niepodległościowy wyraziło się ostatecznie w uczestniczeniu w pracach komisji delimitacyjnej wyznaczającej granice polsko-niemieckie po pierwszej wojnie. Wielką nagrodą za patriotyczną działalność było to, iż cztery przedwojenne roczniki „Gryfa” przechyliły w Wersalu szalę decyzji o przyłączeniu ziem Pomorza Zachodniego na stronę Polski.

Odzyskanie niepodległości nie przyniosło, wbrew oczekiwaniom, rozwiązania problemów narodowych. Pomorzanie, a szczególnie Kaszubi, traktowani byli przez napływającą z głębi kraju falę urzędników jak obywatele gorszego gatunku. Nic dziwnego, że Majkowski, który tyle wysiłku i serca włożył w działalność zmierzającą do obudzenia w swoich ziomkach wiary we własną wartość, odsunął się w końcu od działalności publicznej. Rozgoryczony, zaszył się w swej willi zwanej „Eremem” i oddał się pracy literackiej. Tutaj też nadał ostateczny kształt powieści swego życia.

Umarł w Gdyni 10 lutego 1938 roku. Jego pogrzeb stał się wielką manifestacją kaszubskiego ludu. Grób Majkowskiego znajduje się na cmentarzu w Kartuzach.

Pierwszą kaszubską książeczką Majkowskiego był poemat humorystyczno-satyryczny „Jak w Koscerznie koscelnego obrele abo pięć kawalerów a jedno jedyna brutka” (Gdańsk 1889). W tym samym czasie powstaje dziełko zatytułowane „Pielgrzymka Wejherowska”. Utwór ten opiewa pątnicze wędrowanie i jest interesujący jako przyczynek do genealogii podobnego wątku w powieści o Remusie. W 1904 roku wychodzi zbiór utworów lirycznych pt. „Spiewe i frantówci”, które utorowały drogę kaszubskiej poezji. W czasach najbardziej natężonej działalności pozaliterackiej Majkowski rozkładał swój twórczy wysiłek na wiele lat, tak powstały jego najwybitniejsze dzieła – „Życie i przygody Remusa” i „Historia Kaszubów”, oba wydane w całości po raz pierwszy po śmierci autora.

Powieść o dziejach kaszubskiego rycerza, bez wątpienia najwybitniejsze dzieło Majkowskiego, doskonała pod względem formalnym, z wielowarstwowymi wątkami, otwierającymi szerokie perspektywy interpretacyjne, co do tego literaccy znawcy nie mają wątpliwości, nie pojawia się jednak na półkach księgarskich. Tak jak los krzyżował Majkowskiemu życiowe plany, tak też był nielaskawy dla jego powieści.

Jej historia wydawnicza od początku naznaczona była jakimś piętnem. W 1936 roku, według niektórych w 1935, (z mylną datą 1930) w Kartuzach nakładem autora wyszła pierwsza część powieści „Na Pustkowju” i wywołała entuzjastyczne poruszenie w regionalnej prasie. Wydanie drugie, tym razem całości utworu, drukowane przez toruńską „Stanicę”, ukazało się w 1938 roku, czyli w czasach wielkich politycznych niepokojów, co nie sprzyjało upowszechnieniu dzieła, zwłaszcza, że pisane było po kaszubsku. Kolejne dwa wydania (Gdynia 1964 i 1966) już w przekładzie polskim Lecha Bądkowskiego, usuwającym barierę językową, przekraczały zaledwie trzy tysiące egzemplarzy; starczyły zatem jedynie na zaopatrzenie ważniejszych instytucji i pewnej grupy koneserów. Następna edycja, w kaszubskiej wersji, wydana staraniem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w latach 1974-76 znów miała bardzo niewielki nakład – trzy tysiące egzemplarzy. W 1995 roku doczekaliśmy się kolejnej inicjatywy wydawniczej. „Życie i przygody Remusa” wyszły nakładem kaszubskiej oficyny „Czec”. Nowe wydanie powieści pozwala na jej pełny odbiór nawet nie znającym języka Kaszubów, gdyż mie-

ści obok siebie obie wersje dzieła: oryginalną-kaszubską i polską, w przekładzie Bądkowskiego (żał, że nikt nie pokusił się o nowe tłumaczenie). Wy różnia się też estetyczną okładką, szkoda tylko, że zauważone w trakcie druku błędy korektorskie tak niestarannie poprawiono. No i jeszcze trzecia część w wersji kaszubskiej ma tytuł polski.

Czy obecne ukazanie się kaszubskiego arcydzieła można odnotować jako krok milowy na drodze do przerwania, zakłętego zda się, bibliofilskiego kręgu odbiorców? Optyzmu takiego nie wykazuje chyba nawet Wojciech Kiedrowski, redaktor wydania, wyrażając ubolewanie, że: „Książka o Remusie pozostała trudno dostępna. Ongiś za sprawą czynnika politycznego, który limitował nakłady dwóch dotychczasowych wydań polskich (...). Dzisiaj obieg czytelniczy książki »regionalnej« jest sparaliżowany, a funkcjonowanie księgarń w tym zakresie jest ułomne, współdziałanie z wydawnictwami nieobecne (...). »Remus« nie zdobył parnasu literatury polskiej. I wciąż brak odpowiedzi, dlaczego powieść Majkowskiego nie znajduje w Polsce należnego jej miejsca”. (Posłowie do „Życia i przygód...”, t.3). No właśnie, dlaczego tego rodzaju literacki skarb pozostaje w mrokach zapomnienia?



PAMIĘĆ O LECHU BĄDKOWSKIM

Erwin Kruk

Jak w innych środowiskach, również w środowisku pisarskim upływ czasu sprawił, że ludzie, bez których życie literackie – a także koleżeńskie i stowarzyszeniowe – wydawało się nie do pomysłenia, odsuwają się jakby niepostrzeżenie w tło. Mówi się zatem, że środowisko ludzi pióra, niegdyś tak spójne i tak zintegrowane, rozluźniło się dziś i osłabło, a w trudnej sytuacji nie bardzo wiadomo, na kim można polegać, u kogo można szukać pomocy i inspiracji. Stąd potrzeba przywołania kolegów, którym nie wystarczała własna twórczość literacka. Oni bowiem, poprzez podejmowanie działań w różnych sferach życia publicznego, byli jednocześnie działaczami organizacji pisarskiej – dawnego ZLP, rozwiązanego przez władze stanu wojennego, a przecież, mimo tej decyzji godzącej w wolność twórcze, nieformalnie istniejącego nadal – jako zespół wartości i postaw – aż do utworzenia w 1989 roku Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Niedawno, w dniu 9 listopada 1995 roku, Zarząd Główny SPP zorganizował w warszawskim Domu Literatury sesję literacką, której, jak na listopadowe dni przystało, dano tytuł: „Zostali w naszej pamięci”. Poświęcono ją przybliżeniu sylwetek twórczych oraz działań publicznych zmarłych pisarzy: Lecha Bądkowskiego, Andrzeja Jareckiego, Andrzeja Kijowskiego, Zbigniewa Kubikowskiego i Leszka Proroka. O twórczości każdego z nich mówili w swych prelekcjach kolejno: Jerzy Samp, Andrzej Drawicz, Janusz Maciejewski, Jacek Łukasiewicz i Anna Nasiłowska. Poza tym, dla uzupełnienia wystąpień krytyków, zebrani usłyszeli wybrane fragmenty ich utworów w aktorskim wykonaniu.

Bez wątpienia sesja, choć nie nadano jej większego rozgłosu, była przedsięwzięciem pożytecznym i na czasie. Nie tylko pobudziła pamięć o odeszłych już pisarzach, ale zwróciła też uwagę na ogrom zadań, jakich się podejmowali – i to wbrew przeciwnościom, często z do-

brym skutkiem. Niejedno zresztą do nakreślonych wizerunków można by dorzucić, dzieląc się wspomnieniami, dotyczącymi najrozmaitszych spotkań i rozmów, a niekiedy – również czasów współpracy.

Jak się wydaje, dla kręgu czytelników „Pomeranii” interesujące może być to, co na sesji w Domu Literatury mówiono o Lechu Bądkowskim. To prawda, na Pomorzu i Kaszubach niejednokrotnie przywołuje się publicystykę Bądkowskiego, jego myśl pomorską i prace organizatorskie. W Warszawie jednak nie zdarza się to wcale często. Tym razem zaś, jeżeli cokolwiek było nowego, to właśnie zespolenie tych wszystkich elementów, które składają się na sylwetkę twórczą i obywatelską pisarza.

Podczas sesji, zanim zaprezentowano referaty, ze szkicem wspomnieniowym, pełnym osobistych refleksji i doświadczeń, wystąpił Andrzej Braun. Jego tekst zatytułowany „Nasi nieobecni przyjaciele”, ukazując postawy i działania zmarłych kolegów, doskonale charakteryzował poszczególne sylwetki. Zwracał przy tym uwagę na takie przymioty, jak odwaga, i prawość, które zawsze godne są przypomnienia i przywołania – jako pożądanego wzoru. Z tego względu warto w całości przytoczyć ów fragment, w którym Andrzej Braun nakreślił portret Lecha Bądkowskiego:

„Mało jest ludzi, których sam widok daje radość. Zawsze to odczuwałem wobec Lecha. Kiedym przychodził do niego – do jego pracowni na Rybim Targu w Gdańsku – zwykle jacyś miejscowi wychodzili od niego w zgiełku swej pieśczoćliwie szeleszczącej kaszubskiej gwary.

– Znowu chcecie oddzielić Bałtyk od nas – żartowałem.

– W każdym razie, od Warszawy – mruzczał.

Warszawy, której nie lubił, a za którą przelewał krew.

Zawsze zadziwiał mnie czymś. To swo-

ją prostotą i beztroską, to znów głęboką powagą i racjonalizmem w sprawach publicznych, to temperamentem społecznika i działacza. Tak jak jego bałagultwo i cygaństwo – w zestawieniu z miniaturką *Virtuti Militari* w kłapie. Bo był to człowiek niezwykłej odwagi. Nie tylko militarnej, ale – co rzadsze – cywilnej.

Zawsze zadziwiał. Nie zapomną wieczoru w czterdziestolecie września 1939 roku wśród pisarzy – uczestników kampanii wrześniowej. Gdy mówił Lech Bądkowski, wspominał bitwę nad Bzurą, w której walczył jako młody żołnierz Armii Pomorze, te straszliwe dni, gdy dociera do nich świadomość, że oto rozpada się Polska.

Nie mieli żadnych wahań w tamtym wrześniowym ranku. Pisz słusznie: »Chwyćmy za broń!« – kiedy inne kraje były bardziej »realistyczne«. Mówił »Odwadźni, jeśli poniosą klęskę, to w chlubnej i godnej walce. Tchórzliwi też przegrają – ale w niesławie«.

Był człowiekiem prawdziwym, konkretnym, nie w ogóle, lecz synem pomorskiej ziemi. To go ogromnie uplastyczniało. Spopularyzował pojęcie małych ojczyzn, całe siły i energię poświęcając kaszubsko-pomorskiemu Zrzeszeniu. Pisał bowiem: »Umiłowanie małej ojczyzny utrwala spójnię społeczną i wyzwala dodatkowe siły, które z wielkim pożytkiem mogą być wykorzystane dla dobra ojczyzny większej«. Uczyl nas wielu rzeczy w życiu publicznym, a przede wszystkim uczyl ofiarności i odwagi.

Nie będę mówił tutaj o Lechu – pisarzu-maryniście. Wspomnę tylko, że wracając z Dalekiego Wschodu utknął na jednym ze statków uwięzionym na Jeziorze Gorzkim w Sueskim Kanale w chwili wybuchu wojny egipsko-izraelskiej w 1967 roku. Lech, jako człowiek czynu, wziął udział w ratowaniu żołnierzy arabskich na pustynnych wydmach Synaju. Zdumiewał. Na pytanie: po co się wtrącałeś? – odpowiadał ze szczerem zdziwieniem: »Ci ludzie konali z pragnienia«.

Był dla nas wzorem postępowania w każdych okolicznościach. Toteż nie zdziwiło mnie, że podczas pertraktacji rządowych nad słynnymi Porozumieniami Gdańskimi w stoczni, bronił praw do wolności słowa. Uwierzytelniał siebie i sens społecznego działania.

Zaskoczył i zdumiał mnie jeszcze raz. Był jedynym człowiekiem w Polsce, który od początku powojennych dziejów

zdołał publikować legalnie – zupełnie niezależną od cenzury gazetę »Samorządność« na łamach »Dziennika Bałtyckiego«.

Nie chcę pamiętać jego twarzy w szpitalu, przykutego do łóżka chorobą. Nie wierzyłem, że ostateczną”.

Tak Lecha Bądkowskiego wspominał Andrzej Braun, znany pisarz i działacz środowiska literackiego. Powracając zaś do teraźniejszości, do widocznego wokół rozproszenia, Braun podzielił się mniej budującą refleksją, a mianowicie, że na ogół inni są dziś ludzie, wolni od takich społecznych odruchów, od poświęcania się, od tracenia czasu za darmo. „Sądzę jednak – podkreślał – że nie zdają sobie sprawy, ile przez to tracimy z klimatu naszego życia, ze wzajemnej inspiracji, a nawet – wielu z nas to twierdzi – z edukowania”.

Twórczości Bądkowskiego poświęcony był interesujący esej Jerzego Sampa, w którym autor nie poprzestał na analizie książek prozatorskich, ale uwzględnił też inne zakresy działalności twórczej. Zapewne byłoby to niestosowne, aby przytaczać tu obszerniej tekst gdańskiego naukowca. Uczyni to z pewnością sam [na łamach „Pomeranii” – przyp. red.]. Klamrą dla eseju Jerzego Sampa było pierwsze spotkanie z pisarzem. Działo się to przed dwudziestu pięciu laty, w listopadzie 1970 roku, kiedy to student polonistyki i początkujący dziennikarz udał się do Lecha Bądkowskiego w zamiarze przeprowadzenia wywiadu.

„Gdy udałem się na pierwszą wizytę – mówił Jerzy Samp – nie wiedziałem, że będę mu musiał odpowiedzieć na trzy pytania: Czy nie lękam się prawdy? Czy nie należę do ludzi bojaźliwych? I wreszcie: Czy zawsze jestem sobą? To ostatnie było szczególnie ważne. Było to pytanie o tożsamość. Wiedziałem dobrze, że jest to aluzja do treści arcydzieła prozy kaszubskiej, do powieści Aleksandra Majkowskiego z 1938 roku pt. »Żćć i przygodę Remusa«. Trzy upersonifikowane zmyślenia w tym utworze Pomorzani i Kaszubi to Strach, Trud i Niewarto. A Lech znał ten tekst jak mało kto”.

Pamiętać o Lechu Bądkowskim – to pamiętać o pytaniach i o tym, że każdy odpowiada na nie swoją postawą wobec życia oraz wobec ludzi i miejsc, z którymi czuje się związany. ■

SZTUKA LUDOWA KASZUB

Jan Zbrzyca



Halina Kostka-Krajnik, „Matka Boska Bolesna”



Józef Chelkowski, „Św. Rozalia”. Fotografie z albumu „Sztuka ludowa Kaszubów”

O tym, że plon IV Konkursu – Współczesna Sztuka Ludowa Kaszub był rzeczywiście imponujący, przekonuje liczba i jakość prac z różnych dziedzin ludowej twórczości. Dyrekcja Muzeum Etnograficznego zatroszczyła się o to, ażeby nagrodzone i wyróżnione prace trafiły z Bydgoszczy również do Gdańska. Tak więc znawcy i miłośnicy kaszubszczyzny przez kilka październikowych tygodni mogli w salach oliwskiego Muzeum Etnograficznego oglądać i nasycić oczy pięknem różnokolorowych haftów, rzeźb polichromowanych i tych, które zachowują naturalny kolorystyczny lipowego i olchowego drewna. Nie zabrakło kaszubskiej ceramiki z Chmielna, wyrobów rogarskich, plecionek z korzenia sosny, artystycznego kowalstwa.

Cała ta bogata kolekcja nabrała dodatkowych walorów, dzięki pomysłowej aranżacji i oryginalnej oprawie. Słowa uznania należą się komisarzowi wystawy gdańskiej – Krystynie Szalańskiej i Hannie Błaszowskiej-Gregor, autorce projektu gdańskiej ekspozycji.

Jedna z przestronnych sal zapelniona haftami. Jaki ogrom pracy, wynalazczości i pasji w kwiecistych wypukło-

ściach symetrycznie rozrzuconych na wielkich obrusach, bieżnikach, zasłonach i chustach. Jak zwykle podziw budzi precyzja wykonania najdrobniejszych szczegółów. Pani Krystyna Szalańska, która wiele haftów widziała i oceniała podkreśla, że szczególnie Tucholskie i chojnickie wyróżniają się wręcz mistrzowskim wykonaniem i doskonałością rysunku. Charakterystyczne, że mistrzynie igły bardzo swobodnie operują siedmiobarwną gamą kolorów, ich pełne inwencje kompozycyjne nie naruszają tradycyjnego kanonu. Ileż nazwisk twórczyń można by tu wymienić... Wprost trudno oderwać oczy od haftów Renaty Glaza, Danuty Petelskiej, Sabiny Piątek, Alicji Nowaczyk, Grażyny Lipskiej, Kazimierzy Łysek, Edyty Puk, Ewy Sildatk, Leokadii Wolin, Alicji Zaręba-Lipińskiej. Oczywiście na wystawie znalazły się także dzieła hafciarskiego kunsztu z północnych Kaszub – z Gdańska, Wejherowa, Lini. Elżbieta Ebel z Wejherowa jest klasą dla siebie. Podobnie Władzia Wiśniewska z Wdzydz. Prym wiedzie jednak Tuchola wraz z Chojnicami. Inaczej mówiąc, w Borach Tucholskich i na pograniczu Zaborów „zabłyśły zo-

rze odrodzenia" kaszubskiego haftu. Właśnie tam modre serce granatu upodobniło się do wspaniałego bukietu. Oby to swoiste zahipnotyzowanie haftem było na południu regionu wiecznie trwałe.

Szansę najdłuższego trwania, choćby ze względu na jakość tworzywa, mają przepiękne czepce złociste. Ale przecież i drewno odporne jest na niszczące działanie czasu. Obok rzeźb na wystawie w oliwskim muzeum nie sposób przejść obojętnie. Miłośników sztuki Józefa Chełmowskiego z Brus zachwycają jego „sielskie-anielskie” kreacje: „Matka od Aniołów” i kaszubski „Anioł Serafin”. Tylko patrzeć, jak anielska zjawia załopocze drewnianymi skrzydłami i uleci w niebiosa. Rzeźby Stanisława Śliwińskiego z Gdańska mają pewną elegancję i dystynkcję. Jego św. Franciszek jest jakby uosobieniem pogody. Niejeden z kolekcjonerów pragnąłby włączyć do swoich zbiorów prace rzeźbiarskie Piotra Saksona z Ustki, Józefa Semmerlinga z Gdańska czy Henryka Lepaka z Bytowa. Z rzeźb Haliny Krajnik (Kościerzyna) najsilniej chyba przemawia „Matka Boska z Dzieciątkiem”. Osobną pozycję zajmują rzeźby Włodzimierza Ostoja-Lniskiego z Czerska i Józefa Walczaka z Więcborka. U Ostoi-Lniskiego uderza wielobarwna paleta soczystych kolorów. Dwie szopki, jedna z aniołami, znakomicie nawiązują do tradycji ludowych stajenek. Nie są jednak wolne od pewnego schematyzmu. Niezwykle urocze są białe owieczki, oddające pokłon Panu Wszechstworzenia.

Obrodziło też malarstwo na szkle. Galerię obrazków otwierają kompozycje Anny Basman z Gnieźdźewa. Wachlarz tematyczny czerpie ona z Biblii: „Ostatnia wieczerza”, „Matka Boska z Dzieciątkiem”, „Św. Rozalia”, „Dziecię Jezus z Barankiem”. Nie inaczej u pozostałych autorów. Podświadomo nurt nostalgii zawsze prowadzi Józefa Chełmowskiego, Jana Czupryniaka, Zygmunta Kędzierskiego, Halinę Kostka-Krajnik i Mariana Kiełpińskiego do Bogurodzicy, do sacrum. Niezmiennie cenne są poszukiwania poszczególnych twórców, by w malarstwie na szkle znaleźć swój własny, niepowtarzalny styl.

Trudniej znaleźć ów styl w plecionkarstwie, bo niegdyśjejsi twórcy, których na Kaszubach i Kociewiu było

multum, potrafili z korzenia sosny, witek jałowca wyplatać rozmaite cuda na użytek codzienny, doszli do takiej perfekcji, iż trudno ich prześcignąć. Powodem do satysfakcji jest więc to, że sztuka plecionkarska nie zanika. Uważam, że koszyczki z pałakami, kipki, tacaki, kobiałki i miseczki z białego i brązowego korzenia Franciszki Ciżmowskiej i Renaty Kulbaki z Iwca, Józefa Kropidłowskiego z Bytowa, mogą stanowić ozdobę każdego domu.

Amatorzy zażywania tabaki również mogli znaleźć coś interesującego dla siebie. Kilkadziesiąt tabakierok z rogu – to dowód, że rogarstwo nie jest reliktem przeszłości. Wydawało się, iż rogarstwu pozostanie wierna jedynie rodzina Petków z Sierakowic. Tymczasem okazało się, że rogaży jest więcej. Szczególnie podobały się misternie wykonane tabakierki Rudolfa Kręckiego z Brodnicy Górnej i „plesty z Gnieźdźewa” – Józefa Roszman.

Ekspozycja byłaby niekompletna, gdyby zabrakło kaszubskiej ceramiki Karola Elasa z Chmielna. Talerze, dzbanki, filiżanki, wazony, kufle i popielniczki z tradycyjnym neclowskim motywem, zawsze będą mieć swoich admiratorów. W ceramicznym rzemiośle próbuje też swoich sił Ryszard Arkuszyński z Człuchowa. Nie zawiedli dwaj znani wytwórcy instrumentów muzycznych, Jerzy Walkusz z Hopowa i Mieczysław Mielewczyk z Kartuz, którzy wzbogacili wystawę o diabelskie skrzypce, burczybasy i bazunę.

Szczególnego powabu i wdzięku przydawało całej wystawie „drzewo życia”, na którym przysiadła gromada swojskich i egzotycznych kolorowych ptaków z drewna. Być może są one zwiastunami pogody i wiosny, która ciągle podrywa do lotu, do pracy, twórców ludowych starszego i młodszego pokolenia. Ażeby te twórcze pasje nie wygasły, potrzebne jest życzliwe zainteresowanie, potrzebny jest mecenat nad naszą sztuką ludową, który może przybierać różne formy. Przez długie wieki wieś tworzyła macecznik kultury narodowej. Trzeba o tym pamiętać. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie o tym nie zapomina. Chodzi o to, by gro-
no wspierających sztukę wyrastającą z ludowego podglebia było jak najliczniejsze. ■

Pieta (z wł. – miłosierdzie), jako temat w sztukach plastycznych wprowadzony został przy końcu XIII wieku, w Polsce rozprzestrzeniał się w dobie gotyku. Wzory docierały do nas z zachodniej i południowej Europy. Popularyzacja tego tematu miała bezpośredni związek z nową, prześląknętą mistycyzmem, pobożnością późnego średniowiecza. Swoją wyraz znajdowała ona w upowszechnianych wtedy nowych tematach ikonograficznych. Pieta, jak również przedstawienia Chrystusa Frasobliwego, Chrystusa Bolesnego i Marii Bolesnej ukształtowały się pod wpływem rozmyślań nad męką Chrystusa i współmęką Marii, dociekań nad ideą odkupienia. Wyrażały uczuciowy stosunek do Boga, do Chrystusa i jego ofiary, do dzieła odkupienia. Przedstawienia rzeźbiarskie i malarskie, mówiące o cierpieniu Syna i Matki budziły refleksje, pouczwały, ale może przede wszystkim wzruszały, skłaniały do współczucia, wstrząsały widzom. Tego typu przedstawienia stały się niezwykle popularne. Zdecydowała o tym nie tylko doniosłość treści teologicznych, które one przekazywały, lecz także to, że np. Pieta, w czysto ludzkim aspekcie, była przedstawieniem najbardziej wzruszającym. Wyrażała boleść matki oplakującej śmierć syna, który oddał swoje życie i bezgraniczne cierpienie złożył w ofierze dla dobra ludzkości. Unaoczniała macierzyńską miłość Marii do syna, także jej ofiarę, udział w dziele odkupienia.

Znane z terenu Polski najstarsze rzeźbiarskie przedstawienia Piety datowane są na początek XIV wieku. Na Pomorzu temat ten występuje w wielu wersjach. Wykorzystali go twórcy gdańskiego malarstwa tablicowego, np. na ołtarzu św. Elżbiety w Bazylice Mariackiej, w przedstawieniach rzeźbiarskich – znana Pieta z tejże bazyliki, czy w kościele w Nowej Cerkwi. Jest on obecny w obrazach ołtarzowych, np. w Żarnowcu. Rzeźbiarskie przedstawienia znamy również z kościoła w Swarzewie i z klasztoru w Żarnowcu. Ludowe, XIX-wieczne rzeźby mamy w kościele w Borowym Młynie i w Borzyszkowach, ta ostatnia, przeniesiona z kapliczki w Prądnem.

W zbiorach Kaszubskiego Parku Etnograficznego we Wdzydzach jest jedyna tego typu rzeźba – Pieta z Trzebnia.

PIETA Z TRZEBUNIA

Tadeusz Sadkowski



Pieta. Fot. z 1975 r.

Próbując dociec rodowodu rzeźby, której współczesne dzieje, ostatnie kilkanaście lat, mogłyby stanowić odmienny w treści artykuł, trzeba opowiedzieć kilka faktów z historii jednej ze szlacheckich rodzin kaszubskich, a przy okazji pokazać mechanizm tworzenia ekspozycji w muzeum we Wdzydzach. Mija bowiem kilka, czy nawet kilkanaście lat od momentu podjęcia pracy przy którejś z zagród, czy poje-

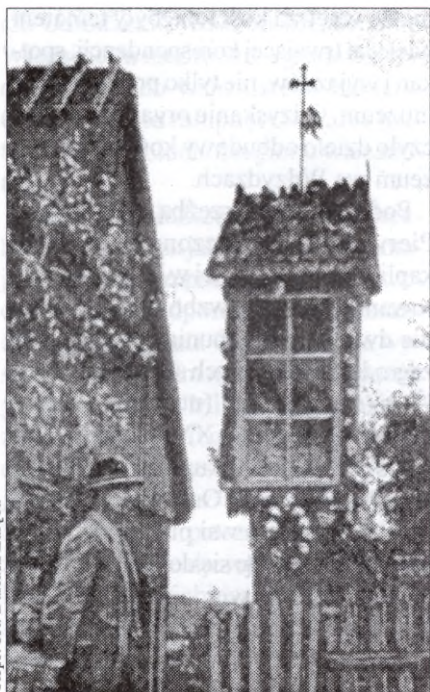
dynczym budynku, zanim można powiedzieć, że zrobiono wszystko w celu przywrócenia jego pełnej wartości dokumentującej przeszłość Kaszub, Pomorza Gdańskiego. Brak niekiedy pojedynczego przedmiotu wpływa na odbiór całości. Przykładem niech będzie kościół ze Swornechgaci, z którego organy (pozostające przez lata w depozycie w Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy), problem ich przywróce-

nia do wnętrza kościoła, były tematem wiele lat trwającej korespondencji, spotkań i wyjazdów, nie tylko pracowników muzeum. Odzyskanie organów zakończyło dzieło odbudowy kościoła w muzeum we Wdzydzach.

Podobnie jest z rzeźbą z Trzebunia. Pierwotnie umieszczona w dębowej kapliczce, zastąpionej w latach 60. murywaną z kamieni, wzbogacała otoczenie dworku z Trzebunia – szlachecką zagrodę dziedzicznych sołtysów tej wsi, Kopp-Ostrowskich (utrwalił ją na fotografii na początku XX w. Izidor Gulgowski). Muzeum, kupując w 1975 roku dawny dworek Ostrowskich (opuścili oni centrum wsi przy końcu XIX wieku, przenosząc się do folwarku Kłodawa w Lamkowie – wybudowanie Trzebunia – który dla syna Józefa wybudował Jan Ostrowski), czyniło też starania o przejęcie rzeźby. Wówczas to się nie udało. Brak kapliczki w otoczeniu muzealnej zagrody odczuwany był tym mocniej, im więcej nagromadzono w niej przedmiotów. Dopiero w tym roku prawnuk Jana – Nikodem Strahl, obecny właściciel rozparcelowanej po 1945 roku Kłodawy, przekazał rzeźbę Kaszubskiemu Parkowi Etnograficznemu. Dostrzegamy w tym troskę spadkobierców Józefa Ostrowskiego o utrwalenie pamięci przodków, po których liczne pamiątki zgromadzone zostały w muzeum.

Przekazanie rzeźby do muzeum wznowiło pytania o jej dzieje, autorstwo i czas wykonania. Jedna z wersji, silnie broniona w Trzebuniu, mówi o utalentowanym pasterzu, zatrudnianym przez Ostrowskich w XIX wieku. Piętę miał wykonać na zlecenie gospodarza. Z tą wersją nie zgadzają się historycy sztuki, dostrzegający w sposobie wykonania rzeźby wprawne dłonie doświadczanego snycerza. Bardzo jest jednak możliwe, że ktoś z Trzebunia był autorem dębowej kapliczki, w której umieszczona była Pieta. Na początku XX wieku w Trzebuniu, potwierdzają to nie tylko zdjęcia Gulgowskiego, były dwie takie kapliczki, bardzo podobne, a to może przemawiać za lokalnym ich wykonawcą, nie pozbawionym zmysłu plastycznego.

Inny fakt jest bardziej pewny. Odnaleziona przy rozbiórce dworku, schowana w zakamarkach poddasza, metalowa chorągiewka z wyciętą datą



Kapliczka z Piętą przed dworkiem Kopp-Ostrowskich w Trzebuniu

„1869”, wskazuje na rok fundacji kapliczki i umieszczenia w niej rzeźby. Fundatorem był Jan Kopp-Ostrowski (ur. 1833 r.), który odziedziczył folwark i urząd sołtysa po ojcu Franciszku, ożenionym z Józefiną Pażątka-Lipińską. W sądowych dokumentach odnotowano, że po wczesnej śmierci Jana, prawa jego dzieci – Józefa i Marianny – do spadku strzegli dwaj wyznaczeni przez sąd kuratorzy, gburzy z Trzebunia, gdyż matka po raz drugi wyszła za mąż. Jan, poza gospodarstwem, pozostawił dzieciom prawie 1600 talarów, kwotę bardzo dużą na ówczesne czasy. Jan, zapisywany już w dokumentach jako von Kopp-Ostrowski – poślubił Mariannę Dalecką. Może to być faktem ważnym w dziejach rzeźby z Trzebunia. Daleccy byli w tym czasie właścicielami Śluzu w parafii Lipusz (dzieje tej rodziny przedstawione zostały w monografii „Lipusz. Dziemiany”, pod red. J. Borzyszkowskiego). Ojciec Marianny, jako jeden z możniejszych posiadaczy w parafii, zaangażowany był w jej sprawy, zwłaszcza w odbudowę kościoła po pożarze poprzedniej, drewnianej świątyni w 1860 roku.

Można przypuszczać, że ojciec Marianny albo otrzymał rzeźbę w darze od ks. Wojciecha Kiedrowskiego (1817-1867; proboszcz w Lipuszu od 1849 roku), albo też zamówił jej wykonanie u



Kapliczka z Piętą przed dworkiem z Trzebunia w Kaszubskim Parku Etnograficznym we Wdzydzach

snycerzy, pracujących przy wystroju nowego kościoła, budowanego w latach 60. XIX wieku. Marianna byłaby wówczas pośredniczką w drodze rzeźby z Lipusza do Trzebunia. Jeżeli tak było, to możliwe są i inne warianty. Podarowaną rzeźbę mogli wykonać snycerze zatrudnieni w latach 50. XVIII wieku przy pracach we wnętrzu drewnianego kościoła w Lipuszu, inicjatorem budowy którego był w 1739 roku ks. Mateusz Janta-Lipiński, lub też jest ona reliktem wyposażenia jeszcze starszej świątyni, przeniesionym do tego nowo wybudowanego w 1739 roku. Wówczas raczej mieliby ci, którzy opowiadają się za średniowiecznym pochodzeniem mistrza, nieznanego XV-wiecznego warsztatu pomorskiego.

Szczegółowe badania rzeźby pozwoliły na ustalenie paru faktów. W Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie odkryto pod warstwą polichromii zwęglenia drewna (Hanna Korpolińska „Dokumentacja pracy badawczej z zakresu nawarstwienia polichromii w rzeźbie polichromowanej »Pieta« z Trzebunia oraz dokumentacja konserwatorska”). Dalsze badania, w trakcie konserwacji wykonywanej przez Jądwigę Wilga-Steyer, ujawniły więcej śladów wskazujących na działanie ognia. Ich rozmieszczenie na powierzchni rzeźby przeczy pierwotnej tezie, że

przyczyną mógł być płomień świecy ustawionej przed rzeźbą. Jedynym wytłumaczeniem może być pożar w miejscu, gdzie ona się znajdowała.

Z kolei wyniki badań pigmentów zawartych w jednej z najwcześniejszych warstw polichromii wskazują, że rzeźbę pomalowano najwcześniej ok. poł. XVIII wieku. Pewne jest też i to, że wkrótce po wykonaniu rzeźby została ona pokryta malaturą. Pierwotna polichromia, poprzez zaznaczenie śladów krwi na czole, pod cierniową koroną, oraz ran na ciele, dodatkowo podkreśla rzeźbiarską ekspresję dzieła, uwypuklając bezmiar męki Chrystusa. Te malarskie szczegóły zostały zagubione w późniejszych przemalowaniach. Jeżeli słuszną jest teza o autorstwie snycerzy zatrudnionych w latach 50. XVIII wieku przy pracach we wnętrzu kościoła w Lipuszu, to wykonawcą polichromii mogli być malarze przywożeni do Lipusza z Wejherowa w 1752 roku. Wykonywali oni całość prac malarzskich w kościele (Księga wydatków kościoła lipuskiego, od 1729 roku).

Do ustalenia daty powstania rzeźby konieczna będzie dalsza analiza jej formy, po usunięciu licznych przemalowań z końca XIX i XX wieku. Widoczne nawiązania do wzorów wypracowanych przez późnośredniowiecznych rzeźbiarzy: ogólny schemat kompozycyjny (hieratyczna postawa Marii i wysokie, diagonalne ułożenie ciała Chrystusa) oraz takie szczegóły, jak np. sposób opracowania udrapowanych szat Marii, wskazywać mogą jedynie na trwałość gotyckich kanonów w warsztatach prowincjonalnych; przy czym elementy opracowane z pewną biegłością techniczną sąsiadują tu z prymitywnymi.

Tezę o lipuskim pochodzeniu Piety z Trzebunia oprócz można jedynie na rodzinnych związkach Daleckich z Kopp-Ostrowskimi. Ważne są w tym wypadku także zwęglenia odkryte na powierzchni rzeźby. Wiadomo, że pożar, który strawił drewniany kościół w Lipuszu, wybuchł w organistówce, był więc czas na jakąś akcję ratunkową. Tak też się stało, gdyż z zagrożonego kościoła wyniesiono m.in. figurę Matki Bożej, ołtarz św. Franciszka, dwa feretrony i inny sprzęt liturgiczny. Czy wśród wyniesionych z pożaru przedmiotów była też Pieta, która następnie trafiła do kapliczki w Trzebuniu? ■

PÓŁNOCNA FRYZJA I PISMO „NORDFRIESLAND”

Józef Borzyszkowski

Blok materiałów o Fryzach w Holandii, zaprezentowany niedawno w „Pomeranii” nie tylko przybliżył nam tę społeczność ale także przyczyni się, mam nadzieję, do większego zainteresowania Północną Fryzją (niem. Nordfriesland) i tą częścią społeczności fryzyjskiej, która mieszka w niemieckim landzie Szlezwik-Holsztyn. O różnych kontaktach pomorsko-północnofryzyjskich, które od kilku lat ożywiają się, między innymi dzięki działalności Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Północnej Fryzji, warto mówić oddzielnie. Jest to o tyle ciekawe, że wspomnianemu Towarzystwu przewodniczy od lat gdańszczanka – Janina z Myzyków Carstensenowa, a jej mąż Hans (od niedawna emeryt), był przez długie lata redaktorem naczelnym „Husumer Nachrichten”, w których wieści z Gdańska i Pomorza nie stanowiły nadzwyczajnej rzadkości. Carstensenowie, od pokoleń mocno zakorzenieni we Fryzji, zapuszczają też głębiej rodzinne korzenie na Kaszubach. To do nich należy najnowsze domiszcze w Łączyńskiej Hucie, postawione w zgodzie z tradycją architektury kaszubskiej na gruncie zakupionym od sołtysa Edwina Kobieli.

Północna Fryzja, ze stolicą w Husum, leży nad Morzem Północnym. Obejmuje między innymi część łańcucha wysp fryzyjskich, które ciągną się od północnej Holandii do Jutlandii. Do Nordfriesland należą wyspy: Sylt, Föhr, Amrun, Nordstrand, Pellwonn oraz 10 „halligen” – małe wysepki bez wału ochronnego np. Hooge, Oland, Gröde. Każda z nich stanowi temat niezmiernie interesujący od strony historii, przyrody i kultury mieszkańców, języka, popularności jako centrum turystyki, a także stałego zakorzenienia się tam przeróżnych, raczej niebiednych gości. Dla przykładu, wydмова wyspa Sylt,

z ciekawą architekturą (domy kryte strzechą – trzcina), to oaza stałego i letniego wypoczynku przeróżnych ciekawych osobistości.

Nordfriesland zamieszkują oczywiście Fryzowie. Siedzą tam już od czasów rzymskich. Podbici i schryścianizowani przez Franków w VIII wieku, mimo różnych wpływów, zachowali swoją świadomość etniczną, odrębną kulturę, język – bliski angielskiemu i spokrewniony z holenderskim, równie zagrożony w swym istnieniu jak dolnoniemiecki, kiedyś przez Fryzów lepiej niż Hohdeutsch znany.

„Nordfriesland” to także tytuł pisma, wydawanego przez Instytut Północnofryzyjski – Nordfriisk Instituut w Bredstedt, po fryzyjsku Bräist. Pismo to wychodzi od 1965 roku jako kwartalnik. Jego charakter określa podtytuł: „Zeitschrift für Kultur, Politik, Wirtschaft”. Kieruje nim dr Thomas Steensen, zarazem dyrektor instytutu. Obok redakcji i wydawcy istnieje także wydawnictwo oraz Towarzystwo – Verein Nordfriesisches Instituut e. V. Instytucji i towarzystw, organizacji północnofryzyjskich, zajmujących się wspólnie sprawami Północnej Fryzji jest więcej. Tu chciałbym omówić nie tylko samo pismo „Nordfriesland”, a konkretniej zawartość jego 109 numeru z marca 1995 roku. Dochodzi ono do nas regularnie od kilku lat. Trafia także do zbiorów Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, które, mam nadzieję, rychło nawiąże bliższą współpracę z Instytutem Północnofryzyjskim i skorzysta z jego doświadczeń naukowych i wydawniczych. Sądzę też, iż z czasem nasze muzeum będzie w stanie wydawać pismo podobne do fryzyjskiego, a już dziś czekamy na doroczne sprawozdania z pracy wejherowskiej placówki. Wzorem może być załączane co roku

do marcowego numeru „Nordfriesland” sprawozdanie – „Arbeitsbericht Nordfriisk Instituut”. Otrzymują je wszyscy członkowie Towarzystwa Instytutu Północnofryzyjskiego, którego istnienie i praca godne są również naszej uwagi.

Nordfriisk Instituut założony na przełomie lat 1964/65 jest podstawową placówką naukową, powołaną w Północnej Fryzji do chronienia, umacniania i badań fryzyjskiego języka oraz historii i kultury. W jego prace zaangażowani są ludzie nauki, nauczyciele, studenci i miłośnicy wiedzy o regionie. Z drugiej strony, instytut wspiera społeczne działania badaczy i działaczy regionalnych, skupionych w różnych organizacjach. Instytut ten, jego praca, traktowane są jako pomost między teorią a praktyką, między nauką a życiem.

Instytut jest niezależną instytucją, wspieraną przez państwo. Jego bezpośrednim mecenasem jest, założone w latach 1948/49, wspomniane Towarzystwo Instytutu Północnofryzyjskiego. Towarzystwo to liczy dziś 793 członków (stan na 31.12.94), w tym indywidualnych 510, par małżeńskich 66, młodzieży i studentów 57, rencistów-emerytów 26, podmiotów – osób prawnych 59 i 9 członków honorowych. W sprawozdaniu wymieniono wszystkich, decydujących o zmianach składu osobowego, w tym oczywiście nowo przyjętych, z zaznaczeniem miejscowości i podaniem tytułów naukowych. Z tegoż spisu wynika, że poza mieszkańcami Fryzji w Towarzystwie znaleźć można licznych członków, mieszkających na terenie całych Niemiec, a także w Holandii.

W zarządzie Towarzystwa, składającym się z prezesa, sekretarza, skarbnika, ich zastępców, zasiada także czterech członków, reprezentujących jednocześnie inne organizacje – Foriining for nationale Friiske, Nordfriesischer Verein, Heimatbund landschaft Eiderstedt, Jugendgruppe des Nordfriisk Instituut – oraz rzecznicy Rady Nadzorczej Towarzystwa i Kuratorium Instytutu.

Nielicznej załodze instytutu, składającej się z 15 osób, z których część zatrudniona jest na niepełnych etatach, obok dyrektora, wspomnianego już dr. Thomasa Steensena (odpowiedzialnego za dział historii oraz działalność ze-



Husum. Plac targowy. Fot. z albumu „Nordfriesland”

wnętrzną i prasę) współdyrekturuje profesor Nils Årkammar, kierownik Działu Języka i Literatury. Jest on też redaktorem „Nordfriesisches Jahrbuch”, a jednocześnie kieruje Katedrą Fryzyjską w Bildungswissenschaftlichen Hochschule (nasza WSP) przy uniwersytecie we Flensburgu. Obydwaj dyrektorzy, swoją pracą, dorobkiem naukowych, szerokimi zainteresowaniami losami fryzyjskimi oraz specyfiką podobnych społeczności w świecie, wpływają na pozycję instytutu. Warto zwrócić uwagę na to, że także sprawy kaszubskie nie są im obce. Mogłem się i sam o tym przekonać już w czasie pierwszych spotkań i rozmów przed laty.

Instytut, poza prowadzeniem własnej biblioteki i archiwum, podjął się w minionym roku, przy wsparciu finansowym pani premier landu Szlezwig-Holsztyn Heidi Simonis, realizacji projektu, polegającego na zbieraniu materiałów dokumentujących dzieje wychodźstwa północnofryzyjskiego. Dzięki środkom finansowym różnych instytucji krajowych, zwłaszcza oświatowych, prowadzi także działalność wspierającą nauczycieli języka fryzyjskiego oraz gromadzi materiały, np. do słownika helgoландzkiego.

Poza kwartalnikiem i rocznikiem instytut wraz z Towarzystwem wydają systematycznie kalendarz w języku dolnoniemieckim i pięciu dialektach fryzyjskich. Ponadto staraniem grupy roboczej, zajmującej się zabytkami, ukazuje się kwartalnik „Der Maueranker”. Dochodzą do tego nieperiodyczne a serijne wydawnictwa, takie jak „Studien

und Materialien”, w których dominuje problematyka historyczna, „Materialien für den Friesischen Schulunterricht” i „Schriften der Interessengemeinschaft Baupflege”.

Podstawowa działalność instytutu i osób z nim związanych, głównie członków Towarzystwa IPN, prowadzona jest w sześciu grupach roboczych. Poza zabytkami zajmują się one historią, genealogią, archeologią, mediami oraz językiem i literaturą. Poprzez seminaria, konferencje rozwiązują m.in. bieżące problemy, związane z kulturą i zabytkami, wspomagają też nauczycieli. Ich członkowie wygłaszają liczne referaty i publikują artykuły, odnotowując to skrętnie, szczególnie jeśli pisane są po fryzyjsku. Wśród licznych wykładów z dziedziny historii w ramach współpracy grupy roboczej instytutu z Towarzystwem Miłośników Historii Miasta Husum, znalazł się w roku ubiegłym referat miejskiego archiwariusza, którym jest Holger Borzikowsky.

W rocznym sprawozdaniu Towarzystwa znaleźć można bardzo interesujące informacje, dotyczące podejmowanych przez instytut problemów – projektów badawczych, ich realizatorów, źródeł finansowania, towarzyszących im wykładów i spotkań. Niewątpliwie najważniejsze informacje dotyczą języka i literatury oraz historii i wiedzy o regionie. Poza tym cenne są informacje dotyczące indywidualnych zainteresowań i badań, prowadzonych przez członków Towarzystwa w kontakcie z instytutem, obejmujących np. budo-

wnictwo ładowe, łodzie fryzyjskie, biografie, losy uciekinierów we Fryzji po wojnie. Sprawozdanie zawiera również wykaz publikacji pracowników instytutu, obejmujący kilkadziesiąt pozycji, a także dane o wykładach i seminariach uniwersyteckich dotyczących problematyki fryzyjskiej. Bieżące informacje o kontaktach międzynarodowych, o pobytach osób, korzystających ze zbiorów instytutu, o odwiedzinach wybitnych gości – np. premier rządu krajowego Szlezwiku-Holsztyn dr Heidi Simonis – ich wpisy do kroniki, ukazują codzienne i świąteczne życie, działania instytutu i Towarzystwa. Nie bez znaczenia dla pogłębienia klimatu, sprzyjającego pracy instytutu, są informacje o ciekawych publikacjach prasowych, relacjonujących dokonania środowiska, czy też o podejmowanych w nim dyskusjach. Tu warto wymienić nazwisko wybitnego dziennikarza radiowego, podejmującego już w przeszłości także problematykę kaszubską. Ernsta-Jürgena Walberga, dziś jednego z najbardziej zaangażowanych w sprawy Meklemburgii i Pomorza Przedniego, pracującego od niedawna w rozgłośni w Szwerinie.

Czytając „Sprawozdanie” poznajemy po trochu warunki, w jakich rozwija się język i kultura Północnych Fryzów. Uwagę zwracają nazwy współpracujących z instytutem innych jeszcze, poza wymienionymi, towarzystw i redakcji, instytucji, takich jak np. Heimatredaktion des NDR in Kiel, Kreismusikschule Nordfriesland, Verein für Bredstedter Geschichte und Stadtbildpflege, Bredstedter Friesenverein, Stiftung „Nordfriesische Halligen”, Regionalzentrum für Niederdeutsch w Leck, Stiftung Nordfriesland, Sparkasse Nordfriesland w Husum itp., itd. Właśnie ta różnorodność podmiotów, zajmujących się sprawami dziedzictwa kulturowego i przyszłością Fryzów oraz ich języka, świadcząca o objęciu działalnością społeczną całej przestrzeni regionu – miast i wsi, różnych środowisk, stanowi cenne zjawisko, godne szczególnego podkreślenia. Widać tu, jak sam Instytut Północnofryzyjski i wspierające go Towarzystwo stanowią swoje centrum życia naukowego i kulturalnego, inspirujące inne podmioty, łączące wysiłki różnych środowisk, podejmujące nowe zadania (archiwum i

współpraca ze środowiskami fryzyjskimi w Ameryce). Instytut Północnofryzyjski stanowi też niewątpliwie jeden z przykładów dla powstającego, na razie w sferze idei, Instytutu kaszubskiego czy Akademii Kaszubskiej przy Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie.

Osobną częścią „Sprawozdania”, a zarazem prezentowanego tu numeru „Nordfriesland”, jest bibliografia zawartości rocznika 1994, zestawiona wg autorów w porządku alfabetycznym.

Kwartalnik „Nordfriesland” na pierwszy rzut oka szatą zewnętrzną i wartością bardzo różni się od „Pomeranii”. Podstawowe teksty w najnowszym numerze to: komentarz Thede Boysena pt. „Bericht aus Bonn”, w którym autor podejmuje m.in. problem zagrożenia języka fryzyjskiego wskutek napływu obcych do regionu. (Tu idzie o mieszkańców b. NRD. Niechęcią do obcych autor tłumaczy m.in. liczne głosy, które padły przed wojną na rzecz NSDAP). Jednocześnie stawia problem ich zakorzenienia, stawiania się Fryzem z wyboru; Kronika, w której prezentowane są sylwetki jubilatów (także po fryzyjsku), biografie zmarłych działaczy, bieżące informacje o wydarzeniach w kraju i wśród Fryzów oraz ich potomków w Ameryce, w tym dział wiadomości pt. „Nordfriesland im Winter 28.11.1994 – 1.3.1995”, czy artykuł Thomasa Steensena „Zum erstenmal vereint” („Po raz pierwszy zjednoczeni”, omawiający powstanie powiatu Nordfriesland przed 25 laty.

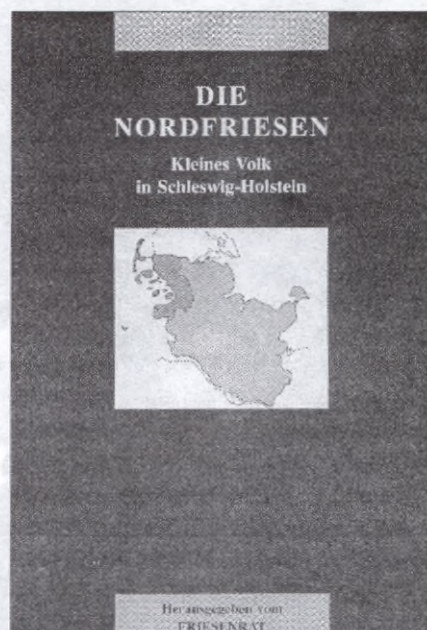
Nad tym tekstem chciałbym zatrzymać się dłużej. Autor stwierdza, iż myśl o zjednoczeniu Północnej Fryzji w jednym podmiocie administracyjno-samorządowym została sformułowana już w 1920 roku przez najstarszą organizację fryzyjską „Verein für Heimatkunde u. Heimatliebe”. Był to okres, kiedy ustalano nową granicę duńsko-niemiecką. Podobną ideę wysuwało założone w 1923 roku Towarzystwo Fryzyjsko-Szlezwickie. Obie organizacje chciały włączyć do nowego powiatu także wyspę Helgoland, przynależącą doń ze względów kulturalnych i językowych. Plany te nie zostały na razie zrealizowane, choć temat systematycznie wracał. Szczególnie żywa debata miała miejsce w latach 1966-67, kiedy Husumer Landrat (starosta husum-

ski) Reinhold Borzikowsky został sekretarzem stanu (wiceministrem) w Ministerstwie Rządu Krajowego w Kilonii. Powołano wówczas komisję krajową ds. reformy administracji w landzie. W wyniku przeprowadzonej reformy, zmniejszającej liczbę powiatów z 17 do 12, powstał m.in. jeden duży powiat – Kreis Nordfriesland. W jego skład weszły dawne powiaty: Südtondern, Husum i Eiderstedt. Uzasadniono to warunkami geograficzno-historycznymi i gospodarczymi oraz wspólną językowo-etniczną mieszkańców. Stolicą powiatu zostało Husum. Nie obeszło się bez konfliktów. Większość np. członków sejmiku w Eiderstedt optowała za przynależnością do powiatu Dithmarschen, ale jego mieszkańcy w głosowaniu przeprowadzonym z prywatnej inicjatywy zdecydowaną przewagą opowiedzieli się za Północną Fryzją. W innych częściach regionu było równie gorąco. Ostatecznie, w wyniku przeprowadzonych wyborów do sejmiku powiatowego 26.4.1970 roku, zaistniał nowy Kreis Nordfriesland. Poza powiatem z całego obszaru północnofryzyjskiego, oprócz drobniaków, pozostała tylko wyspa Helgoland. Powstanie i funkcjonowanie powiatu miało olbrzymie znaczenie dla rozwoju świadomości i tożsamości północnofryzyjskiej.

Oryginalną częścią prezentowanego numeru jest artykuł serbołużyckiego poety Jurija Brezana, przetłumaczony na język fryzyjski, a poświęcony odwiecznym związkom między życiem a wodą.

Kolejną część numeru stanowi blok wspomnień z 1945 roku pt. „Koniec wojny, początek pokoju”. Jest to wybór z ponad 40 wypowiedzi nadesłanych na apel instytutu i przechowywanych w jego bibliotece, a napisanych po fryzyjsku oraz po niemiecku. Pojawia się w nich także Gdańsk, „Wilhelm Gustloff”, wątki: szwedzki, duński, rosyjski, ukraiński, amerykański – bardzo interesujące i inspirujące do badań, porównań, głębszej analizy.

Jest też w numerze tekst kazania wygłoszonego po fryzyjsku z okazji pogrzebu jednego z działaczy. Całość numeru zamyka blok licznych recenzji i omówień najnowszych wydawnictw z dziedziny politologii, wspomnień i biografistyki, socjologii i literatury, historii i kultury itd. Ponadto reklamy cie-



kawych pozycji wydawniczych, w tym dla dzieci, opublikowanych przez Instytut Północnofryzyjski.

Analiza, poznanie działalności Instytutu Północnofryzyjskiego jak i pisma „Nordfriesland” pozwala lepiej zrozumieć także nasze własne problemy, rozpoznać ich niekiedy uniwersalny charakter, sprowadzić je na poziom spraw realnych – do załatwienia w przemyślanej pracy. Sądę też, że warto podobnym do naszej społecznościom Fryzów czy Retoromanów prezentować nasze realia, historię i współczesność, problemy, z którymi borykamy się myśląc o przyszłości. Los i problemy Kaszubów czy Pomorzan nie są czymś wyjątkowym. ■

UMARŁ „KRÓL”

Eugeniusz Pryczkowski

„Królami”, jak podają autorki „Bede-
kera Kaszubskiego”, nazywają Ka-
szubi ludzi wyróżniających się w swoim
środowisku aktywnością i dorobkiem.
Do nich należeli m.in. Antoni Abra-
ham, Wicek Rogala, ks. Franciszek
Grucza czy żyjący ks. Hilary Jastak.

To zaszczytne miano przyznano też
Karolowi Krefftowi.

Mieszkał samotnie nad jednym z za-
koli Raduni, w Lniskach koło Żukowa.
Gościom był niechętny, a dostępu doń
bronila właśnie Radunia. Sporadycznie
odwiedzał go, zmarły przed dwoma la-

ty, ks. prałat Franciszek Grucza, a w
ostatnich latach jego życia – zrzeczeń-
cy z Żukowa.

Karol Józef Krefft urodził się 15 VI
1907 roku w Zaworach pod Chmielnem.
Rodzice – Emil i Wanda z Dziegielew-
skich (nie-Kaszubka) byli właścicielami
ziemskimi, m.in. posiadali Jezioro
Raduńskie Dolne (Górne ojciec Emila
zapisał córce, po mężu Zielke). Po ukoń-
czeniu Szkoły Powszechnej w Zawo-
rach Karol Krefft uczęszczał do Cole-
gium Marianum w Pelplinie i Gimnaz-
jum Macierzy Szkolnej w Gdańsku,
które ukończył z wyróżnieniem. Chciał
studiować prawo na Sorbonie w Pary-
żu, decyzję zmienił namówiony przez
kuzyna Ottomara Zielke – poszedł na
Uniwersytet Warszawski – tam przy-
najmniej będzie mógł zająć się kaszub-
szczyzną i upominać o równouprawnie-
nie Kaszubów w życiu politycznym –
radził Zielke. Właśnie dlatego założył
w 1927 roku korporację studencką
„Cassubia”, której został pierwszym
prezesem. Opiekunem ideowym zaś
był dr Aleksander Majkowski (m.in.
członkowie korporacji pomagali A.
Majkowskiemu w zbieraniu materia-
łów do jego „Historii Kaszubów”). Co
roku odbywali zjazdy w kartuskim „Ka-
szubskim Dworze”. Sztandar korpora-
cji, uznany po wojnie za zaginiony, od-
nalazł się dopiero przed dwoma laty.
Okazało się, że przechował go Antoni
Skwierz z Gdyni, ostatni prezes „Cas-
subii”. 23 kwietnia 1993 roku, podczas
uroczystego otwarcia Domu Kaszub-
skiego w Gdańsku, przekazał history-
czną stanicę kontynuatorom studen-
ckiego ruchu kaszubskiego – „Pomo-
rańcom”.

Karol Krefft był wyróżniającym się
akademikiem. Doskonale znał łacinę,
płynnie posługiwał się językiem nie-
mieckim, angielskim, francuskim i ro-
syjskim. Po ukończeniu wydziału pra-
wa odbył roczną praktykę aplikancką
w kartuskim Sądzie Grodzkim.

Antoni Grzędzicki z Żukowa, znaw-
ca życia i działalności Karola Kreffta,
opowiedział mi paradoksalną historyj-
kę z tego okresu. Otóż zlecono Kref-
towi prowadzenie rozprawy przeciw-
ko Aleksandrowi Labudzie, który na
łamach „Zrzeszy Kaszëbsczi” rozgła-
szał zdefraudowanie 30 tysięcy złotych
przez, nieprzychylnego Kaszubom, sta-
rostę kartuskiego Czarnockiego. Labu-



Gdańscy członkowie „Cassubii”, 1936 r. W środku siedzi Karol Krefft



8-lecie „Cassubii”, 1936 r. W drugim rzędzie, drugi z lewej Karol Krefft

da sprawę przegrał. Na pytanie Kreffta, czy pozwany chce jeszcze coś powiedzieć, Labuda wstał i mocnym głosem powtórzył zarzut: „Żądam ukarania starosty Czarnockiego za defraudację 30 tysięcy społecznych złotych oraz wielu innych malwersacji przez niego dokonanych!”.

Po rocznej praktyce został radcą prawnym wojewody pomorskiego Władysława Raczkiewicza, późniejszego prezydenta Rzeczypospolitej na uchodźstwie. W jego imieniu przemawiał po kaszubsku nad grobem Aleksandra Majkowskiego (któremu wcześniej pomógł wydać „Wspomnienia moje”).

Podczas II wojny światowej walczył w wojsku polskim. Cudem udało mu się uniknąć śmierci. Po zakończeniu działań wojennych wybrano go starostą kartuskim. Na tym stanowisku dał się poznać jako świetny i nadzwyczaj sprawiedliwy gospodarz. Szczególnie dbał, by paczki UNRRA docierały do najbardziej potrzebujących. Dlatego miejscowi zaczęli go nazywać „Szczodrym” bądź „Sprawiedliwym”. Nieste-

ty, niebawem pozbawiono go urzędu starosty. Musiał odejść z czterech przyczyn: jako syn ziemianina, za kontakty z Władysławem Raczkiewiczem, a więc i rządem londyńskim, za brata Józefa, który uszedł na Zachód oraz za to, że był działaczem kaszubskim. Od tego czasu rozpoczyna się szykanowanie Kreffta przez UB i SB. Ciągłe rewizje, przesłuchania, skłoniły Kreffta, w opinii Grzędzickiego, „do ukrycia się” do końca życia za Radunią, do wycofania się z życia publicznego. Jeszcze raz spróbował być czynny – w 1956 r. współzałożył Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, a w Żukowie założył oddział ZKP, który niebawem zaprzestał jednak działalności, wznowiając ją po kilku latach, już bez swojego założyciela.

Zamieszkał za Radunią, we własnoręcznie wybudowanym domu – szalaś. Żona i córka nie mogły żyć w tych prymitywnych warunkach. Przez jakiś czas mieszkaly w Sopocie, potem wyemigrowały do Stanów Zjednoczonych.

Dawniej do „posiadłości” K. Kreffta

można było dostać się wyłącznie za pomocą czółna, przed kilkoma laty oba brzegi rzeki połączył drewniany mostek o szerokości nie przekraczającej metra. O tym, jak żyje Karol Krefft, opowiadali ci, których zechciał przyjąć. A że przyjmował nielicznych, krążyły o tym wykształconym człowieku, piastującym niegdyś wysokie funkcje administracyjne na Pomorzu, legendy. Edmund Kamiński z Wejherowa opowiadał, że domostwa strzegły dwa groźne psy, a ks. Jan Szwaba z Przodkowa, kiedy jeszcze jako kleryk odwiedzał przed wieloma laty Kreffta, musiał sygnalizować swoje przybycie, zgodnie z instrukcją gospodarza, kilkakrotnym gwizdaniem. Niezwykajnie traktowani byli także inni, rzadcy goście. Jak naprawdę żyje kaszubski „Król”? Po raz pierwszy wybrałem się do niego z Dariuszem Szymikowskim z Kartuz zimą tego roku. Przeszliśmy mostkiem na drugą stronę rzeki. Ukazały się nam dwa budynki. Jeden mały, drewniany, odpowiadający wcześniejszemu opisom, drugi, niewiele większy, ale betono-



Karol Krefft z matką Wandą i córką Joanną Gabriellą, po II wojnie światowej w Otominie

wy. W pierwszym stwierdziliśmy brak jakichkolwiek oznak życia, podeszliśmy więc do drugiego. Drzwi były uchylone. Zadzwoniliśmy. „Jo” – dotarł do nas głos mężczyzny. Rozglądając się na wszystkie strony, weszliśmy do środka. Po prawej stronie niedługiej sieni prowizoryczna łazienka, w głębi niewielka izba. Podłogi wszędzie betonowe. Na łóżku siedział starzec. Na nogach miał gumowe buty. Pośrodku izby stół, a na nim telewizor. Jak się później dowiedziałem, potrafił wpatrywać się w niego całymi godzinami. Na stole leżała stara Biblia. Nad łóżkiem wyhaftowany gryf oraz obraz Matki Boskiej Sianowskiej – Królowej Kaszub. W pokoju panował ziąb. Widoczne były jednak ślady czyjejś opiekuńczej działalności.

- Niech bądź pochwólony Jezus Chrystus – powiedziałem. Starzec, nieco zaskoczony, zwrócił wzrok w naszą stronę. Nie czekając na odpowiedź, zacząłem energicznie wyklądać powody naszej wizyty. Powołałem się na nieżyjącego ks. prałata Gruczę – oczywiście po kaszubsku. Poskutkowało. Kiedy zapytał o nasze nazwiska, wiedziałem już, że pierwsze lody zostały przełamane. Rozmowa trwała nie dłużej niż dziesięć minut. Jak się okazało, wpuszcili nas tylko dlatego, że sądził, iż nadchodzi z obiadem szwagier Bronisław Myszk, mieszkający w Otominie i od lat opiekujący się sędziwym, 87-letnim Karolem.



Fotografie: archiwum

Przekazanie Klubowi „Pomorania” sztandaru „Cassubii” przez Antoniego Skwierca (z prawej), ostatniego „Króla” korporacji „Cassubia” w dniu otwarcia Domu Kaszubskiego, 1993 r.

Następną wizytę u Karola Kreffta zaplanowałem w święto 3 maja br., tym razem już z kamerą telewizyjną. Przedtem odwiedziłem B. Myszkę, który miał uprzedzić bohatera przyszłego reportażu o naszym przybyciu. Krefft był w wyjątkowo dobrej kondycji. Rozpoznał mnie, więc szybko mogliśmy przystąpić do rozmowy o jego rodzie, studiach, „Cassubii”, kaszubszczyźnie. Opowiadając o przedwojennym ruchu kaszubskim, co chwilę wypytywał mnie, czy obecne władze nie szykanują działaczy kaszubskich.

W międzyczasie poznałem bratanicę i zarazem chrześniaczkę Karola, Krystynę Witosławę Wolf z Rumi – córkę Józefa, nazywanym Jówką. – To on wyszukał mi drugie imię, jakie nosiła siostra księcia Pomorza i Kaszub Świętopelka Wielkiego, przeorysza klasztoru żukowskiego – oznajmiła Krystyna. Od niej też dowiedziałem się o przyjeździe Janiny Gabrieli Bevan – córki Karola, zwanej popularnie Gaby, która po zmianie ustroju w Polsce zaczęła tu przyjeżdżać i roztoczyła opiekę nad sędziwym ojcem. Żona Karola, Bogumiła, z domu Kawecka, żyje do dziś w USA. Gaby, po przejściu na emeryturę planuje powrócić na rodzinne Kaszuby.

Poprzez panią Krystynę udało nam się umówić z Janiną Bevan. Spotkaliśmy się 14 maja w Łącznie, podczas finału Ludowych Talentów. Przybyła również druga córka Jówki – Maria Czajka, nauczycielka jednej z sopoc-

kich podstawówek i Bronisław Myszk. Nasi rozmówcy wciąż wracali do prześladowań ubeków. Gaby, jakby nie bardzo ufając naszym intencjom, była bardzo wstrzeźliwa w opisywaniu tamtych trudnych chwil. Obie rozmowy ułożył nam w chronologiczną całość Antoni Grzędzicki. Powstał ciekawy reportaż. Wyemitowany został w jednym z czerwcowych magazynów „Rodnej Zemi” oraz, poszerzony, w gdańskiej TV, we wrześniu br.

Już w Dzień Zaduszny br. okazało się, jak cenne było to utrwalenie na taśmie kaszubskiego „Króla”. Tego dnia odprowadzano na żukowski cmentarz Karola Józefa Kreffta. Jego trumnę przykryła stanica zrzeszeńców, ta sama, która okrywała trumnę Aleksandra Majkowskiego, Lecha Bądkowskiego oraz Jana Drzeżdżona. Wzruszającą mowę pożegnalną wygłosił Henryk Sirwind Łukowicz z Gdyni, przyjaciel zmarłego, współzałożyciel Zrzeszenia Kaszubskiego. Przypomniawszy jego przyjazne kontakty z biskupem Konstantym Dominikiem, wielkie zaangażowanie w działalność na rzecz Kaszub, ojczyzny oraz wielką sprawiedliwość, za którą tak bardzo szanowali go miejscowi Kaszubi. Pożegnała go również prezes żukowskiego oddziału ZKP Lidwina Kreft. Uroczystości pogrzebowe zgromadziły liczną rodzinę, znajomych, działaczy kaszubskich. Nad grobem pochyliło się sześć zrzeszeniowych sztandarów. ■

ODSZEDŁ PIEWCA POMORZA

Dariusz Szczecina

6 listopada zmarł Franciszek Mamuszka. Urodził się w Maniowie w Małopolsce. Rodzice Antoni i Aniela z Pirogów mieli gospodarstwo. Ojciec, jak kiedyś wspominał pan Franciszek, najdalej „zapuszczał się” do powiatowej Dąbrowy lub do Tarnowa. Kiedy więc Franciszek, uczeń I klasy miał okazję wyjechać na wycieczkę do Krakowa, sprzeciwiła się temu matka, obawiając się utraty syna w tak przerażająco odległej podróży. Ze łzami w oczach, przeżywając zawód niedoszedłego turysty, oddał ojcu srebrną pięciokoronówkę. Pierwsze eskapady Franciszek Mamuszka odbywał do odległej o 10 km wsi Słupice. Był tam stary drewniany kościół, otoczony drzewami. Fascynowała go architektura kościoła i krajobraz. Budziła się u Franciszka tęsknota do nieznanego i dalekiego świata. Chęć poznawania podsycali comiesięczne wyjazdy do Tarnowa, do starszego brata gimnazjalisty. Interesowały go tam wspinały grecko-renesansowy ratusz, katedra i żydowska bożnica z XVII wieku. Porównywał budowle, jeszcze nie zdając sobie sprawy z ich historycznych różnic. Krajoznawcze zainteresowania Mamuszki ukierunkowała nauczycielka i wychowawczyni Katarzyna Świątkówna. Dzięki niej Franciszek i jego klasa poznali Kraków. Po latach Mamuszka wspominał „że ta wycieczka zaowocowała głębszym zainteresowaniem się Krakowem i traktowaniem tego miasta jako drugą małą ojczyznę”. Po raz drugi do Krakowa trafił będąc słuchaczem tarnowskiego Seminarium Nauczycielskiego. Później związał się z tym miastem na długo. Tutaj skończył Wyższy Kurs Nauczycielski, tutaj ukrywał się przez pewien czas przed gestapo.

Pracując w szkołach powiatu tarnowskiego i brzeskiego, zetknął się z ks. Litwinem, który uczył go turystyki tatrzańskiej. Razem przeszli większość ciekawych tras w polskich Tatrach. Góry

pochłonęły go tak, że nie zdążył zwiedzić innych regionów Polski. Polesie poznał w czasie wojny, gdy uciekał z braćmi przed Niemcami. Później, uciekając przed bolszewikami, znów wrócił w Tarnowskie. Nie zaprzestał turystyki. Organizował dla młodzieży wędrowniki do Zakliczyna, Melsztyna i innych miejscowości.

Po wojnie zamieszkał w Krakowie i pracował w szkole, a w październiku 1945 roku przyjechał do Gdańska. Zamieszkał w Oliwie przy ulicy Kaprów. Pracując w szkole równocześnie działał w Lidze Morskiej. Był członkiem zarządu oddziału LM oraz instruktorem szkolenia morskiego młodzieży. Zorganizował pierwszy po wojnie kurs modelarstwa morskiego oraz przewodników po Gdańsku dla nauczycieli z gdańskich szkół. Współtworzył gdański oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Współpracował z Janem Kilarskim i Leonem Ostaszewskim. W 1947 wszedł w skład zespołu organizującego w Sopocie Związek Popierania Turystyki, w którym objął funkcję sekretarza. ZPT organizował kursy przewodników turystycznych po Gdańsku, Sopocie, Gdyni oraz po portach i wydawał pismo „Gospodarka Turystyczna”, z którym współpracował Mamuszka. Artykuły poświęcone dziejom i zabytkom Pomorza Gdańskiego publikował także w „Dzienniku Bałtyckim”. A od 1948 roku w „Głosie Wybrzeża”, przez dwa lata, co tydzień przedstawiał historię Gdańska. Artykuły te złożyły się na blisko połowę popularnej monografii „Gdańsk i Ziemia Gdańska”. Późniejszy, ogromny dorobek wydawniczy Franciszka Mamuszki, przedstawiła w marcowym numerze br. „Pomerania”, świętując jego 90. urodziny. Ostatnia książka, jaką pisał, to historia rodu. Jej jedyny egzemplarz przeznaczony jest dla potomstwa.

W 1947 roku zaproponowano Mamuszcze pracę w kuratorium. Będąc refe-



Fot. autora

Franciszek Mamuszka

rentem działu turystycznego, a następnie wizytatorem turystyki, obozów i wczasów, mógł połączyć pracę zawodową ze swoimi zainteresowaniami. W latach 1947-48 zorganizował w województwie 8 schronisk dla wycieczek młodzieżowych oraz 2 domy wczasowe dla nauczycieli. Wspierał włącznie kadrę przewodników po Trójmieście. Z początkiem lat 50., kiedy zgasło „zielone światło” dla turystyki w szkołach, Mamuszka przeszedł do pracy w Muzeum Pomorskim w Gdańsku, gdzie kierował działem społeczno-oświatowym, organizując odczyty o Gdańsku i jego zabytkach. Współpracował z PTTK i ZNP w szkoleniu nauczycieli – przewodników wycieczek. Po 1956 roku zaangażował się w pracę wojewódzkiej komisji opieki nad zabytkami, a w 1959 roku został przewodniczącym okręgowej komisji opieki nad zabytkami, ratując m.in. Wartość nr 1 na Westerplatte, w której dzisiaj jest Izba Pamięci Narodowej. Aż 300 gdańskich zabytków opatrzonych jest tablicami z opracowanym przez Mamuszkę tekstem.

Już po przejściu na emeryturę opisywał przeszłość Sopotu i losy Polonii. Był współzałożycielem i członkiem zarządu Towarzystwa Przyjaciół Sopotu. Wyrazem wdzięczności miasta Sopotu był medal z okazji 700-lecia Sopotu oraz Honorowe Obywatelstwo, a władz państwowych i turystycznych – odznaka za Zasługi dla Ziemi Gdańskiej, złota odznaka PTTK, złota odznaka Za Opiekę nad Zabytkami i inne. Również Klub „Pomerania” przy Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim wyróżnił go Medalem Stolema. ■

Kętrzyno Kętrzyński Kantrzonka

i przydomki
szlacheckie
Kętrzyńskich



Edward Breza

Kętrzyno jest wsią położoną pod Linią. W źródłach historycznych występuje już w XIV w. Była to wieś szlachecka, w XVI w. np., zamieszkiwana była tylko przez trzech Kętrzyńskich; czwartym właścicielem był niejaki Szymon Żelazko.

Nazwisko Kętrzyński tłumaczy się zatem nazwą wsi Kętrzyno. Podobnie z *Pobłocia* pochodzą *Pobłoccy*, z *Lewina Lewińscy*, a z *Wyszecina Wyszecy*, pisani też *Wysiecki*. Skąd jednak wzięła się nazwa wsi Kętrzyno? Było przezwisko *Kętra* i człowiek tak nazywający się dał początek nazwie Kętrzyno. Pierwotnie był to przymiotnik dzierżawczy typu *Kętrzy-no (pole)*, jak dziś mówi się po kaszubsku *mamino dziecko*, *ciocino zboże*, *córczyno towarzystwo* itd., z czasem przydawka Kętrzyno usamodzielniała się i stała się nazwą wsi.

Przezwisko *kętra* pochodzi od kaszubskiego czasownika *kętrzyć*, po kaszubsku *kętrzëc* w znaczeniu 'cudzołożyć'. Czasownik ten zanotował ks. G. Pobłocki w „Słowniku kaszubskim” z roku 1887, a bogato poświadczył ks. B. Sychta w „Słowniku gwar kaszubskich” (t. II, s. 155). Ks. Sychta notuje też rzeczowniki *kętroch* w znaczeniu 'rozpustnik' i *kętrzëca* w znaczeniu 'rozpustnica'.

Znaczeniowo z przezwiskiem *Kętra* powiązane jest współczesne nazwisko *Kantrzonka*, znane na Kaszubach. Jak to często z wyrazami o ujemnym czy przezwiskowym znaczeniu, tak i określenia wywodzące się od *kętrzyć* mogły być różne, a więc obok *Kętry* i *Kętrocha* mógł być też *Kętrzonka*, w wymo-

wie kaszubskiej *Kantrzonka*. Z czasem to przezwisko stało się urzędowym nazwiskiem.

Pamiętać trzeba, że dzisiejsze nazwiska, a tym bardziej noszący je ludzie, nie mają nic wspólnego z dawnymi przezwiskowymi treściami. Dziś nazwisko pozwala nam tylko zidentyfikować osobę. Dopiero analiza językowa pozwala z obecnych nazwisk wydobyc ich pierwotną treść.

Kaszubska drobnoszlachecka rodzina Kętrzyńskich nosiła różne przydomki, często pochodzenia niemieckiego. Były to: *Baumgart*, nazwa notowana na Pomorzu Zachodnim już w XIV w., poświadczona w Kętrzynie w XVII w., a wywodząca się od nazwy wsi *Baumgart*, dziś *Bągart* w ziemi chełmińskiej. (Sama wieś wzięła nazwę od rzeczownika *Baumgart* 'ogród').

Birkhan, spolszczone na *Berkan* i w tej formie występuje jako nazwisko, por. słynnego krawca berlińskiego Berkana, opiekuna studentów Polaków, m.in. A. Majkowskiego. Przydomek bierze początek od herbu *Cietrzew*, właściwego Kętrzyńskim, jako że po niemiecku *cietrzew* to właśnie 'Birkhan'.

Gabit, poświadczony w księgach ławniczych Koscierzyny w XVII w. Jest to zdrobnienie niemieckiego imienia *Gebahard*.

Litze, poświadczony na początku XVIII w., a biorący początek od imienia *Łukasz*, po łacinie i niemiecku *Lucas*. Dziś na Pomorzu nazwisko *Lica*.

Winckler, pisane *Winkler* – to tłumaczenie nazwiska Kętrzyński, skojarzonego z wyrazem *kąt*, po niemiecku *Winkel*. Dziś na Pomorzu znane nazwisko *Winkler*. Najwybitniejszy przedstawiciel rodziny Kętrzyńskich, Wojciech Kętrzyński (1838-1918), wywodził się właśnie ze zniemczonej rodziny *Wicklerów*, potem odrzucił to nazwisko i przybrał historycznie polskie Kętrzyński.

Wolf, poświadczony w Kętrzynie na początku XVII w., pochodzi od niemieckiego rzeczownika *Wolf* 'wilk'. Może to być tłumaczenie polskiego przezwiska *Wilck*.

Pozostałe przydomki Kętrzyńskich są już polskie. *Malutki* pochodzi od takiegoż przymiotnika, zniemczony został na *Malotke*, a ta forma spolszczona na *Malotka* oraz *Żelazko*, notowany w Kętrzynie w roku 1570. Przezwisko *Żelazko* nadano na pewno kowalowi. ■

OGŁOSZENIE

Sprzedam komplet tomów (7) „Słownika Gwar Kaszubskich” ks. Bernarda Sychty, za kwotę 15 tys. zł (15 mln starych zł). Żelistrzewo, woj. gdańskie, tel. 73-86-28

listy

„Pomorzanie w starym kraju”

Stanisław Janke spisał drogi życiowe niektórych uczestników III Sympozjum Polonii Kaszubsko-Pomorskiej („Pomerania”, 10/95). W relacji Edwina G. Gintrowskiego ze zdziwieniem przeczytałem, że Racibórz był przed wojną w Polsce. Gintrowskiemu się pomyliło, a Janke i redakcja nie wiedzą, że było inaczej.

W tejże relacji wymienia się port Tarento, mający polską nazwę Tarent.

Janusz Kowalski

Krzyż stanie na powrót

Gdyni Oddział Zrzeszenia zainicjował prace wokół renowacji i konserwacji rybackiego krzyża, zlokalizowanego w parku (obecnie parking) przy ul. Waszyngtona w Gdyni. W tym celu pod koniec sierpnia br.

członkowie Zrzeszenia przeprowadzili w trzech kościołach Gdyni zbiórkę pieniędzy na pokrycie prac konserwatorskich. W wyniku konkursu ofert zadanie powierzono Pracowni Konserwacji Zabytków „Meander” w Gdyni, której właścicielem jest Michał Masorz. Zdemontowany krzyż poddany zabiegom konserwatorskim stanie na powrót w kwietniu 1996 r.

Historię krzyża znamy jedynie z przekazów ustnych. Z relacji pana Władysława Gucia i na podstawie posiadanych przez niego zdjęć wiadomo, że krzyż postawiony został na pamiątkę budowy portu w Gdyni przed rokiem 1922. Jego fundatorami byli rybacy i obywatele Gdyni: wójt Jan Radtke, Józef Abraham – rybak, Andrzej Plichta, Józef Voigt i inni.

W swym pierwotnym miejscu i kształcie – na ówczesnej plaży – jedynie ze zmienioną postawą, przetrwał do roku 1939. W pierwszych dniach wojny Niemcy krzyż zdjęli i pocięli na kawałki – tak wspominają świadkowie: Kazimierz Małkowski i Eugeniusz Stanek. Na przełomie lat 1945/46 z inicjatywy miejscowych rybaków postawiono krzyż obecny, który zrekonstruowano na podstawie zachowanych zdjęć. Zasłonięty przez rosnące w pobliżu drzewa i krzewy przetrwał 50 lat, a więc wiele dłużej, niż jego pierwotny wzór.

Osoby mogące udzielić nowych informacji – ustnych, pisemnych lub fotograficznych – o historii krzyża, prosimy o kontakt z Muzeum Miasta Gdyni, tel. 21-90-73 lub 21-62-18.

Oddział Gdyni ZKP

„Gręcza”

Czytając ciekawy artykuł R. Ciemińskiego o ks. Gruczy („Pomerania” 9/95) zauważyłam pomyłkę. Proszę o sprostowanie te-

go „chochoła”, jakby go nazwał śp. ks. Grucza. W wierszu „Swjónowskó Panjienka” werset „Bë rodnó naj mowa nie kwjitła”, jak podała „Pomerania”, powinien brzmieć: „Bë rodnó naj mowa kwjitła”. Bardzo podobny wiersz ks. Gruczy, pt. „Kaszëbskó Madonna”, zawiera antologia „Święti dżel dësze” ks. J. Walkusza (Pelplin 1981). Dokładny zaś zapis z kolorowego obrazka z Sianowską Panienką brzmi: „Bë rodnó naj mowa kwjitła”. (podkreślenie moje A.J.)

Alicja Jelińska

Msza św. w Stutthofie?

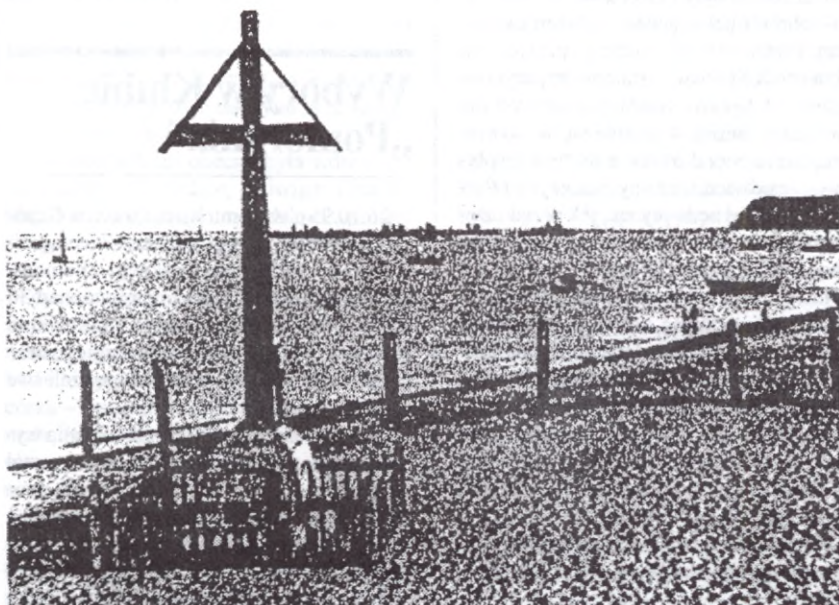
We wrześniowej „Pomeranii” pojawił się artykuł pióra p. Ciemińskiego pt. „Gręcza”. W jednym akapicie coś mi się nie zgadza. Mianowicie, że ks. Grucza w końcowej fazie pobytu w Stutthofie poświęcił się duszpasterstwu, odprawiał msze św., też wachmanom, miał wino mszalne, oleje święte i komunikanty. To dla mnie niewyobrażalne. Wiemy przecież, że esesmani, znani z okrucieństwa, byli wrogo nastawieni do Słowian, szczególnie do kapłanów. Niedługo nie słyszałem od kogokolwiek o takich rzeczach, ani też w żadnych publikacjach czegoś podobnego nie wyczytałem.

Gerard Knoff

Dotknięcie autentyku?!

W październikowym numerze „Pomeranii” ukazała się niewielka notka Ryszarda Ciemińskiego o zorganizowanej jesienią br. w Bibliotece Gdańskiej PAN wystawie pt. „Autografy”. Mimo swej lakoniczności relacja R. Ciemińskiego zawiera wiele błędów i nieścisłości. Przede wszystkim Biblioteka Gdańska nie jest kontynuatorką dziewiętnastowiecznej, lokalnej Danziger Stadt Bibliothek. 400 lat temu, w 1596 roku została założona przez Radę Miejską Gdańska sławna później w całej Europie – Bibliotheca Senatus Gedanensis, a nasza biblioteka jest jej spadkobierczynią! Wystawa przygotowana przez mgr Lidę Pszczółkowską nie miała na celu ukazania cennych rękopisów, starodruków lecz zaprezentowanie ciekawych autografów, umieszczonych często na kartach dzieł, m.in. Mikołaja Kopernika i Jana Heweliusza.

Pan Ryszard Ciemiński z zadziwiającą regularnością przekręca nazwiska i imiona. Na wystawie przedstawiono zapiski kapelmistrza z pancernika „Schleswig-Holstein” Wille Auricha (a nie Daniela W. Auricha!). W naszych zbiorach posiadamy rękopiśmienny zbiór wierszy Eugenii Kobylińskiej-Masiejewskiej (a nie Masiejewskiej!) pt. „Druskienniki” z fotografiami Jana Bulhaka (a nie Franciszka Bujaka!), a król Sta-



Krzyż postawiony na pamiątkę budowy portu w Gdyni, 1922 r.

nisław A. Poniąkowski nadał w 1792 roku szlachectwo Pawłowi Gromadzińskiemu (a nie Gromadzkemu!). Również z błędami przekazał nam tytuły kilku prac. Prawdziwy tytuł pracy Jana Heweliusza z 1668 roku brzmi *Cometographia* (a nie *Cometografica*!), a pozostałe w Rękopisie pracy Jerzego Schroedera brzmi: *Quodlibet oder Tade-Buch von allerhand Anmerkungen*". Natomiast Reinhold Curicke jest autorem dzieła pt. „*Der Stadt Dantzig historische Beschreibung*". Amsterdam-Dantzig 1687. R. Ciemiński nie oszczędził nawet pieśki fundatora Biblioteki Gdańskiej, Jana Bernarda Bonifacjusza markiza Orii, nadając mu imię Kola, podczas gdy czworonóg wabił się mniej swojsko – Viola.

Zagadkowy zapis „*Spect Senat Gedanensis*” powinien brzmieć „*Spectatissimus Senatu Gedanensis*”. Rzeczywiście dotyczy on posiedzenia prześwietnej Rady Miasta Gdańska z 1596 roku, na którym postanowiono powołać bibliotekę miejską. Najbardziej jednak zdumiewa wiadomość, iż w naszych zbiorach znajduje się list króla Stanisława Leszczyńskiego do Jana III Sobieskiego. Korespondencja między tymi monarchami była z oczywistych względów niemożliwa, ale dla historyków byłoby rewelacyjnym odkryciem, gdyby okazało się, że starosta odolański, przyszły król, pisał list do pogromcy Turków. Podobnie nieprawdziwa jest wiadomość, że posiadamy korespondencję króla Władysława IV.

Należy przypuszczać, że obfita ilość błędów i omyłek w notatce R. Ciemińskiego wynika z tego, iż o wystawie dowiadywał się telefonicznie a nie przez dotykane autentyku. Przecież nasi goście i czytelnicy zawsze mogą liczyć na fachowe rady i informacje pracowników Biblioteki Gdańskiej PAN.

Korzystając z okazji pragnę poinformować o zmianie w naszym jubileuszowym cyklu odczytów i wystaw. Najbliższy odczyt połączone z pokazem dr Marii Pelczar pt. „Gdańsk w obrazie kartograficznym” odbędzie się 11 stycznia 1996 roku o godzinie 16.00. Serdecznie zapraszamy.

Z wyrazami szacunku
Aleksander Klemp

Sprostowanie

W listopadowym numerze szalał chochlik drukarski. Zmienił imię Leona Roppla w felietonie Erwina Kruka, a w tekście Zdzisława Aleksandra poprzestawiał litery w nazwisku Jehannesa Ytsmy; jedną płytę kompaktową pomnożył do kilku w tekście Witosławy Frankowskiej.

Autorów, Czytelników przepraszamy
Redakcja

KŁĘKA

Nowy zarząd KT ZKP „Wanożnik”

Klub Turystyczny „Wanożnik”, działający przy Zarządzie Głównym Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, liczy 109 członków. W lecie organizuje imprezy turystyczne (główną jest coroczny Kaszubski Spływ Kajakowy „Śladami Remusa”), a jesienią członkowie i sympatycy klubu zbierają się w celu podsumowania letniego sezonu i omówienia imprez przyszłorocznych.

Tegoroczne spotkanie jesienne 28 i 29 października zgromadziło w Domu Wczasowym „Barbara” w Gołuniu 73 osoby. Pierwszego dnia „klubowicze” odbyli wycieczkę szlakami: czerwonym, czarnym i zielonym do Krwawych Dołów oraz nad jeziora: Chądzie, Kotel i Stryjek; prowadził znany przewodnik turystyki pieszej Marek Chomiczki. Głównym punktem sobotniego spotkania było zebranie sprawozdawczo-wyborcze klubu. Ustępującemu prezesowi Januszowi Kowalskiemu nadano godność prezesa honorowego. Nowym prezesem KT „Wanożnik” został Bernard Hinz z Wejherowa.

Wieczorem były tańce, a w niedzielę rano – zebranie poświęcone spływowi kajakowym. Podano wyniki ankiety, przeprowadzonej po X Spływie i ustalono, że przyszłoroczny XI Spływ „Śladami Remusa” ma prowadzić Słupią, a zacznie się w Gowidlinie, gmina Sierakowice, a następnie spływowicze odwiedzą gminy Sulęcyno i Parchowo, a dalej będą płynąć, jak przed czterema laty, aż do Słupska, z boczną wycieczką autokarową do Bytowa.

Nowy zarząd klubu chce rozszerzyć działalność, spowodować, żeby organizacyjnie, a nie tylko ideowo, jak dotychczas, związały się z klubem: nordowa wanoga na kołach „Stegną Czorlińskiego, Strądem Bołtu” i kociewska Wanoga Piechti. Ponadto, jeżeli będzie takie zapotrzebowanie, przewiduje się reaktywowanie kaszubskich zimowisk dla dzieci.

Tym zapowiedziom poczynić trzeba przyklasnąć i życzyć klubowi pełnej ich realizacji.

M.G.

Zebranie sprawozdawczo - - wyborcze w Gdyni

Członkowie oddziału Zrzeszenia zebrali się 19 października br. Duża grupa (50) osób aktywnie działających członków oraz zaproszeni goście wysłuchali najpierw sprawozdania ustępującego prezesa Pawła Ślezińskiego, z którego wynikało, że działalność oddziału w minionej kadencji skupiała się głównie wokół spraw kulturalnych naszego regionu, a także związana była z oddziaływaniem na strukturę władz samorządowych oraz politykę gospodarczą naszego miasta. Dużym sukcesem minionej kadencji było uzyskanie zgody władz miasta na budowę pomnika Antoniego Abrahama na placu Kaszubskim. Został już rozpisan konkurs na projekt tegoż pomnika. Rozstrzygnięcie konkursu przewidziane jest pod koniec stycznia 1996 roku.

Na uwagę zasługuje również fakt zmiany struktur członków Zrzeszenia. Po przeprowadzonej weryfikacji odpadło 50 członków biernych, nie płacących składek. Jednocześnie przyjęto wielu nowych, chętnych do pracy, zainteresowanych sprawami regionu i kultury kaszubskiej. 60 proc. działaczy to ludzie wykształceni, w tym kilku ze stopniami naukowymi.

Z zadań na następne lata najwięcej uwagi poświęcono budowie pomnika Antoniego Abrahama, obchodom 70-lecia Miasta Gdyni, 40-lecia istnienia ZKP. Przewidziane jest także założenie kół ZKP w dzielnicach naszego miasta. Opracowaniem szczegółowego programu na dalsze lata zajmie się nowo wybrany zarząd, który ukonstytuował się w następującym składzie: Paweł Śleziński – prezes, Teresa Hoppe i Aleksander Trzebiatowski – wiceprezisi.

Władysław Pranga

Wybory w Klubie „Pomorania”

26.10.95 r. w Domu Kaszubskim w Gdańsku odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze Klubu Studenckiego „Pomorania”. W spotkaniu uczestniczyło ponad 30 osób, w większości studentów Politechniki Gdańskiej i Uniwersytetu Gdańskiego oraz goście, którzy kiedyś w klubie spędzali swe studenckie lata.

24 osoby uprawnione do głosowania wybrały nowy zarząd klubu. Prezesem został Adam Kleina z Łeby, student II roku geografii na UG. Jak każe tradycja, otrzymał on od poprzedniego prezesa, którym przez ostatnie 2 lata był Piotr Kwidziński, pierścień pieczętny z lilią księcia Świętopełka Wielkiego.

Dziewięcioosobowy zarząd utworzyli:

Barbara Bronk, Adam Bigus, Sławina Borzyszkowska, Piotr Kwizdiński, Beata Półlocka, Katarzyna Polakowska, Marek Wantoch-Rekowski, Bożena Szymańska oraz Krzysztof Wirkus.

W tym zespole jest kilka nowych osób, które pragną aktywnie włączyć się w działalność klubu. A koncepcji i pomysłów na jego kształt i program jest wiele, o czym świadczyła dyskusja.

K.W.

Gościńska biblioteka ma imię Aleksandra Labudy

21 października bibliotece w Gościńcu nadano imię Aleksandra Labudy, działacza kaszubskiego i pisarza. Aleksander Labuda urodził się 9.8.1902 roku w Stryżu Budzie, pod Mirachowem. Ukończył seminarium nauczycielskie w Kościerzynie, gdzie spotkał się z Młodokaszubą Leonem Heyke, pod wpływem którego zaczął interesować się sprawami kaszubskimi. W 1929 r. wraz z Janem Trepczykiem założył Zrzeszenie Regionalne Kaszubów, którego został wiceprezesem. Był przywódcą grupy działaczy, którą nazwano Zrzeszincami, od redagowanego przez nich pisma „Zrzesz Kaszëbskô”.

A. Labuda, znany powszechnie jako Guczków Mack, był autorem najznakomitszych, jak dotychczas, felietonów kaszubskich, opublikowanych w obszernym zbiorze, zatytułowanym „Guczków Mack gôdô”, a także dwóch słowników kaszubskich. Pisał też wiersze, większość pozostaje nadal w maszynopisie. Zmarł 24.10.1981 r. Pochowano go na cmentarzu w Strzeczcu.

Uroczystość nadania imienia rozpoczęła się mszą świętą, którą odprawił oraz wygłosił płomienne kazanie z cytatami zaczerpniętymi z twórczości A. Labudy ks. Stanisław Bach. Następnie zebrani udali się do biblioteki. Uroczystego nadania imienia dokonał wójt Dariusz Rataczak, a tekst uchwały Gminy Wejherowo odczytał przewodniczący Rady Edmund Potrykus.

Na uroczystości obecna była wdowa po Aleksandrze Labudzie, Jadwiga. Ona to, wspólnie z wójtem gminy, odsłoniła portret swego męża, zawieszony w budynku biblioteki.

Życie i twórczość A. Labudy przedstawił prof. dr hab. Jerzy Samp. Jedną z córek patrona, Bogusława, opowiedziała dwie ciekawe historyjki z życia rodzinnego. Druga córka – Jaromira, prywatnie już przypominała, że po raz pierwszy uhonorowano jej ojca w Szemudzie, nazywając jego imieniem ulicę.

Uzupełnieniem niejako wykładu J. Samy była wystawa, na którą złożyły się publikacje książkowe i prasowe oraz fotografie Aleksandra Labudy. Ekspozycję przygotował Edmund Kamiński, autor książki za-

tytułowanej „Guczków Mack czyli Aleksander Labuda”, wydanej ostatnio przez oficynę „Czec”.

Na zakończenie uroczystości wystąpili dzieci ze Szkoły Podstawowej w Gościńcu z programem artystycznym, opartym na twórczości bohatera imprezy.

EEP

Pamięci ks. Wryczy

W święto odzyskania niepodległości odbyła się w Zblewie niecodzienna uroczystość – odsłonięto tablicę upamiętniającą miejsce urodzenia ks. ppłk. Józefa Wryczy.

Ks. Józef Wrycza urodził się 4.2.1884 r. w Zblewie. Tutaj ukończył Katolicką Szkołę Powszechną, skąd otrzymał skierowanie do Collegium Marianum w Pelplinie. Tu też studiował w Seminarium Duchownym. W 1908 roku wyświęcony został na kapłana. Był wikariuszem w kilku parafiach, w tym w Chełmży, w której zasłynął w 1919 r. jako organizator powstania przeciwniemieckiego. Aresztowany i skazany na karę śmierci wybroniony został przez parafian. W początkach 1920 r. wraz z wojskiem polskim, gorąco witany, przywracał Polsce ziemię pomorską. 10 lutego 1920 r. przy boku generała Józefa Hallera brał udział w Pucku w Zaślubinach Polski z Morzem. Jako proboszcz 16 Dywizji Piechoty, w której skład wchodził m.in. 65 Pułk Piechoty Starogardzkiej, brał udział w wojnie bolszewickiej 1920 roku, niejednokrotnie towarzysząc żołnierzom na najbardziej niebezpiecznych stanowiskach bojowych. Za udział w tych walkach wyróżniony został Krzyżem Walecznych. W latach 1924-39 był proboszczem we wsi Wiele na Kaszubach. Tam ukończył nie tylko budowę Kalwarii, ale wzbogacił też wieś o nowe organizacje społeczno-kulturalne, jak: Bank Ludowy, biblioteka, świetlica, boisko z kąpieliskiem. W czasie II wojny światowej był współtwórcą „Gryfa Pomorskiego”. Dzięki pomocy swoich parafian i znajomych, którzy z narażeniem życia ukrywali go, przeżył okupację hitlerowską. Po wyzwoleniu, w marcu 1945 r. ks. Wrycza powrócił do Wiele, gdzie spotkał się z serdecznym przyjęciem parafian. Jako proboszcz tej parafii przystąpił do odbudowy Wiele ze zniszczeń. Władze radzieckie i polskie przeniosły go do Tucholi. Zmarł tam 4.12.1961 r. Jego pogrzeb stał się manifestacją mieszkańców Tucholi i okolic.

Był kapłanem – symbolem. Legendą w walce o wolność tej ziemi, przez wielu tytułowany „Kmicicem Borów Tucholskich” i „Generałem”. Nosił wojenny pseudonim „Rawycz”.

Inicjatywę odsłonięcia tablicy pamiątkowej podjął Oddział Kociewski Zrzeszenia przy wydatnej pomocy Rady Gminy i społeczeństwa Zblewa. Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej miała podniosły charakter. Obecni byli: ks. biskup dr Piotr

Krupa, wicewojewoda gdański prof. dr hab. Józef Borzyszkowski, poseł ziemi gdańskiej Krzysztof Trawicki, przedstawiciele władz wojskowych, samorządowych i administracyjnych oraz licznie zgromadzona rodzina ks. Wryczy i mieszkańcy Zblewa.

Tablica została umieszczona na murze kościoła parafialnego w Zblewie. Przewodniczący Rady Gminy Bernard Damaszk powitał przybyłych i poprosił o odsłonięcie tablicy. Aktu tego dokonali: ks. kanonik Zdzisław Benedict, K. Trawicki, B. Damaszk i członkowie rodziny: Stanisław Wrycza i Aleksandra Zdrojewska. Podczas aktu odsłonięcia Maria Prondzińska z bytowskiego Oddziału ZKP odczytała nadesłany przez Erwina Karczewskiego z Niemiec „ostatni meldunek”:

„Panie Pułkowniku
ja Twój żołnierz – zwiadowca, st. sierż.
„Jurek” z oddz. kpt. „Jastrzębca” składam
Ci ostatni meldunek.

– Ja jeszcze żyję!

– Każdy Twój rozkaz sumiennie wykonałem, niczego nie zapominałem. Zawsze pamiętałem, że życie dali mi rodzice, Ojczyzna wiara, Ty kapelan – pułkowniku wszystko inne dałeś mi. Wskazałeś drogę prostą, którą szedłem i dalej idę przez życie. Nauczyłeś mnie kochać ludzi, Naród... Ojczyznę... Nakazałeś mi zapomnieć zło, w sercu nosić nadzieję, ...krzywdy wybaczać. Rozkazałeś mi, ...szanować czyjeś życie ...nie oszczędzać własnego w imię świętej sprawy... Byłeś i jesteś dla mnie Przewodnikiem przez mój, pełen niebezpieczeństw, żywot” (...)

Tablicę poświęcił biskup dr Piotr Krupa, który odprawił też koncelebrowaną mszę św. i wygłosił homilię. Po mszy św. odbyła się uroczysta sesja Rady Gminy. Okolicznościowe referaty wygłosili: prof. J. Borzyszkowski – „Inteligencja a powrót Pomorza do Polski” oraz dr Józef Milewski – „Ks. ppłk. Józef Wrycza – »Rawycz«”.

Zespół muzyczny „Cały Twój” z Borzechowa pod kierunkiem Adama Benkowskiego oraz młodzież miejscowej szkoły podstawowej pod kierunkiem Zbigniewa Bruskiego przygotowali program artystyczny, organizatorzy zaś wystawę pamiątek po ks. Wryczy.

Oddział Kociewski Zrzeszenia w Zblewie, Towarzystwo Miłośników Ziemi Kociewskiej w Starogardzie Gdańskim i Agencja „Art-Styl” w Zblewie wydali publikację pt. „Ks. kanonik ppłk. Józef Wrycza »Rawycz«”.

Bernard Damaszk

O Mazurach w Gdańsku i Olsztynie

Z inicjatywy redakcji „Pomeranii” 13. 11. 1995 r. w Klubie „Mestwin” w Domu Kaszubskim w Gdańsku odbyło się spotkanie poświęcone historii i kulturze Mazurów, istocie mazurskości. Gośćmi spotkania by-

li Erwin Kruk, Mazur, poeta i pisarz z Olsztyna oraz prof. Andrzej Sakson, socjolog z Instytutu Zachodniego w Poznaniu, autor książki „Mazurzy – społeczność pogranicza”. Prowadzący spotkanie Cezary Obracht-Prondzyński, redaktor naczelny „Pomeranii” wyjaśnił zebranym, że do rozmowy o społeczności mazurskiej zainspirował październikowy numer naszego miesięcznika, w znaczącej części poświęcony Mazurom i zredagowany z pomocą ludzi tego regionu. Wyraził nadzieję, że również inne tematy, pojawiające się na łamach „Pomeranii” zawołują kolejnymi spotkaniami.

Erwin Kruk mówił o historii „długiego umierania” społeczności mazurskiej. Dla losów tej grupy zębna okazała się, do dziś żywa presja, aby jej członkowie określali się według dziewiętnastowiecznych kryteriów przynależności narodowej. Dzisiejsi mieszkańcy Mazur nie tworzą społeczności, to nadal zbiorowiska różnych grup. Mimo wszystko mazurski pisarz wierzy, że powstanie nowy szczep mazurski, identyfikujący się z tą ziemią, czerpiący z dziedzictwa pokoleń.

Prof. Andrzej Sakson opisał wieloletni proces dezintegracji Mazurów, rozkładu więzi społecznych. Nieliczna już rdzenna ludność Mazur w dużej mierze opowiada się dziś za niemieckością. Co prawda zahamowany został proces emigracji do Niemiec, głównie za sprawą nowej polityki tego kraju, ale nasiliły się nowe zjawiska – wyjazdy sezonowe za Odrę, powstawanie i uaktywnianie się stowarzyszeń mniejszości niemieckiej.

W dyskusji głos zabrali m.in. Olgierd Sochacki, Edmund Puzdrowski, Józef Borzyszkowski, Tadeusz Jabłoński. Wyłonił się interesujący wątek licznych więzów mazursko-kaszubskich. Mówiono o Mazurze Krzysztofie Celestynie Mrongowiuszu, twórcy pierwszych słowników kaszubskich, naszym pociecie Hieronimie Jaroszu Derdowskim, kształcącym się w gimnazjum w Olsztynku, etnografie i historyku Wojciechu Kętrzyńskim, badaczu dziejów Pomorza, Warmii i Mazur, którego przodkowie wywodzili się z Kaszub, z ziemi kartuskiej. Dyskutanci podkreślali, że inteligencja mazurska, inaczej niż na Kaszubach, nie potrafiła zorganizować się i nakreślić wizji regionalnego rozwoju. Szansą dla Mazurów i Mazur, mówiono, jest obecny rozwój samorządności i demokracji lokalnej, a także próba rozbudzenia nowej świadomości regionalnej, opierającej się na tolerancji wobec różnych kultur, religii, języków.

Dwa dni później spotkanie z autorami mazurskiego numeru „Pomeranii” odbyło się w Domu Polskim w Olsztynie, zorganizowane przez Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego oraz Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie i redakcję „Pomeranii”. Przybyli olsztyńscy dziennikarze, ludzie nauki i kultury. Spotkanie prowadzili Erwin Kruk, Andrzej Sakson i Stanisław Janke z „Pomeranii”.



Fot. fot. Leonard Szmaglik

Edmund Puzdrowski

W Olsztynie dyskusja stała się okazją do refleksji nad kondycją środowiska miejscowych regionalistów. Zdeintegrowana, wielokulturowa społeczność, podkreślali niektórzy dyskutanci, może oprzeć się na mazurskości, jako podstawie do budowania nowej tożsamości. W rodzącym się obecnie dialogu kultur właśnie mazurskość może odegrać rolę spoiwa. Mówiono także o potrzebie, powołując się na przykład „Pomeranii”, stworzenia na Mazurach pisma społeczno-kulturalnego, które mogłoby też integrować rozproszone środowisko miłośników regionu, inteligencję mazurską.

Oba spotkania, w Gdańsku i Olsztynie, zachęcają do podejmowania współpracy środowisk regionalistów, wymiany doświadczeń, poszukiwania powiązań, wzbogacających oba środowiska i ogólnokrajowy ruch regionalny.

j.l.

Kociewska sztuka ludowa w Muzeum Wisły w Tczewie

Wydarzeniem kulturalnym w Tczewie stało się otwarcie 19 października ub. r. w Muzeum Wisły wystawy „Kociewska sztuka ludowa”, którą przygotowano w ramach programu I Kongresu Kociewskiego. Otwarcie uświetnił koncert uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Tczewie.

Na wystawie najliczniej reprezentowana jest rzeźba z elementami plastyki obrzędowej, z wyróżniającymi się dziełami najwybitniejszych twórców Kociewia: Stanisława Rekowski (1895-1984), Jana Giełdona (1938-1992), Alojzego Stawowego, Alfonsa Paschilke, Zygmunta Bukowskiego, czy Edmunda Zielińskiego.

Osobne piętra mają rzeźby Alfonsa Paschilke za Smętowa Granicznego, m.in. „Pięta”, „Zaśnięcie Matki Boskiej”, „Myśliwy”, „Dwie kozy”, „Rzeźnik i świnię” i jego



Erwin Kruk

wzruszające płaskorzeźby: „Kuchnia wiejska”, „Odpoczynek” czy „Śmierć matki”; osobne Zygmunta Bukowskiego z Mieroszyna. Te, wyrugane w drzewie, np. „Szopka”, „Krzyż”, „Madonna z dzieckiem”, czy „Św. Maria Magdalena” czy płaskorzeźby „Mleczarz” i „Zakończenie żniw”, i te, wykute w kamieniu.

Niezwykłe w swojej wymowie są ptaszki Jana Giełdona – „kociewskiego ptasznika”, a także rzeźby Edmunda Zielińskiego z Gdańska – „Krzyż”, „Święty Franciszek”, „Konik”, Stanisława Rekowski z Więckowych „Paw” i „Wyrób masła”, Alojzego Stawowego z Bietowa „Rodzina Kopernika”, Alojzego Dmochewicza „Zwiastowanie”, Jana Szoski „Uczta” czy płaskorzeźba „Ostatnia Wieczerza” Zygmunta Mastalerza. Zbiory swojej rzeźby pokazali także Michał Lniski, Wojciech Prill, Jakub Sobczak, Marek Flis i Jerzy Makowski. Różnorodność rzeźb J. Makowskiego i ich barwa świadczy o możliwościach tego twórcy. Można uwagę przyciągnęła jego „Matka Boska Subkowska z krzyżem” oraz księga drzeworytów, a także rzeźba ryby. Kolekcję Jerzego Makowskiego zamyka artystyczny komplet mebli. Kolekcję rzeźby na wystawie uzupełniono przedmiotami codziennego użytku: foremkami do masła, laskami, solnicą, maglownicą, masielnicą itp. i kaponką czyli nieką do ciasta.

Z rzeźbą ludową doskonale harmonizują wyroby kowalskie Andrzeja Staskowiaka z Tczewa. Niestety, ta dziedzina twórczości zanika. A przecież na Kociewiu kowalstwo było niezwykle bogate, a kuźnie działały prawie w każdej wiosce.

Malarstwo reprezentowane jest w postaci barwnego ornamentu roślinno-kwiatowego i motywami geometrycznymi na skrzyni wianowej i obrazów na szkle znanego, wielokrotnie nagradzanego na różnych wystawach i konkursach twórcy – Wojciecha Leśńskiego.

Haft kociewski szczególnie bogato reprezentują prace Marii Wespowej, kontynuującej morzeszczyńską, zrekonstruowaną szkołę.

Małgorzata Garnyszewska pokazała z kolei, jak wyglądała pączęwska szkoła haftu. Obok tych dwóch uznanych hafciarek swoje prace pokazały: Alfreda Nawrocka, Jadwiga Jaros i Stefania Marczak.

Folklor muzyczny reprezentują symbolicznie autentyczne ludowe instrumenty muzyczne: bazuna, diabelskie skrzypce i burczybas. Wystawę zamyka kociewski strój kobiety z XIX wieku.

Niejako przedłużeniem tej wystawy jest ekspozycja poświęcona niezwykle utalentowanej rodzinie twórców kociewskich: Marii, Janowi, Zbigniewowi i Romanowi Wespom.

Łącznie na wystawie „Kociewska sztuka ludowa” zgromadzono 229 eksponatów. Można powiedzieć, że tak bogatej kociewskiej sztuki ludowej w sensie ilościowym w tczewskim środowisku dotychczas nie było.

Większość eksponatów udostępniło Muzeum Ziemi Kociewskiej w Starogardzie Gdańskim, a także poszczególne twórcy oraz Oddział Etnografii Muzeum Narodowego w Gdańsku.

Roman Klim

Wystawa kaszubskiej sztuki ludowej

16 października w Oliwskim Pałacu Opatów otwarto wystawę pod nazwą „Współczesna sztuka ludowa Kaszub”, którą wcześniej pokazano w Bydgoszczy. Jest ona plonem czwartego międzywojewódzkiego konkursu obejmującego całe Kaszuby. Wpłynęło nań 780 prac od 159 artystów. Na pokonkursowej wystawie znalazło się 490 eksponatów, wykonanych przez 141 twórców. Są wśród nich dzieła artystów znanych od lat miłośnikom sztuki ludowej, jak Izajasz Rzepy z Redy, Józefa Chełmowskiego z Brus, Piotra Saksona z Ustki czy Henryka Petke z Sierakowic. Jednakże jury zauważyło także wielu młodych uzdolnionych twórców, m.in. Czesława Birra z Mściszewiczy 16-letnią Marzenę Muzolf z Kęsowa.

Komisarzem wystawy w Gdańsku była Krystyna Szałańska.

Ekspozycja „Współczesna sztuka ludowa Kaszub” czynna była do końca listopada. Towarzyszy jej katalog „Sztuka ludowa Kaszubów. Przeszłość i teraźniejszość”, w którym omówiono różne dziedziny kaszubskiej sztuki i rękodzieła ludowego.

EEP

Zanim powstanie monografia

W Wejherowie, z inicjatywy Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, 14 listopada odbyła się sesja, poświęcona powstającej monografii Wej-

herowa. Referaty wygłosili autorzy rodzącej się książki, która sfinansowana zostanie przez miejscowy samorząd.

Józef Borzyszkowski w swoim referacie dotyczącym terytorium naukowych poszukiwań, opowiedział się za monografią samego miasta, z jego nieodłącznym elementem, jakim jest Kalwaria Wejherowska. Zaproponował, by miasto opisane zostało jako ośrodek władzy oraz centrum gospodarcze, religijne, edukacyjne i kulturalne z ludźmi, którzy decydowali o kształcie i dziejach Wejherowa.

Klemens Bruski przedstawił mało znaną historię rodu Wejherów sprzed założenia miasta. Ród ten, pochodzący z Frankonii i związany z mieszczaństwem Lubeki, odgrywał w okresie przedwejherowskim ważną rolę w Łebie i pobliskiej wsi Gęs i miał też znaczące wpływy na ziemi człuchowskiej.

Bogusław Breza, dyrektor muzeum, gospodarz sesji, mówił o Dworze Przebendowskich jako ośrodku edukacji i nauki. Największe zasługi na tym polu położyli Jakub Wejher i kolejni właściciele pałacu – Przebendowscy i Keyserlingowie. Od 1990 roku, po kilkunastu latach starań, pałac jest siedzibą muzeum. Wejherowska placówka muzealna, jedyna w swoim rodzaju, już jest miejscem licznych inicjatyw kulturotwórczych. Dyrektor wyraził nadzieję, że muzeum w niedalekiej przyszłości przekształci się w Kaszubski Instytut Naukowy.

Cezary Obracht-Prondzyński, przygotowujący powojenne dzieje miasta, przedstawił uwarunkowania rozwoju Wejherowa po 1945 roku. Wśród ważniejszych zagadnień, które powinny znaleźć się w przyszłym opracowaniu wymienił m.in. stosunki etniczne i wyznaniowe, sprawy gospodarcze, rozwój przestrzenny miasta, jego związek z Trójmiastem, obecność kaszubszczyzny.

Zarówno wypowiedzi referentów, jak i szczegółowe uwagi oraz postulaty dyskusantów zostały zarejestrowane przez pracowników muzeum. Zapis ten posłuży jako materiał pomocniczy do pracy nad ostatecznym kształtem monografii. Książka ma się ukazać na wiosnę 1996 roku.

s.j.

Ostatni pilot wodnopłatowiec

Już w 1911 roku Niemcy założyli w Pucku lotniczą stację badawczą. Podczas I wojny światowej miasto nad Zatoką Pucką było jedną z czterech baz niemieckiego lotnictwa morskiego. W lutym 1920 obiekty niemieckiego lotnictwa zajęło wojsko gen. Józefa Hallera. Pięć miesięcy później powstała tam polska Baza Lotnictwa Morskiego. W 1923 roku baza została przemianowana na Samodzielny Morski Dywizjon Lotniczy.

Początki formowania się dywizjonu pamięta 94-letni Franciszek Szatkowski, ostatni pilot morskiej placówki w Pucku. Pochodzi ze wsi Jani Góra koło Świecia nad Wis-



Fot. S. Janke

Franciszek Szatkowski

łą. W młodości pracował z rodzicami na gospodarstwie rolnym. W kwietniu 1922 roku został powołany do batalionu balonowego w Toruniu. Po dwóch latach służby zasadniczej pozostał w wojsku jako ochotnik.

- Do Pucka w 1924 roku skierowano mnie najpierw jako instruktora piechoty – wspomina Franciszek Szatkowski. – Półtora roku później zostałem przeniesiony do kancelarii dywizyjowej. W 1928 roku, już jako sierżant, otrzymałem funkcję szefa eskadry szkolnej. Ukończyłem półroczny kurs strzelania i bombardowania w Grudziądzu, a następnie pilotażu w Szkole Podoficerów Pilotów Lotnictwa w Bydgoszczy.

Tworzenie dywizjonu było bardzo trudne. Polacy uczyli się od mechaników niemieckich, pracujących jeszcze na lotnisku. Dywizjonowe wodnopłatowce należały do maszyn starego typu, były to francuskie LeOH-y lub niemieckie Schrecki. Z powodu złego stanu technicznego na początku lat trzydziestych co roku w katastrofach hydroplanów ginęło kilku pilotów.

- Pod koniec lipca 1931 roku – mówi emerytowany pilot – wystartowałem do kolejnego, rutynowego lotu ćwiczebnego. Niedługo po starcie z Zatoki Puckiej przestał pracować jeden silnik. Wkrótce nad Swarzewem drugi motor zaczął tracić obroty. Chciałem wykonać wiraż, by dostać się nad zatokę. Nad drogą między Swarzewem a Puckiem zawadziłem o gałęzie drzewa i przewody telefoniczne. Runąłem na ziemię, ale dzięki tej przeszkodzie, z mniejszą siłą. Ocalałem, ale miałem bardzo skomplikowane złamanie nogi.

Po długotrwałym leczeniu i wielu operacjach odzyskał tylko częściową sprawność. W kwietniu 1933 roku z powodu inwalidztwa został przeniesiony na rentę. Podczas wojny, by utrzymać rodzinę, podjął pracę palacza w puckim szpitalu, później pracował w przyszpitalnym gospodarstwie rolnym. W latach stalinowskich odebrano mu rentę wojсковą. Od tego czasu aż do lat siedemdziesiątych pracował w Gminnej Spółdzielni

„Samopomoc Chłopska” w Pucku. W 1979 roku, po decyzji Sądu Najwyższego, odzyskał rentę wojskową. W wieku 90 lat otrzymał stopień porucznika rezerwy.

We wrześniu 1939 roku hitlerowcy zbombardowali bazę dywizjonu i zniszczyli wszystkie hydroplany. W pierwszym wrześniowym ataku na lotnisko zginęło kilku żołnierzy dywizjonu, z komandorem Edwardem Szyrowskim. Dywizjon przestał istnieć. Do dziś jednak na terenie Puckich Zakładów Mechanicznych zachowały się obiekty dwóch hangarów, dyżurki pilotów, fragmenty falochronu i dźwigu, który służył do stawiania hydroplanów na wodzie. s.j.

Krzyż Komandorski dla ks. prałata Hilarego Jastaka

O odznaczenie ks. prałata Hilarego Jastaka Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski zwróciło się do prezydenta RP Lecha Wałęsy aż osiem organizacji społecznych, w tym Oddział Gdyniński ZKP i prezydent Gdyni Franciszka Cegielska.

Uroczystość nadania tego wysokiego odznaczenia państwowego odbyła się w niedzielę 12 listopada ub. r. w kościele Najświętszego Serca Jezusowego w Gdyni. Do świątyni, która nieodłącznie wiąże się z wieloletnią pracą duszpasterską prałata, licznie przybyli gdynianie, przedstawiciele organizacji społecznych i związków zawodowych z całego Pomorza. Z wielu pocztów sztandarowych aż dziewięć należało do ZKP. Nieobecny z powodu zajęć związanych z kampanią wyborczą prezydenta RP reprezentował wojewoda gdański Maciej Płażyński i żona prezydenta Danuta Wałęsowa.

Uroczystość rozpoczęła się mszą św. koncelebrowaną przez arcybiskupa gdańskiego Tadeusza Gocłowskiego. Metropolita w homilii podkreślił zasługi księdza prałata w kształtowaniu obywatelskich, patriotycznych podstaw społeczeństwa, w budowaniu ładu moralnego w okresie komunistycznego zniewolenia. Podczas mszy św. nie zabrakło kaszubskich akcentów. Jedną z intencji modlitwy wiernych wygłoszona została po kaszubsku, a zespół dziewczęcy zaśpiewał „Kaszëbską Królewą” ze słowami i muzyką Jana Trepczyka.

Podczas aktu wręczenia orderu prezydent Gdyni Franciszka Cegielska w spontanicznym przemówieniu powiedziała, że wszystko co gdynińskie, kaszubskie, polskie jest dziełem i treścią życia księdza prałata. Z kolei w odczytaniu przez wojewodę Macieja Płażyńskiego liście prezydenta RP znalazły się słowa uznania za kaszubską niezłomność ks. Jastaka oraz za wielkie przywiązanie i miłość do ziemi kaszubskiej. W czasie uroczystości co chwilę rozlegały się brawa na cześć gdynińskiego prałata, które po



Fot. Ryszard Hinc

Leon Bieszke z Eugeniuszem Pryczkowskim w trakcie otwarcia wystawy

akcie wręczenia orderu przez wojewodę przeszedł w gorącą owację.

Ksiądz Jastak dziękując za zaszczytne wyróżnienie powiedział, że traktuje je jako wyraz uznania dla całej społeczności gdynian i Kaszubów, do których, jak się wyraził, „Pan Bóg mnie posłał i pozwolił służyć przez dziesiątki lat”. Powiedział również, że głównym hasłem jego duszpasterskiej posługi były słowa poety Hieronima Jarosza Derdowskiego: „Më trzimómë z Bogem”.

Miesiąc wcześniej ukazała się druga część książki Krzysztofa Wójcickiego „Rozmowy z księdzem Hilarem Jastakiem”. Publikacja zawiera wiele informacji i refleksji o kaszubskiej działalności prałata. Jego plebania z izbą kaszubską, z cennymi pamiątkami i rękodzielnicami stanowiła ważne ognisko podtrzymywania kaszubskości, krzewienia wiedzy o naszych rodzimych autorytetach, symbolach, twórczych osiągnięciach.

Od początku lat dziewięćdziesiątych „Król Kaszubów”, jak się dość powszechnie nazywa księdza prałata, jest głęboko zaangażowany w działalność założonej przez siebie Fundacji Pomocy Stypendialnej. Fundacja wspiera uzdolnionych młodych ludzi z Gdyni, Kościerzyny oraz całych Kaszub i Pomorza, uczących się w szkołach średnich i studiujących na uczelniach. Stypendyści księdza Jastaka zaczynają już odgrywać znaczącą rolę w wielu sferach życia publicznego w naszym regionie. s.j.

Wystawa obrazów twórcy z Rumi

10 listopada ub. r. w Gdańskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuki otwarto wystawę obrazów Leona Bieszke z Rumi; autora kilkunastu wystaw w kraju i trzech za granicą: w Niemczech i w Szwecji.

Leon Bieszke na swoich obrazach utrwalą ginający kaszubski świat; piękne pola i ludzi na nich pracujących, lasy, chaty kryte strzechą.

Chciałby jeszcze namalować cykl obrazów utrwalających stare, przydrożne krzyże i kapliczki. Najwięcej jest ich jeszcze na Gochach.

Komisarz wystawy Ryszard Kul i krytyk sztuki Adam Pawlak mówili o bogatej kolorystyce obrazów, podkreślali, że malarstwo, choć amatorskie, jest piękne, oddające urok regionu - jego krajobraz i charakterystyczne cechy kulturowe. EEP

150-lecie urodzin ks. Stanisława Kujota

Z inicjatywy Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Tucholi oraz Rady Sołectkiej w Kiepinie 11 listopada odbyła się uroczysta sesja popularnonaukowa z okazji 150-lecia urodzin historyka, znawcy dziejów Pomorza ks. Stanisława Kujota. Sesję zorganizowano w Domu Strażaka w Kiepinie. Rolę gospodarzy uroczystości pełnili prezes tucholskiego Zrzeszenia Franciszek Wegner i kiepiński sołtys Mieczysław Nieżurawski. Na spotkanie bardzo licznie przybyli mieszkańcy wsi oraz okolicznych miejscowości. Nieprzypadkowo uczczenie pamięci ks. S. Kujota zbiegło się ze Świętem Niepodległości. Cała bowiem naukowa i społecznikowska działalność pomorskiego duchownego wiązała się z ideą narodowego odrodzenia. Niepodległościowy patriotyczny watek miał też program artystyczny, który zaprezentowały dzieci z miejscowej szkoły przed rozpoczęciem sesji.

O życiu i działalności naukowej ks. Stanisława Kujota mówił prof. Kazimierz Jasiński z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

w Toruniu. Profesor, mówiąc o domu rodzinnym S. Kujota przypominał, że przyszły historyk przyszedł na świat w dniu św. Stanisława Kostki 13 listopada roku 1845 w szkole w Kiełpinie. Był to prawdopodobnie drewniany dom, który zastąpiony został przez późniejszy budynek, tzw. starej szkoły. Ojciec, Piotr, był nauczycielem; do dziś istnieje po nim pamiątka – bożemka, przydrożny krzyż wzniesiony przez niego w 1863 roku w holdzie powstańcom styczniowym.

Po ukończeniu szkoły powszechnej w Kiełpinie Stanisław Kujot uczęszczał do gimnazjum w Chojnicach, natomiast maturę uzyskał w gimnazjum w Chełmnie. Studiował teologię w Seminarium Duchownym w Pelplinie, historię w Berlinie oraz filologię i filozofię w Monasterze. W 1872 został wykładowcą historii powszechnej i literatury polskiej w Collegium Marianum w Pelplinie. Pracę tę łączył z działalnością społeczną, udzielając się m.in. w Towarzystwie Pomocy Naukowej i Bibliotece Polskiej Obywatelskiej Ziemi Pomorskiej, propagując czytelnictwo polskojęzycznych książek.

Zaawansowana gruźlica, z którą zmagał się przez całe niemalże życie, była powodem przeniesienia go w 1893 roku na probostwo do Grzybna, małej parafii na ziemi chełmińskiej. Właśnie w Grzybnie powstała większość jego prac naukowych i stamtąd kierował, w dużej mierze korespondencyjnie, Towarzystwem Naukowym w Toruniu.

Do ważniejszych prac historycznych ks. Stanisława Kujota zalicza się „Opactwo pelplińskie”, „Dzieje Prus Królewskich”, „Rok 1410. Wojna”. Jest też autorem licznych przyczynków i rozpraw, m.in. „Margrabowie brandenburscy w dziejach Pomorza za księcia Mestwina II”, „Czternasty listopada 1308 r. w Pomorzu Gdańskim”. Ks. Kujot interesował się historią duchowieństwa i Kościoła na Pomorzu, zajmował się też problematyką wojskowości i językoznawstwem; niektóre z jego artykułów dotyczyły gwary borowiackiej, rodzimej mowy, którą poznał w Kiełpinie.

Proboszcz z Grzybna w istocie przyczynił się do podniesienia prestiżu Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Należał doń od 1875 roku, czyli od początku jego istnienia. Pełniąc w latach 1897–1914 funkcję prezesa towarzystwa, doprowadził do uregulowania kwestii finansowych, rozwinął działalność wydawniczą, przyczynił się do edycji pierwszych tomów „Fontes”, cennych publikacji źródłowych oraz przyczynkarskiego periodyku „Zapiski”. Działalność także aktywnie w Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie oraz Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu. W 1900 roku otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Stanisław Kujot dał się też poznać jako autor książek przeznaczonych dla szerokich kręgów czytelniczych. Działalność tę, jak mówił podczas sesji Władysław Grochowski z Tucholi, traktował jako misję służącą narodowemu odrodzeniu w okresie zaboru pruskiego. Twórczość pisarska w języku

polskim była jego orężem walki z germanizacją. Do najbardziej znanych utworów ks. Stanisława Kujota należą powieści historyczne: „Głowa św. Barbary”, „Pierwsze nawrócenie Prusaków”, dramat „Ojciec Grzegorz czyli obrona Pucka 1655/56”. Napisał również powieść „Kręte drogi czyli historia młodzieńca zbłąkanego”, utwór obyczajowo-moralizatorski z wątkami autobiograficznymi.

W ostatnich latach życia choroba przykuła go do łóżka, stracił głos. Zadziwiające, że w tym okresie powstały najważniejsze jego prace historyczne, że prowadził rozległą korespondencję naukową, nadal też troszczył się o sprawy parafii. Zmarł 5 grudnia 1914 roku w wieku 69 lat.

Gospodarna, dobrze zorganizowana społeczność borowiackiego Kiełpina zamierza w przyszłym roku ufundować swojemu wybitnemu rodakowi tablicę pamiątkową. Pamięć kiełpinian o pomorskim dziejopisarzu z przełomu wieków zasługuje na słowa uznania.

s.j.

Echa wojny we Wdzydzach

Tegoroczne XXIII Kaszubsko-Pomorskie Spotkania Wdzydzkie poświęcone były echem konfliktów zbrojnych, w tym II wojny światowej, w twórczości pisarzy kaszubskich. Kanwą do dyskusji był esej prof. Jerzego Sampa „Nurt wojenny w twórczości pisarzy kaszubskich”. Autor podjął w nim próbę podsumowania wątków wojennych występujących zarówno w literaturze kaszubskiej, jak też w twórczości pisarzy polskojęzycznych, utożsamiających się z kaszubszczyzną.

Zdaniem J. Sampa można mówić o nurcie wojennym w twórczości pisarzy kaszubskich. Tematyka ta najbardziej zajmowała literatów, którzy głęboko doświadczyli wojny, m.in. Jana Rompskiego, Józefa Ceynowy, Alojzego Nagla. Są to jednak utwory przeciętne, przedstawiające ludzkie tragedie w sposób szablonowy, z piętnem propagandy okresu PRL. Ze względu na cenzurę i autocenzurę kaszubszy pisarze unikali takich kontrowersyjnych tematów, jak sprawa volkslisty, konfidentów, wkroczenie Armii Czerwonej na Pomorze, wywózki na Syberię.

Najwięcej śladów artyzmu, oryginalności, można znaleźć w twórczości poetyckiej. Kaszubszy poeci na ogół przedstawiają wojenną tragedię słowami pełnymi dynamizmu i prostoty, metaforami odnoszącymi się do świata rodzimej mitologii. Częstokroć też ważnym tłem jest przyroda, jako milczący świadek kaźni czy też jako personifikacja grozy. Nie da się jednak zaprzeczyć, że nurt wojenny w kaszubskiej poezji wynikał nie tyle z wewnętrznych inspiracji autorów, co z ówczesnego społecznego zapotrzebowania. Ogólny obraz wojny nakreślony przez

kaszubskich pisarzy, mówili dyskutanci, znacznie odbiega od faktycznego wizerunku, najpełniej przedstawianego w ustnych przekazach, rodzinnych, sąsiedzkich rozmowach.

Na zakończenie uczestnicy spotkań zwiedzili Kaszubski Park Etnograficzny oraz uczestniczyli w mszy św. z kaszubską liturgią słowa, którą w zabytkowym kościele w skansenie odprawił ks. Jacek Dawidowski. Tegoroczne spotkania pozbawione były tradycyjnej atmosfery, wypływającej m.in. z towarzyskich rozmów, spacerów, na co pozwalały spotkania dwudniowe. Należałoby więc powrócić, mimo że wiąże się to ze zwiększonymi kosztami, do formuły dwudniowych spotkań. Niemniej organizatorom należy się słowa podziękowania, że za sprawą ich starań i zabiegów wciąż jeszcze spotkania we Wdzydzach mogą się odbywać. Zwyczajowo już spotkania organizują Oddział Kościński i Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego oraz urzędy gminy i miasta w Kościerzynie.

s.j.

Spotkanie wójtów w Chmielnie

Od 15 do 17 listopada w Chmielnie gościli wójtowie 14 gmin z różnych regionów Polski. Przyjechali, by zapoznać się z chmielńskimi doświadczeniami w dziedzinie agroturystyki.

„Odwiedzić Chmielno – czytamy w przygotowanym w gminie raporcie z rozwoju agroturystyki – to znaczy przeżyć niezapomnianą przygodę turystyczną, ponieważ wszystkiego jest tu pod dostatkiem: pięknych krajobrazów, czystego powietrza, jezior, lasów i ryb oraz legend, kaszubskiej ceramiki, a także zdrowej żywności i prawdziwej kaszubskiej gościnności”.



Kościół w Chmielnie

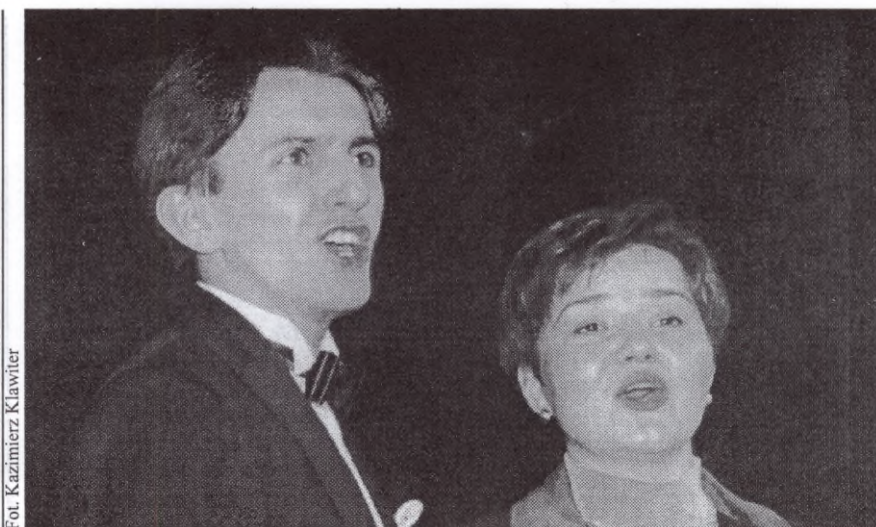
Tradycje Chmielna jako letniska sięgają niemal 100 lat. Jednak najwięcej dla rozwoju turystyki zrobiono tu w ostatnich trzech latach. Dzięki współpracy z Ministerstwem Rolnictwa Niemiec, w domach niektórych gospodarzy przygotowane zostały wakacyjne mieszkania o wysokim standardzie dla gości krajowych i zagranicznych. Gospodarze uczestniczyli także w szkoleniu z zakresu kalkulacji kosztów, sporządzania materiałów reklamowych, urządzania przydomowej zieleni oraz wyposażenia mieszkań i obsługi gości, które przeprowadziła niemiecka firma consultingowa „Kombi”. Już w roku 1993 z oferty chmielan skorzystało 200 gości z Polski i Niemiec. Rolnicy zachęcani przykładem i sukcesem swoich sąsiadów, uświadomili sobie, że agroturyzm przy nieurodzajnej ziemi jest szansą na dodatkowe źródło dochodów. W efekcie w sezonie '94 z gościnności kaszubskich gospodarzy w Chmielnie skorzystało 1200 turystów z kraju i zagranicy.

By lepiej promować walory turystyczne gminy, a jednocześnie dobrze koordynować wszystkie związane z tą dziedziną gospodarki przedsięwzięcia, powstało w Chmielnie Stowarzyszenie Ruchu Turystycznego oraz Punkt Informacji Turystycznej. Gmina bierze również czynny udział w pracach Kaszubskich Konferencji Turystycznych. Rolnicy z Chmielna byli na Międzynarodowych Agroturystycznych Targach m.in. w Berlinie, Gdańsku i Poznaniu. Opracowano też specjalny projekt – „Wakacje u rolnika”. W rezultacie, latem 95 roku przebywało w Chmielnie blisko 4,5 tysiąca turystów, którzy mogli skorzystać z kuchni gminnej, proponującej kaszubskie potrawy regionalne.

Trzydniowe spotkanie samorządowców służyło wymianie doświadczeń w dziedzinie agroturystyki. Antoni Czaja, przewodniczący Rady Gminy, powiedział, że ważne jest, by ci, którzy chcą rozwijać agroturyzm, nie zniechęcali się. Jest to niezły interes, w który jednak najpierw trzeba zainwestować pieniądze, mieć pomysły, nowatorskie rozwiązania, a szczególnie chęć do pracy.

Goście, zakwaterowani w mieszkaniach przygotowanych dla letników, mogli podpatrzeć proponowane rozwiązania, zapoznali się także z działalnością Biura Informacji Turystycznej i uczestniczyli w konferencji poświęconej problemom agroturystyki i ochrony środowiska naturalnego. Również w tej ostatniej dziedzinie gmina Chmielno ma się czym pochwalić; została bowiem w większości skanalizowana, a od listopada działa tu nowoczesna oczyszczalnia ścieków. Tutejsze jeziora: Białe, Kłódno, Raduńskie i Rekowo mają już I klasę czystości wód.

„Jestem zdumiony – powiedział wójt Płoskiny Edward Burhak, że w tak krótkim czasie można tak dużo osiągnąć. Widać zaangażowanie, starania ludzi, by turysta u nich miał dosłownie wszystko, czego sobie życzy. Jest to standard europejski. Wspaniali



Fot. Kazimierz Klawiter

Agata Biełkowska i Wojciech Parchem w czasie koncertu w Gdańsku

ludzie, pracownicy, piękne okolice, stwarzają niezapomniane wrażenie”. Dodajmy, że osiągnięcia te możliwe były także dzięki miejscowemu oddziałowi ZKP, zrzeszeniu agroturystów i przede wszystkim samorządowcom gminy, z wójtem Zbigniewem Roszkowskim.

Artur Jabłoński, EEP

Pieśni Jana Trepczyka w ratuszu

26 listopada, w Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku, odbył się koncert pieśni Jana Trepczyka, połączony z promocją kasety magnetofonowej o tytule „Lecę choranko” z utworami zaprezentowanymi przez profesjonalnych wykonawców z Gdańska i Wejherowa: Aleksandrę Kucharską-Szeffler, Joannę Limańską, Agatę Biełkowską, Wojciecha Parchema i Radosława Wielgusa. Artystom akompaniowała Wiesława Frankowska – wnuczka Jana Trepczyka.

Pomysł wydania kasety zrodził się przy okazji pierwszego koncertu pieśni Trepczyka, który odbył się 22 października 1994 roku w Wejherowie. W kwietniu br. przystąpiono do nagrań 27 utworów w wyborze Witosławy Frankowskiej. Piękna okładka jest autorstwa Edmunda Kamińskiego z Wejherowa, zięcia Trepczyka, a wydawcą – wnuk kompozytora Radosław Kamiński, dyrektor Wejherowskiego Centrum Kultury, które wraz z Nadbałtyckim Centrum Kultury było organizatorem koncertu.

Koncert zgromadził komplet publiczności. Większość spośród obecnych wywodziła się z kręgów pozazrzeszeniowych. Należy to uznać za wyraźny dowód wielkiego zainteresowania twórczością kaszubskiego kompozytora.

Niedzielny koncert pieśni Trepczyka, który przyciągnął licznych melomanów był już piątym po Wejherowie (dwukrotnie), Chmielnie i Redzie. Każdy miał inny repertuar i innych wykonawców, każdy spotkał

się ze wspaniałym odbiorem publiczności. Już 28 listopada odbył się następny – tym razem w Rumi.

EEP

„Kościół katolicki na Pomorzu Zachodnim 1871-1945”

Pod koniec 1995 r. ukazała się w Koszalinie książka ks. dr. hab. Lecha Bończa-Bystrzyckiego „Kościół katolicki na Pomorzu Zachodnim 1871-1945”. Autor jest historykiem, od ponad 30 lat zajmuje się historią Kościoła, był wykładowcą w Wyższych Seminarium Duchownych w Gościkowie-Paradyżu i w Koszalinie, obecnie wykłada w Wyższym Instytucie Wiedzy Religijnej w Koszalinie.

Ks. L. Bończa-Bystrzycki jest autorem kilku książek, w najnowszej opowiada dzieje Kościoła katolickiego na Pomorzu Zachodnim od powstania II Rzeszy „żelaznego kanclerza” Bismarcka do upadku „tysiącletniej” III Rzeszy. Praca przedstawia kolejno – rozmieszczenie katolików, zmiany w organizacji Kościoła, duchowieństwo, finanse Kościoła, budownictwo sakralne, działalność duszpasterską, katolickie szkolnictwo, działalność społeczną kapłanów i wpływ II wojny światowej na losy Kościoła katolickiego na Pomorzu Zachodnim.

Opracowanie wyjątkowo rzetelne, przedstawia stan i zmiany w Kościele katolickim w okresie prawie 80 lat. Jednoznacznie stwierdza, że mimo ogromnego rozproszenia – Kościół katolicki trwał tu i rozwijał się wbrew wybitnie nie sprzyjającym warunkom i zwalczaniu Kościoła przez kolejne państwa niemieckie. W 1871 r. katolików było tu niespełna 17 tysięcy, a w 1939 – ponad 160 tysięcy, mimo że ludność prowincji wzrosła w tym czasie tylko półtora-krotnie.

Książka zawiera bogaty spis źródeł i opracowań bibliograficznych, skorowidze na-

Lech Bończa - Bystrzycki



KOŚCIÓŁ KATOLICKI
NA POMORZU ZACHODNIM
1871- 1945

zwisk i miejscowości oraz krótkie streszczenie w języku niemieckim. Jest także w pracy bardzo wiele zdjęć czarno-białych oraz zestawień statystycznych i tabel porównawczych.

Bernard Konarski

Powrót zabytkowych organów

Od roku 1987, w którym biskup chełmiński Marian Przykucki poświęcił kościółek św. Barbary, odrestaurowany po przeniesieniu ze Swornychgać do Parku Etnograficznego we Wdzydzach Kiszewskich, rozpoczęły się starania o sprowadzenie do świątyni organów, przekazanych Bydgoskiemu Towarzystwu Muzycznemu. Po żmudnych rozmowach wynegocjowano ostateczną cenę za konserwację - 400 milionów starych złotych. W zebraniu tej kwoty pomogła firma BAT z Sierakowic, Urząd Gminy w Kościerzynie oraz goście z zaprzyjaźnionej gminy Cölbe. Część funduszy zebrano w skansenowskich skarbonkach.

Dr Tadeusz Sadkowski ze skansenu powiedział, że wykonawcą tego cennego instrumentu z 1765 roku jest gdański organmistrz Gotfried Weinert. Najcenniejszą częścią instrumentu są, zachowane w idealnym stanie, unikatowe miechy.

Po przewiezieniu organów do Wdzydz okazało się, że konieczna jest ich renowacja. Tego dzieła podjął się jedyny znany na Kaszubach i Kociewiu organmistrz Józef Mollin z Odrów pod Czerskiem. Rzemieślnik ten zajmuje się reperacją starych, a także budową nowych organów. Uczył się fachu w firmie Sobiekowskiego w Bydgoszczy. Pomaga mu syn, zapowiadający się na kontynuatora rzemiosła ojca.

Pierwszy raz organy zabrzmiały we Wdzydzach w dniu urodzin patronki, 4 grudnia.

EEP

Oddział ZKP w Przodkowie

Niegdyś działał tam klub Oddziału Kartuskiego ZKP. Niestety, jego działalność zamarła. Myśl powołania oddziału dojrzała już od dłuższego czasu. Inicjatywa wyszła od społeczników z gminy Przodkowo, spotykając się z poparciem prezesa kartuskiego partu Huberta Hoppe oraz wójta Przodkowa Brunona Taube.

Zebranie założycielskie odbyło się 8 listopada w Szkole Podstawowej, którą kieruje Jerzy Soliwoda - aczkolwiek nie-Kaszuba, to jeden z głównych inicjatorów założenia oddziału. Prowadzili je działacze zarządu kartuskiego oddziału: Mirosława Kazana, Gertruda Węsierska i Kazimierz Hirs.

Wybrano zarząd oddziału. Prezesem została G. Węsierska z Załęża, dotychczas członek zarządu oddziału w Kartuzach; wiceprezesem - Franciszek Rzeszewicz.

W dyskusji mówiono o inicjowaniu nauczania języka kaszubskiego w szkołach gminy Przodkowo (w jednej z nich, w Rębie, już od kilku lat uczy kaszubskiego Maria Krauze), o reaktywowaniu dziecięcego zespołu folklorystycznego. Spotkanie zakończyło się wspólnym śpiewaniem i opowiadaniem najprzeróżniejszych wiców kaszubskich.

Nowy oddział ma szansę rozwinięcia bogatej działalności. Na terenie gminy pracuje wiele osób ściśle związanych z tworzeniem i propagowaniem kultury kaszubskiej, np. wspomniana M. Krauze, Jerzy Stachurski, Mirosław Sobisz czy J. Soliwoda. Swoją pomoc obiecał wójt, a sądzić można, że wesprze społeczników ks. proboszcz Jan Szwaiba, znany jako miłośnik kaszubszczyzny.

Życzymy nowemu oddziałowi jak największych sukcesów.

EEP

Z Bydgoszczy

Rejestr obiektów zabytkowych

Wojewódzki konserwator zabytków w Bydgoszczy wpisał do rejestru kolejne obiekty. Z terenu województwa - m.in. dwie nekropolie w Tucholi: cmentarz jeńców wojennych z lat 1914-1918 i z okresu wojny bolszewicko-polskiej; pałac opata w Koronowie, pałac i park w Leszczynach w gminie Złotniki Kujawskie oraz zespół kościelny p.w. Przemienienia Pańskiego w Bysławiu w gminie Lubiewo.

Konkurs Orkiestr Dętych

W Konkursie Orkiestr Dętych „O Puchar Wojewody Bydgoskiego” udział wzięło 7 orkiestr z terenu województwa.

W kategorii orkiestr zakładowych zwyciężyła Orkiestra Zakładów Celulozy i Pa-

pieru w Świeciu. Jednocześnie ta orkiestra została wytypowana do finału V Ogólnopolskiego Przeglądu Orkiestr Zakładowych, który odbędzie się w przyszłym roku w Poznaniu.

Jubileusze ruchu muzycznego

W tym roku przypadało 95-lecie Społecznego Ruchu Muzycznego na Ziemi Bydgoskiej i 70-lecie Polskiego Związku Chórów i Orkiestr. Tradycje amatorskiego ruchu śpiewaczego w Bydgoszczy datują się już w XIX wieku. Ten patriotyczny ruch w okresie zaborów propagował ideę przetrwania, zachowania mowy ojczystej i obyczajów rodzimych. Amatorskie zespoły chóralne były swoistymi placówkami społeczno-kulturalnymi, które również zajmowały się przedstawianiami sztuk scenicznych oraz organizowały akademie rocznicowe, odczyty i wieczornice. Przy chórach czynne były biblioteki.

Pierwszy polski zespół śpiewaczy w Bydgoszczy powstał przy Towarzystwie Przemysłowym, założonym przez posła ziemi bydgoskiej Teofila Magdzińskiego w 1872 roku. Za w pełni zorganizowany uważa się przykościelny chór „Święty Wojciech”. W dniu wyzwolenia Bydgoszczy 20 stycznia 1920 roku, chór, pod kierownictwem Franciszka Masłowskiego, zaśpiewał na powitanie żołnierzy polskich pieśń „Do broni” Feliksa Nowowiejskiego. W okresie międzywojennym na terenie Bydgoszczy działało wiele chórów. W 1939 roku w Bydgoszczy odbył się wielki Zjazd Śpiewaczy.

Obie rocznice uczczono uroczystym koncertem w Filharmonii Pomorskiej 18 listopada. Wystąpiły chóry z Bydgoszczy i regionu oraz Orkiestra Reprezentacyjna Pomorskiego Okręgu Wojskowego.

Muzeum w Łąkorzu

We wrześniu ub. r. w Łąkorzu w gminie Biskupiec Pomorski otwarte zostało prywatne muzeum sprzętu rolnego. Jego twórcą jest rolnik Jan Ostrowski.

W ciągu trzech lat zdołał on zgromadzić około 600 eksponatów, głównie narzędzi i maszyn. Część z nich pochodzi z jego własnego gospodarstwa, reszta to dary od sąsiadów i mieszkańców okolicznych wsi oraz zakupione lub wymienione. Do najciekawszych należą różnego rodzaju przedmioty z pogranicza etnografii i historii techniki: żarna, maselnice, dzieże, kieraty i napędzane nimi młocarnie.

Patronat nad muzeum objął Urząd Gminy w Biskupcu Pomorskim. Dzięki pomocy urzędu eksponaty zostały odrestaurowane. Większość przechowywana jest na wolnym powietrzu. Niezbędne są pawilony wystawiennicze.

Oświata bydgoska w latach 1920-1995

W ramach uroczystości jubileuszowych 75-lecia funkcjonowania zorganizowanego systemu szkolnictwa powszechnego w Byd-

goszczy oraz 50-lecia Szkoły Podstawowej nr 29 odbyła się 27 października sesja naukowa pod tytułem: „Dzieje powszechnej oświaty bydgoskiej w latach 1920-1995”. Referenci mówili m.in. o dziejach Szkoły Powszechnej przy ul. Dworcowej 82 – dr A. Perlińska, o problemach polskiego szkolnictwa podstawowego w Bydgoszczy w okresie międzywojennym – dr J. Wójciak, prof. dr hab. J. Danielewicz ustosunkował się do problemu realizacji ustawy o ustroju szkolnictwa z marca 1932 r. w szkołach powszechnych Bydgoszczy, prof. W. Jastrzębski przedstawił sylwetki nauczycieli bydgoskich w okresie okupacji, a kwestię bibliotek szkolnych zreferował prof. F. Mincer. Aktualny stan szkolnictwa podstawowego w Bydgoszczy omówił A. Gregorczyk.

Przed sesją w Muzeum Oświaty otwarto okolicznościową wystawę pn. „Szkoła sprzed lat”.

Jubileusz Teatru Polskiego

W bieżącym sezonie artystycznym 1995/96 Teatr Polski obchodzi 75-lecie. Z tej okazji przygotowano specjalny repertuar. Widzowie Bydgoszczy zobaczą m.in.: „Ubu Króla” Alfreda Jarry’ego, „Manowce” Stefana Grabińskiego, „Opowieści gargantuńskie” Francois Rabelaisa, „Wiosnę” Brunona Szulca, „Poetę zamordowanego” Guillaume’a Apollinaire’a, „Łysą śpiewaczkę” Eugene’a Ionesco oraz „Alicję w łóżku” Susan Sontag. Ponadto będą mogli obejrzeć monodramy: „Aktora” – Witolda Szulca i „Pięknego i nieczułego” wg J. Cocteau – Józefiny Szałasnej. Teatr przygotuje też niespodziankę dla dzieci, cotygodniowy cykl spotkań zatytułowany „Bajkowy turniej” na podstawie scenariusza Krystyny Jakóbczyk.

Z żałobnej karty

26. 09. 95 r. pochowany został Bolesław Eckert. Urodził się 11.11.1910 r. Debiutował w latach trzydziestych. W 1937 roku został jednym z laureatów konkursu literackiego na opowiadanie o tematyce regionalnej, ogłoszonego przez Radę Artystyczną w Bydgoszczy. Był żołnierzem września. Po wojnie otrzymał I nagrodę w konkursie literackim, zorganizowanym przez wojewódzką i miejską Radę Narodową w Bydgoszczy. Jest autorem, wydanej w 1983 r. przez ZKP, „Sagi Kociewskiej”.

9. 10. 95 r. odbył się pogrzeb Henryka Kulpińskiego, znanego publicysty i historyka-amatora. Urodził się 18.1.1920 roku w Chelmży. Ukończył przed wojną Państwowe Liceum Handlowe w Toruniu. Po zakończeniu II wojny osiedlił się w Bydgoszczy. Przez cały czas upowszechniał wiedzę historyczną o mieście i regionie.

Jest autorem „Przewodnika po cmentarzu Nowofarnym w Bydgoszczy” i biogramów biskupów: Lucjana Bernackiego i Jana Michalskiego. Współinicjował m.in. budowę pomnika Leona Barciszewskiego, ostatnie-

go przed wojną prezydenta Bydgoszczy. Był aktywnym członkiem PTTK i Towarzystwa Miłośników Miasta Bydgoszczy. RM

Kompendium wiedzy o Pomorzu

„Nazwy i dialekty Pomorza dawniej i dziś” – to materiały z V Sympozjum Dialektologiczno-Onomastycznego, które – stanowiąc żywą formę pamięci o prof. Hubercie Górniewicz – sprzyjać mają zachowaniu ciągłości badań poszczególnych dyscyplin językoznawczych na Pomorzu. Ukazały się one pod redakcją Jerzego Tredera nakładem Gdańskiego Towarzystwa Naukowego.

Tomik zawiera artykuły: E. Rzetelskiej-Feleszko „Apelatywne podstawy nazw miejscowych na Pomorzu Zachodnim”, E. Jakus-Borkowej „Związek nazw wodnych na Kociewiu z charakterem obiektu”, B. Krei „O nazwach jezior na Kociewiu (Kałębie, Udzierz)”, K. Handke „Nazwy i określenia miar w »Słowniku gwar kaszubskich« B. Sychty”. J. Kęcińskiej „Związki językowe Krajny i Kaszub”, W. Borysia „Problemy etymologii kaszubskiej”. Czytelników „Pomeranii” zainteresować mogą wyniki badań nad przekładami Biblii na język kaszubski. Problemem tym zajął się K. Sroka. W artykule „Śladami kaszubskich tłumaczeń Biblii” wskazuje różnice, dotyczące tłumaczeń Biblii, dokonanych przez ks. Gruczę i E. Gołąbkę. Autor apeluje o rozwijanie takiej odmiany kaszubszczyzny, która byłaby do przyjęcia przez wszystkich Kaszubów. Z kolei U. Kęsikowa swój referat poświęciła „Pomorskim nazwom osobowym w powieściach historycznych Lecha Bądkowskiego”. Omawiając je, zwróciła uwagę na ich autentyczność i formę językową. Autorka przedstawia także źródła nazewnictwa, wprowadzonego przez L. Bądkowskiego do jego powieści. H. Popowska-Taborska zaś omówiła odnaleziony zbiór wyrazów, które w 1850 r. F. Ceynowa wysłał do Petersburskiej Akademii Nauk. J. Treder jest autorem artykułu „Wpływ »Słownika« Ramuła na postawy elit kaszubskich”, w którym pokazuje oddziaływanie „Słownika języka pomorskiego czyli kaszubskiego”, dającego elitom kaszubskim odpowiedź na pytanie o status mowy kaszubskiej.

Osoby i dorobku prof. Górniewicza dotyczą dwie prace: E. Brezy „Dialektologiczne prace prof. Huberta Górniewicza” oraz zmarłej w lipcu 1995 r. G. Surmy „Problematyka badawcza w pracach magisterskich wykonanych pod kierunkiem prof. H. Górniewicza”.

Wspomniany tomik zatem nie tylko przybliży problemy językoznawcze badaczom języka, ale służy również jako kompendium wiedzy dla zainteresowanych problematyką Pomorza.

Zenon Lica

informacje regionalne

Audycje kaszubskie

Polskie Radio Gdańsk

Fale 67,85 i 103,7 MHz, niedz., g. 21.30-21.55, „Na bótach ë w borach”

Telewizja Polska

Gdański progr. II i III, niedz., g. 8.45-9.05, „Rodnô zemla”. W audycji co dwa tygodnie w okresie X-VI kurs języka kaszubskiego „Gôdómë po kaszëbsku”

Kaszubskie msze święte

Raz w miesiącu

Wygoda, kościół św. Józefa, pierwsza niedziela, g. 9.00, ks. Bogdan Drozdowski

Żelistrzewo, kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa, pierwsza niedziela, g. 17.00, ks. Zbigniew Kulwikowski i ks. Roman Skwiercz

Gdańsk, Zaulek Świętojański 2, kaplica kościoła św. Jana, druga niedziela, g. 12.00, ks. Waldemar Naczek; po mszy spotkanie w Domu Kaszubskim

Rumia, druga niedziela, kolejno w kościołach: św. Krzyża (ul. Kościelna 30), g. 12.30 oraz św. Józefa (ul. Podgórna 1), NMP (ul. Świętojańska 1) i św. Jana z Kęt (ul. Stoczniovców 23), g. 14.30, ks. Stanisław Megier

Lipusz, kościół św. Michała, czwarta niedziela, g. 15.00, ks. Władysław Szulist

Gdynia-Babie Doły, ul. Rybaków 2A, kościół MB Licheńskiej i św. Jerzego, ostatnia niedziela, g. 12.15, ks. Edmund Skierka

Kościerzyna, ul. Kościelna 6, kościół Trójcy Świętej, ostatnia niedziela, g. 18, ks. prałat Marian Szczepiński i ks. Jacek Dawidowski

Gdańsk-Przymorze, ul. Zwycięzców 19, kościół NMP, pierwszy wtorek, g. 19.15, ks. Bogusław Głodowski; po mszy spotkanie w salce parafialnej

Raz w kwartale

Lębork, ul. Basztowa 8, kościół św. Jakuba,
pierwsza niedziela kwartału, g. 15.00, ks.
Franciszek Formela

Słupsk, ul. Dominikańska 9, kościół św. Jacka,
druga niedziela drugiego miesiąca kwartału, g.
14.00, ks. **Franciszek Formela**

Sprzedają „Pomeranie”

Księgarnie

- **Bytów**, ul. Wojska Polskiego 12, „Conrad”
- **Chojnice**, ul. Kościuszki 6, „Wiedza”
- **Gdańsk**, ul. Długa 62-63, „Dom Książki”
ul. Dubois 2A, „Bestseller”
ul. Grobla II 12-14
ul. Korzenna 33-35, „Literatura”
ul. Piwna 25-26, „Walter”
ul. Podkramarska 5, „W drodze”
ul. Wita Stwosza 55, „Literka”
- **Kościerzyna**, Rynek 14, „Dom Książki”
- **Lębork**, ul. Słowackiego 12, „Liber”
- **Łeba**, ul. Kościuszki 69
- **Puck**, pl. Wolności 33, im. Abrahama
- **Sopot**, ul. Powst. Warszawy 2-6, „Artystyczna”
- **Wejherowo**, ul. Sobieskiego 260, „Remus”
- **Władysławowo**, ul. Hallera 11, „Amber”

Sklepy i inne placówki

- **Gdańsk**, ul. Długa 45, Agencja IT
ul. Szewska 1-4, „Kaszubski”
- **Gdynia**, ul. Morska 95, „Venta”, W. Papierz
- **Jastarnia**, ul. Ks. Stefańskiego 27, „U Justyna”
- **Kościerzyna**, ul. Jeziorna 4, „Papier i akcyden-
sy”, J. Dorawa
- **Krokowa**, ul. Wejherowska 3, „Spożywczy”
- **Lipusz**, ul. Młyńska 12, kiosk w Klubie Rolnika
- **Ostrowo**, ul. Zabytkowa 20, „Spożywczy”
- **Puck**, ul. Morskiego Dywizjonu Lotniczego 7,
piekarnia, I. Brzózka
- **Wiele**, ul. Dąbrowska 32, kiosk w DK
- **Żukowo**, ul. Gdyńska 52, „Supersam”

Światowy rezerwat biosfery



Słowiński Park Narodowy

Normalny bilet wstępu 1 zł.
Nadmorskie wydmy ruchome i ustalone od Łeby
do Rowów. **Zarząd**: 76-214 Smołdzino,
ul. Bohaterów Warszawy 1, tel. 0-59/11-62-04

Prenumerata „Pomeranii” 1996

Prenumerata w I półroczu wynosi: w kraju 12 zł (kwartalnie 6 zł;
1 egz. 2 zł), za granicę, zapłacona bezpośrednio w „Pomeranii”, 36 zł
(kwartalnie 18 zł).

Wpłaty na prenumeratę przyjmuje przez cały czas redakcja „Pome-
ranii”, ul. Straganiarska 21/22, 80-837 Gdańsk, lub na konto: Bank
Gdański, IV Oddział w Gdańsku, nr 301817-664390-132.

Na terenach wiejskich prenumeratę przyjmują listonosze i placów-
ki pocztowe, a w miastach jednostki kolportażowe Ruchu SA w ter-
minach:

II kwartał 1996 r. do 15 II 96.

Wpłaty na prenumeratę zagraniczną przyjmuje również Ruch SA,
ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto: PBK XIII Oddział w War-
szawie, nr 370044-1195-139-11.

Uwaga! Prenumerata zbiorowa!

Przy prenumeracie w redakcji 5 i więcej egzemplarzy udzielamy
20-proc. zniżki.

Zamawiając 5 egzemplarzy płacisz za 4!



FOX - OIL S.C.

80-850 Gdańsk, ul. Rajska 6

Tel. 58/31-94-54, 58/31-28-61, w. 106 i 110
Fax 58/31-94-54 Tlx 0512364

Oferta ciąglej sprzedaży hurtowej:

olej napędowy

etylina 94, etylina 98

benzyna bezołowiowa

w SŁAWNIE, ul. Dworcowa 9

tel. 0-59/10-36-97, fax 0-59/10-30-43

oleje smarne

w SŁUPSKU, ul. Wrocławska 45, tel. 0-59/255-32

Bunkrowanie statków, 24h:

olej napędowy I M.G.O.

olej napędowy II M.D.O.

oleje smarne MARINOL

z GDAŃSKA, ul. Rajska 6

Produkty Rafinerii Gdańskiej S.A.



**BANK
GDAŃSKI
SA**



KONTO OSOBISTE
konto dla każdego

*Wygodna i bezpieczna forma gospodarowania własnymi pieniędzmi.
Całodobowy dostęp do gotówki poprzez sieć bankomatów.*

CENTRALA: 80-958 GDAŃSK, TARG DRZEWNY I. TELEFONY: (0-58) 379 222, FAX: 311 500
PONAD 50 PLACÓWEK W POLSCE PÓŁNOCNEJ I CENTRALNEJ



- centrale telefoniczne
- aparaty dyspozytorskie
- systemowe aparaty telefoniczne

Centrale, które potrafią wszystko, co jest możliwe we współczesnych systemach łączności, a ponadto bezbłędnie współpracują w warunkach specyficznej sieci krajowej z każdą centralą elektroniczną i elektromechaniczną. Wysoki stopień niezawodności, zdalna kontrola, rejestracja 100% rozmów, możliwość pełnej współpracy z siecią komputerową. Dają się łatwo przystosować do specyficznych potrzeb każdego środowiska pracy.

**Nie trzeba szukać daleko,
dobre jest w zasięgu ręki.**



CYFROWE SYSTEMY TELEKOMUNIKACYJNE

DGT Sp. z o.o. 80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 15, tel. (058) 418091 w. DGT, tel./fax (058) 412553



WSZECHŚWIAT CIESZY